

WIELKIE SERIE SF

TIMOTHY ZAHN

tom 1 cyklu

KOBRA



Timothy Zahn

KOBRA

Cobra

Tom 1 cyklu Kobra

Tłumaczenie Andrzej Sawicki

REKRUT: 2403

Tego poranka także, podobnie jak w ciągu ostatnich kilku tygodni, nadawano wojskowe marsze, ale wprawne ucho mogło wychwycić w nich ponure dźwięki, których nie słyszało się w pierwszych chwilach inwazji obcych. Kiedy muzyka raptownie się urwała, a miejsce różnobarwnych świateł zajęła dobrze znana twarz sprawozdawcy Horizon City, Jonny Moreau wyłączył laserową spawarkę, i czując ogarniające go przerażenie, nachylił się i zaczął słuchać uważniej.

Wiadomość była krótka i tak niepomyślna, jak się Jonny spodziewał. "Połączone Dowództwo Wojsk Dominium na planecie Asgard ogłosiło komunikat, w którym podano, że cztery dni temu oddziały okupacyjne Troftów zajęły planetę Adirondack". Przysłaniając obraz lewego ramienia sprawozdawcy, ukazała się holosimowa mapa, na której siedemdziesiąt białych punktów oznaczających Dominium Ludzi sąsiadowało po lewej stronie z czerwoną mgiełką Imperium Troftów oraz zieloną Minthistów od góry i po prawej. Dwie spośród tych białych kropek, wysunięte najbardziej w lewo, mrugały teraz na czerwono. "Oddziały Gwiazdne Dominium umacniają w tej chwili swoje pozycje w okolicach Palmy i Iberiandy, siły lądowe znajdujące się wciąż na Adirondack planują natomiast rozpoczęcie działalności partyzanckiej wymierzonej przeciwko wojskom okupantów. Pełny raport z terenów walk, łącznie z oficjalnymi komunikatami Najwyższego Komitetu i Dowództwa Armii podamy w naszym wieczornym serwisie informacyjnym o szóstej".

Po komunikacie wznowiono nadawanie muzyki i różnokolorowych świateł. Jonny prostował się właśnie, gdy poczuł rękę spoczywającą na swoim ramieniu.

— Zdobyli Adirondack, tatku — odezwał się, nie odwracając głowy.

— Słyszałem — odparł cicho Pearce Moreau.

— Zajęło im to tylko trzy tygodnie. — Jonny zacisnął palce na rękojeści lasera, której przez cały czas nie wypuszczał z dłoni. — Trzy tygodnie.

— Nie możesz wyciągać tak pochopnych wniosków na temat dalszego przebiegu wojny jedynie na podstawie tego, jak się zaczęła — powiedział Pearce, wyciągając rękę i wyjmując laser z dłoni syna. — Wkrótce Troftowie się przekonają, że rządzić podbitym światem jest o wiele trudniej niż go opanować. I nie zapominaj, że działali przez zaskoczenie. Kiedy Oddziały Gwiazdne powołają pod broń rezerwistów i osiągną pełną gotowość bojową, Troftowie zobaczą, jak trudno z nami walczyć. Być może uda się im podbić jeszcze Palmę lub Iberiandę, ale myślę, że na tym się skończy.

Jonny potrząsnął głową. Było coś nierealnego w rozmowie na temat podbijania światów zamieszkałych przez miliardy ludzi i traktowaniu ich w taki sposób, jakby byli pionkami w kosmicznej rozgrywce w szachy.

— A co potem? — zapytał z większą goryczą w głosie, niż się ojcu należało. — W jaki sposób zdołamy przepędzić Troftów z należących do nas światów, nie poświęcając przy tym życia połowy mieszkańców? Co będzie, jeżeli podczas odwrotu zdecydują się zastosować taktykę spalonej ziemi? Przypuśćmy, że...

— Spokojnie, spokojnie — przerwał Jonny'emu Pearce. Stał przed nim i spojrzał synowi prosto w oczy. — Bez powodu dajesz się ponieść emocjom. Wojna zaczęła się zaledwie przed trzema miesiącami, a to nie oznacza, że całe Dominium Ludzi jest zagrożone. Przestań zaprzętać sobie tym wszystkim głowę i wróć do swojej roboty, dobrze? Muszę mieć tę maskę gotową, zanim pójdziesz do domu i zajmiesz się swoją pracą.

Wręczył Jonny'emu spawarkę.

— Dobra.

Jonny wziął urządzenie, westchnął i nasunął na oczy gogle z przyciemniającymi osłonami. Pochylając się nad nie dokończoną spoiną, starał się nie myśleć o inwazji... i pewnie by mu się to udało, gdyby jego ojciec nie wygłosił jeszcze jednej uwagi.

— A poza tym — rzekł Pearce, wzruszając ramionami i odchodząc do swojego stołu warsztatowego — bez względu na to, co się stanie, i tak dopóki tu siedzimy, nic nie możemy zrobić.

Wieczorem, przy kolacji, Jonny siedział, nie odzywając się ani słowem, ale żeby w domu rodziny Moreau zrobiło się wyraźnie ciszej, jedna nie gadająca osoba to było stanowczo za mało. Jak zwykle na pierwszy plan wybijał się głos siedmioletniej Gwen, która opowieści o szkole i koleżankach przeplatała zadawaniem pytań na najróżniejsze tematy, począwszy od tego, w jaki sposób meteorolodzy nie dopuszczają do powstania tornada, a skończywszy na dociekaniu, jak rzeźnicy usuwają kość łopatkową z pieczeni z garbu breffa. Jamę, o pięć lat młodszy od Jonny'ego, także brał udział w tych rozmowach, opowiadając plotki ze świata nastolatków. Dawał tym samym dowód, że opanował reguły i prawa rządzące tą społecznością w taki sposób, o jakim Jonny mógłby tylko marzyć. Pearce zaś i Irena kierowali tym rozgardiaszem słownym z wprawą świadczącą o dużym doświadczeniu, odpowiadając na pytania Gwen z rodzicielską cierpliwością i starając się nie dopuszczać do kłótni ani sporów. Czy to za wspólną zgodą, czy też przez brak zainteresowania, nikt nawet nie wspomniał o toczącej się wojnie.

Jonny zaczekał, aż stół zostanie uprzątnięty, a potem ze starannie udawaną obojętnością zadał pytanie:

— Tatku, czy mógłbym pożyczyć twój samochód i wybrać się wieczorem do Horizon City?

— Chyba nie ma tam dziś wieczór żadnych tańców, prawda? — marszcząc brwi, zapytał ojciec.

— Nie — odparł Jonny. — Chciałem obejrzeć tam jedną rzecz, to wszystko.

— Rzecz?

Jonny poczuł, że się rumieni. Nie zamierzał kłamać, ale wiedział, że odpowiedź zawierająca całą prawdę wywołałaby dyskusję wszystkich członków rodziny, a on nie był do niej jeszcze przygotowany.

— Ta-a — mruknął. — Tylko... chciałem tylko zobaczyć parę rzeczy.

— Na przykład Wojskowe Biuro Werbunkowe? — zapytał cicho Pearce.

Towarzyszące ich rozmowie odgłosy przesuwania i ustawiania naczyń w kuchni ucichły jak ucięte nożem. W zapadłej nagle ciszy Jonny usłyszał, że jego matka raptownie nabrała powietrza w płuca.

— Jonny? — zapytała.

Westchnął, uświadomiwszy sobie, że dyskusji nie da się uniknąć.

— Nie zaciągnąłbym się przecież, dopóki bym z wami na ten temat nie porozmawiał — powiedział. — Chciałem tylko zasięgnąć informacji... o procedurach, wymaganiach i takich innych sprawach.

— Jonny, wojna przecież toczy się daleko od nas... — odezwała się Irena Moreau.

— Ja wiem, mam — wpadł jej w słowo Jonny. — Ale tam umierają ludzie...

— To jeszcze jeden powód, żebyś tutaj został.

— ...nie tylko żołnierze, cywile też — ciągnął z uporem Jonny. — Myślałem tylko... tata dzisiaj powiedział, że nic na to nie można poradzić.

Przeniósł wzrok na Pearce'a.

— Może i nie... a może nie powinienem tak szybko ulegać presji statystycznych danych.

Na wargach Pearce'a ukazał się na chwilę lekki uśmiech, ale nie objął reszty twarzy.

— Pamiętam te czasy, kiedy twoja argumentacja sprowadzała się do powiedzenia: "dlatego, że ja tak mówię".

— Pewnie na uczelni go tego nauczyli — mruknął stojący przy drzwiach do kuchni Jamę. — Myślę, że w przerwach na naukę o prowadzeniu dyskusji uczą go o tym, jak naprawić komputer.

Jonny posłał w kierunku brata zdziwione spojrzenie, zirytowany jego próbą zwrócenia rozmowy na inne tory. Irena jednak nie miała zamiaru zmieniać tematu.

— A co z twoją uczelnią, jeżeli już o tym mowa? — zapytała. — Do dyplomu został ci tylko rok. Powinieneś przynajmniej skończyć studia, nie sądzisz?

Jonny potrzęsnał głową.

— Nie widzę w tej chwili sensu, żeby tak długo studiować. To przecież cały rok... a popatrzcie, co Troftowie zdołali osiągnąć w zaledwie trzy miesiące.

— Ale przecież twoje studia także są ważne...

— No, dobrze, Jonny — przerwał jej cicho Pearce. — Jeżeli chcesz, jedź do Horizon City i pogadaj sobie z tymi werbownikami.

— Pearce! — zdumiona Irena spojrzała na męża. Pearce pokręcił z rezygnacją głową.

— Nie możemy stawiać mu na przeszkodzie — powiedział. — Czy nie słyszysz zdecydowania w jego głosie? On już to postanowił na dziewięćdziesiąt procent. Jest dorosły i ma prawo sam decydować o swoim losie. — Przeniósł wzrok na Jonny'ego. — Idź, spotkaj się z tymi ludźmi, jeśli musisz, ale obiecaj, że porozmawiasz z nami jeszcze raz, zanim podejmiesz ostateczną decyzję. Zgoda?

— Zgoda.

Jonny skinął poważnie głową, czując, jak zanika rozdrażnienie. Zgłoszenie się do wojska na ochotnika z perspektywą brania udziału w prawdziwej wojnie to jedno; przyszło mu to z trudem, ale dotyczyło zdarzenia odległego i niemal abstrakcyjnego. O wiele bardziej przerażała go walka o zdobycie zgody rodziny, myśl o tych kosztach i konsekwencjach, których pragnął na razie nie analizować.

— Wróć za kilka godzin — powiedział, gdy ojciec podał mu kluczyki, i skierował się do wyjścia.

Biuro werbunkowe Połączonego Dowództwa Wojsk od ponad trzydziestu lat mieściło się w tym samym budynku miejskiego ratusza. Kiedy Jonny wchodził do środka, przyszło mu nagle do głowy, że być może podąża śladami swojego ojca, który jakieś dwadzieścia osiem lat wcześniej zaciągnął się do wojska. Wówczas jego wrogami byli Minthistowie, a on walczył z nimi na pokładzie torpedowym pancernika należącego do Oddziałów Gwiezdných.

Ta wojna była jednak inna i chociaż Jonny zawsze uwielbiał romantyzm Oddziałów Gwiezdných, dawno już zdecydował, że woli wykonywać być może mniej efektowne, ale za to skuteczniejsze zadania.

— Do wojsk lądowych? — zapytała go urzędniczka, unosząc ze zdumieniem brwi i przyglądając się Jonny'emu zza biurka. — Proszę wybaczyć moje zdziwienie, ale nie mamy ostatnio zbyt wielu chętnych do służby w takich formacjach. Większość młodych ludzi w twoim wieku wołałaby raczej służyć we flocie międzygwiazdnej albo chociażby latać na myśliwcach konwencjonalnych. Mogę zapytać, jaki jest powód tej decyzji?

Jonny skinął głową, starając się nie przejmować nieco protekcyjnym tonem, jakim się do niego zwracała. Może był to nieodłączny element rozmowy wstępnej, mający na celu dokonanie przynajmniej przybliżonej oceny odporności psychicznej kandydata na żołnierza.

— Wydaje mi się, że jeśli wojska Troftów będą nadal wypierały nasze Oddziały Gwiezdne z ich pozycji, stracimy następnych kilka planet. Ludność cywilna zostanie zdana na łaskę Troftów... o ile siły lądowe nie pozostawią swoich partyzantów, którzy mogliby koordynować akcje ruchu oporu. Ja chciałbym robić właśnie coś takiego.

Urzędniczka pokiwała w zamyśleniu głową.

— A więc zamierzasz być komandosem?

— Zamierzam pomagać tamtejszym ludziom w walce — poprawił ją Jonny.

— Mhm.

Sięgnęła po klawiaturę terminala komputerowego, wystukała na niej nazwisko Jonny'ego i jego kod identyfikacyjny. Przeglądając informację, jaka ukazała się na ekranie, po raz drugi uniosła brwi.

— Zdumiewające — powiedziała, tym razem bez zauważalnego sarkazmu. — Wzorowy student na uczelni, wzorowy uczeń w szkole średniej, iloraz inteligencji... czy nie myślałeś o tym, żeby zostać oficerem?

Jonny wzruszył ramionami.

— Właściwie nie, chociaż mogę nim zostać, jeżeli w ten sposób będę bardziej przydatny. Ale nie przeszkadza mi, jeśli zostanę zwykłym żołnierzem, jeżeli o to pani chodzi.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

— Mhm — mruknęła w końcu. — Powiem ci, co zrobimy, Moreau.

Znów przebiegła palcami po klawiaturze, a później odwróciła ekran tak, aby Jonny także mógł go widzieć.

— O ile mi wiadomo, nie istnieją w tej chwili żadne konkretne plany na temat organizacji partyzantki na planetach podbitych przez najeźdźców. Jeżeli się pojawią, a muszę przyznać, że to rozsądny pomysł, to będzie je realizował właśnie któryś z oddziałów specjalnych, jakie widzisz tutaj.

Jonny przyjrzał się wyświetlonym nazwom: Grupa Alfa, Interror, Komandosi, Strażnicy — wszystkie znał doskonale i wszystkie budziły powszechny respekt.

— Co muszę zrobić, aby dostać się do któregoś z nich? — zapytał.

— Ty nic. Zaciągasz się do wojsk lądowych, a potem przechodzisz przez prawdziwą górę testów i jeśli się okaże, że masz potrzebne zdolności, wysyłają ci zaproszenie.

— A jeśli nie, zostaję w armii?

— Tak... o ile nie wybijesz się podczas standardowego przeszkolenia.

Jonny rozejrzał się po pokoju, w którym z wielobarwnych holosimowych plakatów prawie wyskakiwały wprost na niego gwiazdne statki, myśliwce atmosferyczne i raketowe czołgi, obok których widniały sylwetki mężczyzn w zielonych, stalowych albo czarnych mundurach.

— Dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi tyle czasu — odezwał się do urzędniczki, przesuwając palcem po informacyjnej karcie magnetycznej, jaką od niej otrzymał. — Wrócę tu, kiedy się zdecyduję.

Sądził, że kiedy przyjedzie do domu, wszyscy już będą spali, ale rodzice i Jamę czekali w salonie. Dyskusja przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. W rezultacie

Jonny'emu udało się przekonać i siebie, i wszystkich innych o tym, że musi tak postąpić.

Następnego popołudnia po obiedzie wszyscy troje udali się do Horizon City i patrzyli, jak Jonny podpisywał niezbędne magnetyczne formularze.

— A więc... już jutro jest to twoje wielkie święto?

Jonny uniósł wzrok znad plecaka i popatrzył bratu prosto w oczy. Jame, leżący na łóżku pod przeciwległą ścianą pokoju, starał się jak potrafił sprawiać wrażenie spokojnego i opanowanego. Ale nieustanne skubanie rogu koca zdradzało, jak bardzo był zdenerwowany.

— Aha — przytaknął Jonny. — Lotnisko Horizon City, potem liniowcem "Skylark 407" rejs na Aerie, a stamtąd transportowcem wojskowym na Asgard. Nic tak jak podróż nie pozwala ocenić prawdziwych rozmiarów wszechświata.

Jame uśmiechnął się z przymusem.

— Ja też zamierzam wybrać się kiedyś do New Persius. To całe sto dwadzieścia kilometrów. Powiesz mi coś więcej o tych testach?

— Tylko to, że być może za kilka godzin przestanie mnie boleć głowa.

Ostatnie trzy dni były dla Jonny'ego prawdziwą mordegą. Sprawdziany i testy ciągnęły się od siódmej rano do dziewiątej wieczorem. Wykształcenie ogólne, wykształcenie wojskowe i polityczne, sprawdziany fizyczne, testy psychologiczne i biochemiczne, badanie odruchów i tak dalej — wszystko to miał już za sobą.

— Powiedziano mi, że te badania trwają zazwyczaj dwa tygodnie — dodał, nie wspominając ani słowem o tym, że tę informację przekazano mu dopiero po zakończeniu wszystkich testów. — Sądzę, że wojsku zaczęło się teraz bardzo spieszyć, żeby jak najszybciej zacząć szkolenie rekrutów.

— Mhm... A więc pożegnałeś się już ze wszystkimi? Załatwiłeś, co miałeś do załatwienia?

Jonny wrzucił parę skarpetek do plecaka i usiadł na skraju swojego łóżka.

— Posłuchaj, Jame — powiedział. — Jestem za bardzo zmęczony, aby teraz bawić się z tobą w chowanego. O co właściwie ci chodzi?

Jame westchnął.

— No cóż, mówiąc bez ogródek... Alyse Carne jest trochę zawiedziona, że nie porozmawiałeś z nią na ten temat, zanim poszedłeś i zaciągnąłeś się do wojska.

Jonny zmarszczył brwi, usiłując sobie coś przypomnieć. To prawda, nie widział Alyse od dnia, w którym zaczęły się jego testy, ale kiedy spotkali się po raz ostatni, nie wyglądała na zawiedzioną.

— Nawet jeżeli jest, to mnie nic o tym nie mówiła — stwierdził. — Od kogo się dowiedziałeś?

— Od Mony Biehl. I nie dziw się, że Alyse nie powiedziała tego tobie. Było już za późno na to, żebyś mógł zmienić zdanie.

— To dlaczego w ogóle mi o tym mówisz?

— Bo uważam, że powinieneś znaleźć czas i wpaść do niej dziś wieczorem. Udowodnij, że wciąż ci na niej zależy, zanim na dobre opuścisz rodzinne strony i udasz się ocalać resztę ludzkości.

Coś w głosie jego brata sprawiło, że Jonny się zawahał, a złośliwa uwaga, jaką już zamierzał wygłosić, nie chciała mu przejść przez gardło.

— Nie pochwalasz tego, co postanowiłem zrobić, prawda? — zapytał bardzo cicho.

— Nie, ani trochę — odparł Jame. — Boję się, że decydujesz się na to wszystko, bo nie zdajesz sobie sprawy z tego, w co się pakujesz.

— Skończyłem już dwadzieścia jeden lat, Jame.

— I przeżyłeś całe życie w średniej wielkości miasteczku na zapadłej, prowincjonalnej planecie. Spójrz prawdzie w oczy, Jonny. Być może dajesz sobie radę tutaj, ale zamierzasz stawić czoło trzem nie znanym czynnikom naraz: społeczeństwu Dominium, wojsku i, oczywiście, samej wojnie. To bardzo groźni przeciwnicy.

Jonny westchnął. Gdyby usłyszał te słowa od kogokolwiek innego, z pewnością energicznie by zaprzeczył... Jame jednak miał wrodzoną zdolność rozumienia charakterów, którą Jonny już dawno nauczył się w nim cenić.

— Jediną alternatywą wobec stawania oko w oko z nieznanym było siedzenie tutaj do końca życia — stwierdził stanowczo.

— Wiem o tym. I nie chcę niczego ci sugerować. — Jame bezradnie machnął ręką. — Myślę, że chciałem się upewnić, czy dobrze zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz.

— Tak. Dzięki.

Jonny rozejrzał się z namysłem po pokoju, zauważając teraz rzeczy, które przestał dostrzegać przed wieloma laty. Dopiero w tej chwili, w tydzień po podjęciu decyzji, zaczęło do niego naprawdę docierać, że to wszystko zostawi.

Być może nawet na zawsze.

— Więc sądzisz, że Alyse chciałaby się ze mną zobaczyć? — zapytał, przenosząc wzrok na brata. Tamten w odpowiedzi skinął głową.

— Domyślam się, że będzie się czuła chociaż trochę lepiej. Oprócz tego... — Zawahał się przez chwilę. — Może to zabrzmie trochę głupio, ale sądzę, że im bardziej zwiążesz się emocjonalnie z Cedar Lake, tym łatwiej przyjdzie ci później zachowywać zasady etyczne w tamtym miejscu.

— Masz na myśli całą tę dekadencję wielkich światów? — zachnął się Jonny. — Daj spokój, Jame, chyba tak naprawdę nie wierzysz, że z wyższym stopniem rozwoju cywilizacyjnego wiąże się większa deprawacja?

— Oczywiście, że nie. Ale być może znajdzie się ktoś, kto będzie chciał cię przekonać, że deprawacja i wyższy stopień rozwoju to jedno i to samo.

Jonny machnął ręką na znak, że się poddaje.

— No, dobra, być może, że masz rację. Ostrzegałem cię zresztą kiedyś, że z chwilą, w której zaczniesz się bawić w aforyzmy, zrezygnuję z dalszej dyskusji.

Wstał, zgarnął z półki naręczne koszulki i ułożył je obok plecaka.

— Masz, może się do czegoś przydasz — powiedział. — Zapakuj je razem z tamtymi kasetami, dobrze?

— Jasne.

Jame wstał i wykrzywił się do Jonny'ego w uśmiechu.

— Nie spiesz się, będziesz miał mnóstwo czasu na spanie, kiedy znajdziesz się w drodze na Asgard. Jonny pokręcił głową z udaną rezygnacją.

— Jedyna rzecz, związana z tym miejscem, do jakiej na pewno nie będę tęsknił, to mój osobisty żyjący automat, dający dobre rady — oświadczył.

Rzecz jasna, to wcale nie była prawda, a oni obydwaj wiedzieli o tym bardzo dobrze.

Następnego ranka na lotnisku Horizon City panował nastrój tak ponury, jak się Jonny tego spodziewał. Kiedy jednak wszedł na pokład wahadłowca kierującego się na orbitę, na której miał czekać na nich liniowiec, z ulgą, ale i zarazem ze smutkiem obserwował, jak miasto i jego okolice znikają mu z oczu. Nigdy przedtem na tak długo nie ro/stawał się ze swoją rodziną, domem i przyjaciółmi, toteż kiedy błękitne niebo zaczęło stopniowo przybierać czarną barwę, zastanowił się, czy jednak Jame nie miał racji, mówiąc o zbyt dużej ilości wrażeń w zbyt krótkim czasie. Z drugiej strony jednak... wydało mu się, że znacznie prościej jest dokonać tak dużych zmian w życiu od razu, zamiast wprowadzać je stopniowo jedno po drugim, a potem się zastanawiać, jak do nich się przystosować. Przez głowę przemknęła mu przypowieść o starych bukłakach i młodym winie. Pamiętał wynikający z niej morał, który mówił, że osoba od dawna nawykła do robienia ciągle tych samych rzeczy nie może nauczyć się później czegokolwiek, co wykraczałoby poza jej dotychczasowe doświadczenia.

Nad jego głową zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy i Jonny uśmiechnął się na ich widok. Na Horizonie wiódł wprawdzie spokojny żywot, ale miał już dwadzieścia jeden lat i nie zamierzał w ten sposób spędzić całej reszty życia. Jame, który pozostał w domu, mógł postrzegać czekające Jonny'ego zmiany jako nieznośne kłopoty, jeśli chciał... Jonny jednak zamierzał traktować je jak wielką przygodę.

Z mocnym postanowieniem, że o tym nie zapomni, całą uwagę skupił na patrzeniu przez okno i czekaniu, kiedy zobaczy po raz pierwszy prawdziwy statek kosmiczny.

"Skylark 407" był statkiem pasażerskim, a większość jego podróżnych stanowili ludzie interesu lub turyści. Zaledwie kilku pasażerów było, podobnie jak Jonny, świeżo

upieczonymi rekrutami, lecz w ciągu następnego paru dni liniowiec zatrzymywał się na Rajput, Zimbwe i Blue Haven, ich liczba zaczęła szybko wzrastać. Kiedy dotarli na Aerie, mniej więcej jedna trzecia podróżnych została przewieziona na orbitujący tam ogromny wojskowy transportowiec. Grupa Jonny'ego musiała być ostatnią, na jaką czekano, bo gdy tylko rozlokowano ją w kajutach, transportowiec dokonał skoku w nadprzestrzeń. Komuś zapewne bardzo się spieszyło.

Dla Jonny'ego następne pięć dni okazało się okresem trudnego — i nie zawsze pomyślnego — przystosowywania się do obcych mu kulturowo ludzi. Stłoczeni we wspólnych pomieszczeniach i pozbawieni nawet tej odrobiny prywatności, jaką zapewniały kabiny na liniowcu, rekruci stanowili mogącą przyprawić o zawrót głowy mozaikę nawyków, akcentów i obyczajów. Przyzwyczajenie się do tego wszystkiego było dla Jonny'ego trudniejsze, niż przypuszczał. Co gorsza, wielu rekrutów czuło mniej więcej to samo co on. Na dzień przed przylotem na Aerie Jonny stwierdził, że jego towarzysze podróży postąpili podobnie jak wielu rekrutów przed nimi i podzielili się na niewielkie, mniej więcej homogeniczne kulturowo grupy. Jonny co prawda dokonał kilku nieśmiałych prób, aby złączyć choć kilka tych stadek w jakąś całość, ale dość prędko zrezygnował i resztę drogi na Aerie spędził z innymi chłopakami, którzy podobnie jak on pochodzili z Horizonu. Zrozumiał aż za dobrze, że Dominium Ludzi nie było tak jednolite, jak sądził. Pocieszył się jednak w końcu dość rozsądną myślą, że wojsko musiało już dawno rozwiązać w jakiś sposób problem przewyciężenia dzielących rekrutów barier. Wiedział, że cała ta sytuacja szybko się zmieni, kiedy tylko znajdą się w koszarach na Asgardzie, gdzie wszyscy będą zwykłymi, równymi sobie żołnierzami.

W pewnym sensie miał rację... w innym jednakże mylił się, i to bardzo.

Koszarowy pokój przyjęć rekrutów okazał się salą wielkości hali koncertowej w Horizon City. W całym tym wielkim pomieszczeniu kłębiły się tłumy młodych ludzi.

W przeciwległym kącie sali, tuż przed linią sierżantów ustawionych obok przejść z różnymi napisami, tłumy te rozdzielały się na strumyki rekrutów spieszących na zebrania do oddziałów, do których zostali przydzieleni. Przesuwając się z wolna ku tym przejściom, Jonny spojrzał na wręczoną mu kartę poborową i uniósł brwi ze zdumieniem, które wkrótce przerodziło się w rozczarowanie:

JONNY MOREAU

HORIZON: HN-89927-238-2825

PRZYDZIELONE ZAKWATEROWANIE: AA-315, KOMPLEKS FREYRA

ODDZIAŁ: KOBRY

MIEJSCE ZEBRANIA: SALA C-662, KOMPLEKS FREYRA

GODZINA: 15.30

Kobry... Na transportowcu nie brakowało co prawda informacji o różnych oddziałach wojskowych, a Jonny spędził co najmniej kilka godzin przeglądając wszystkie materiały na temat oddziałów specjalnych, ale o Kobrach nie znalazł nigdzie ani jednej wzmianki.

Kobry. Czym mogła się zajmować jednostka o nazwie wywodzącej się od ziemskiego jadowitego węża? Być może odkażaniem żołnierzy i pola walki, a może rozbieraniem min przeciwpiechotnych? Czymkolwiek by się zajmowała, jej nazwa nie wróżyła spełnienia marzeń Jonny'ego z ostatnich kilku tygodni.

Ktoś uderzył go nagle w plecy. O mało nie wytrącił mu z dłoni karty poborowej.

— Schrzaniaj z przejścia — warknął chudy jak tyczka miody człowiek, przeciskając się szybko obok niego. Ani użyte słowo, ani akcent nie były Jonny'emu znane. — Jak chce ci się brumać, to chrzań się w inne miejsce.

— Przepraszam — mruknął Jonny patrząc, jak młodzieniec znika daleko przed nim w tłumie.

Zacisnął zęby i zaczął się też przeciskać, spoglądając na umieszczone na ścianie i podświetlone napisy z nazwami oddziałów i jednostek. Czymkolwiek miałyby się okazać Kobry, powinien się pospieszyć i znaleźć tę swoją salę zebrań. Umieszczony wysoko ścienny zegar wskazywał piętnastą dwanaście, a mało prawdopodobne, by dowódca jakiegokolwiek oddziału tolerował u podwładnych opieszałość.

Sala C-662 stanowiła pierwszy dowód, że być może przedwcześnie doszedł do niewłaściwych wniosków. Zamiast spodziewanego wielkiego audytorium mogącego pomieścić batalion wojska zobaczył pomieszczenie, w którym z trudem mogło przebywać czterdziestu ludzi. Większość siedziała już zresztą na swoich miejscach. Naprzeciwko, za stołem ustawionym na niewielkim podium, Jonny zobaczył dwóch mężczyzn odzianych w bluzy z czerwonymi i czarnymi pasami tworzącymi na piersiach literę V. Kiedy zajmował wolne krzesło, młodszy z nich spojrzął w jego stronę.

— Nazwisko? — zapytał.

— Jonny Moreau, sir — odparł, patrząc przelotnie na zawieszony na ścianie zegar.

Była dopiero piętnasta dwadzieścia osiem. Mężczyzna w bluzie tylko skinął głową i zaznaczył coś na komputerowym pulpicie, który trzymał na kolanach. Przez następne dwie minuty Jonny rozglądał się po sali, wsłuchiwał się w bicie własnego serca i puszczał wodze fantazji.

Dokładnie o piętnastej trzydzieści starszy z dwójki umundurowanych mężczyzn powstał.

— Witam panów — powiedział i kiwnął głową. — Jestem ce-dwa Raud Mendro, dowódca oddziału Kobra. Przede wszystkim chciałbym powitać panów na Asgardzie. To jednostka, w której zmieniamy kobiety i mężczyzn w żołnierzy, a także w lotników, marynarzy, członków naszych

Oddziałów Gwiezdnych i tak dalej. Tutaj, w Kompleksie Freyra, szkolimy wyłącznie żołnierzy... a wasza czterdziest-kapiątka miała zaszczyt zostać wybrana do najnowszego i moim zdaniem najbardziej elitarnego oddziału, jaki istnieje w całym Dominium Ludzi... Jeżeli zechcecie do niego wstąpić.

Popatrzył na zebranych, jakby chciał się przyjrzeć każdemu po kolei.

— Jeżeli tak, to po ukończeniu szkolenia będziecie wykonywali najniebezpieczniejsze zadania, jakie mamy. Udacie się na planety zajęte przez wojska Troftów i będziecie angażowali siły wroga, prowadząc tam walkę partyzancką.

Przerwał, a Jonny poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Jednostka elitarna — tak jak pragnął, i szansa pomocy ludności cywilnej, czego również pragnął. Tyle że walka na planetach opanowanych przez siły Troftów kojarzyła mu się bardziej z samobójstwem niż ze służbą w wojsku. Sądząc po szmerze, jaki przeszedł po sali, domyślił się, że jego opinię musiało podzielać wielu rekrutów.

— Rzecz jasna — ciągnął Mendro — nie chodzi nam o zrzucanie was na spadochronach z karabinem laserowym w jednej dłoni i radiostacją w drugiej. Jeśli zdecydujecie się na wstąpienie do oddziału, przejdziecie najbardziej wszechstronne przeszkolenie, po którym otrzymacie absolutnie najnowocześniejsze uzbrojenie, jakim będziemy dysponowali.

Wskazał mężczyznę siedzącego obok niego przy stole.

— Ce-trzy Shri Bai będzie dowódcą instruktorów, odpowiedzialnych za szkolenie waszej grupy. Za chwilę zademonstruje wam kilka rzeczy, które wy, kiedy zostanieie Kobrami, także będziecie umieli robić.

Bai odłożył swój pulpit komputerowy i zaczął powoli wstawać... lecz nagle, nie ukończywszy tego ruchu, wystrzelił pod sufit sali.

Bai skoczył, a zaskoczony Jonny dojrzał jedynie zamazaną smugę, ale dwa głośne jak huk gromu kłaśnięcia, jakie dobiegły go z tyłu, dały mu przerażającą pewność, że coś w tym wspomaganym raketowe locie musiało się nie udać. Odwrócił się szybko, spodziewając się ujrzeć zmasakrowane ciało Baia...

Bai stał jednak najspokojniej w świecie przy drzwiach, a na ustach igrał mu lekki uśmiech, którym kwitował zdumienie malujące się na wszystkich twarzach.

— Jestem pewien, że wszyscy dobrze wiecie, iż zastosowanie osobistych silników raketowych czy egzozkieletowych wzmacniaczy mięśni w tak małym pomieszczeniu byłoby szaleństwem — oświadczył. — Hm? No, to przyjrzyjcie się raz jeszcze.

Zgiął nogi w kolanach zaledwie o kilka stopni, a później z tym samym piorunującym klap, klap znalazł się z powrotem na podium.

— No, dobrze — powiedział. — Kto widział, co właściwie zrobiłem?

Cisza... Dopiero po dłuższej chwili podniosła się czyjaś ręka.

— Sądzę, że odbił się pan od sufitu — odezwał się niepewnym głosem jeden z rekrutów. — Pewnie całą siłę odbicia przyjął pan na barki?

— Innymi słowy, nie widzieliście — rzekł Bai i kiwnął głową. — Wykonałem obrót, skacząc do sufitu, odbiłem się od niego stopami, obróciłem się raz jeszcze i wylądowałem na podłodze.

Jonny poczuł dziwną suchość w gardle. Do sufitu było zaledwie pięć metrów. Móc wykonywać takie ewolucje w tak ograniczonej przestrzeni oznaczało...

— Oprócz precyzji i siły tego skoku, najbardziej godny uwagi jest fakt, że nawet wy, którzy widzieliście, co się stanie, nie mogliście nadażyć za szybkością ruchów Baia — odezwał się Mendro. — Wyobraźcie więc sobie, jak ta sztuczka może przydać się w walce w pomieszczeniu pełnym Troftów, którzy niczego nie będą się spodziewali. Poza tym...

Przerwał, kiedy drzwi sali się otworzyły i wszedł jeszcze jeden rekrut.

— Viljo? — zapytał Bai, spoglądając na swój komputerowy pulpit.

— Tak jest, sir. — Nowo przybyły skinął głową. — Przepraszam za spóźnienie, to wina tych urzędników przy wejściu.

— Czyżby? — zakpił Bai i machnął ręką, nie wypuszczając z niej pulpitu. — Mam tutaj informację, że zarejestrowaliście się u nich o czternastej pięćdziesiąt. To będzie... zobaczymy... o siedemnaście minut wcześniej niż zrobił to Moreau, który dotarł tu siedem minut przed wami. Hm?

Na twarzy Vilja pojawiły się czerwone plamy.

— Ja... myślałem, że trochę zabłądziłem, sir — powiedział.

— Przy tylu znakach ustawionych dosłownie na każdym kroku? Nie mówiąc już o ludziach w mundurach. Musieliście ich widzieć? Hm?

Viljo zaczynał przypominać zaszczute zwierzę.

— Ja... przystanąłem na chwilę w korytarzu przy wejściu i patrzyłem na wystawione tam eksponaty, sir. Nie wiedziałem, że ta sala znajduje się tak daleko od wejścia.

— Aha. — Bai zmierzył go długim, lodowatym spojrzeniem. — Punktualność, Viljo, jest tą cechą, jaką musi posiadać każdy dobry żołnierz. A jeśli chcecie zostać Kobrą, jest cechą wręcz nieodzowną. Ale jeszcze ważniejsze od niej są wasza uczciwość i zaufanie, jakim mają obdarzyć was koledzy. Mówiąc jasno, oznacza to, że kiedy nawalicie, nie będziecie starali się obwiniać o to innych. Czy to jasne?

— Tak jest, sir.

— To dobrze. A teraz podejdźcie tu do mnie. Do następnego pokazu potrzebny mi będzie ktoś do pomocy.

Przełknąwszy ślinę z widocznym trudem, Viljo z ociąganiem ruszył przejściem między krzesłami w stronę podium.

— To, co pokazałem wam przed minutą — odezwał się po chwili Bai, ponownie zwracając się do wszystkich w sali — było jedynie niewinną sztuczką, jaką można chwalić się na przyjęciach, choć nie przeczę, że szczególnie przydatną podczas służby

w wojsku. Ta rzecz jednak, którą pokażę za chwilę, przyda się wam w praktyce o wiele bardziej.

Z kieszeni bluzy wyjął dwa metalowe krążki o średnicy dziesięciu centymetrów z umieszczonymi pośrodku niewielkimi czarnymi plamkami.

— Weźcie teraz jeden z nich do lewej dłoni i wyciągnijcie rękę do góry i trochę na bok — zwrócił się do Vilja Bai — a kiedy dam wam znak, rzućcie drugi krążek w kierunku przeciwnego końca sali.

W tym czasie Mendro przeszedł przez całą salę i przystanął w rogu pod przeciwną ścianą. Bai odszedł parę kroków — na bok i przechylił głowę, jakby chciał objąć wzrokiem całą salę, a potem lekko ugiął nogi w kolanach.

— No, dobrze — powiedział. — Teraz!

Viljo rzucił krążek, celując nim w drzwi sali. Jonny wyczuł, jak stojący z tyłu Mendro wyskoczył ze swojego kąta i chwycił lecący krążek w locie, a potem, w ułamek sekundy później, odrzucił go w stronę Baia. Ruchem płynnym i tak szybkim, że znów nie można było nadążyć za nim wzrokiem, Bai upadł na bok i przetoczył się, by zejść z linii lotu krążka... a potem przyklęknął na jedno kolano i wypuścił z rozkrzyżowanych rąk dwie cienkie jak igły strugi światła. Zdumiony okrzyk Vilja zlał się w jeden dźwięk z traskiem, z jakim krążek, który trzymał w dłoni, uderzył o ścianę sali.

— Świetnie — odezwał się Bai. Wstał i schylił się, żeby podnieść z podłogi pierwszy krążek. — Viljo, pokażcie teraz wszystkim ten, który trzymaliście.

Nawet z tak dużej odległości Jonny mógł dostrzec niewielki otwór, widniejący nieznacznie w bok od środka namalowanej czarnej plamki.

— Jesteście pod wrażeniem tego, co zobaczyliście, hm? — zapytał zebranych Bai, powracając na podium i unosząc dysk. — Rzecz jasna, nie możecie się spodziewać, że przeciwnik będzie stał i czekał, aż go traficie.

Ten strzał nie był już tak precyzyjny jak tamten pierwszy. Otwór zrobiony przez promień lasera widniał na samym skraju czarnej plamki, a kiedy światło lamp odbiło się od krążka, Jonny dostrzegł, że metal wokół plamki pomarszczył się pod wpływem żaru. Niemniej wszystko to było zdumiewające, zwłaszcza że Jonny nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie Bai ukrywał swoje miotacze laserowe.

Albo gdzie, jeżeli już o tym mowa, znajdowały się w tej chwili.

— To powinno wam dać pojęcie o tym, do czego może być zdolny Kobra — odezwał się Mendro, który zdążył w tym czasie powrócić na podium i wskazać, by Viljo usiadł. — Teraz pokażę wam, na czym właściwie polegały te sztuczki.

Sięgnął po pulpit komputerowy, wystukał na klawiaturze jakąś instrukcję i po chwili przed oczami zebranych w sali stanął tuż obok Mendra naturalnej wielkości wizerunek mężczyzny.

— Na zewnątrz Kobra nie różni się niczym od normalnego cywila — oświadczył. — To, czym się różni, ukryte jest w jego wnętrzu.

Hologramowy wizerunek mężczyzny zbladł, a pozostał jedynie świecący na niebiesko szkielec z dziwnego kształtu białymi, rozmieszczonymi w różnych miejscach plamami.

— To niebieskie to laminat ceramiczny, który sprawia, że wszystkie większe kości i większość mniejszych stają się praktycznie niełamiwe — ciągnął. — Zabieg ten w połączeniu ze wzmocnieniem najważniejszych więzadeł jest jednym z kilku powodów, dla których ce-trzy Bai mógł wykonywać te skoki do sufitu i nie stracić przy tym życia. Kości nie pokryte laminatem, które tutaj widzicie, pozostawiono w tym celu, aby umożliwić szpikowi wytwarzanie czerwonych ciałek.

Po wystukaniu kolejnej instrukcji na klawiaturze łąciaty niebiesko-biały szkielec poszarzał. Na tle tej szarości pojawiły się teraz małe, żółte, jajowatego kształtu obszary, które pokryły wszystkie stawy hologramowego szkieletu.

— Serwomotory — wyjaśnił rzeczowo Mendro. — Pozostałe mechanizmy, dzięki którym Bai wykonał swoje skoki. Działają jak wzmacniacze siły w podobny sposób jak w standardowych egzozszkieletach czy ubiorach do prowadzenia walki, tyle że są niemal niemożliwe do wykrycia. Zasila je to cacko tutaj.

Wskazał na nieregularnego kształtu obiekt umieszczony mniej więcej w okolicach żołądka.

— Nie będę wam wyjaśniał, jak to funkcjonuje, bo sam zbyt dobrze tego nie rozumiem. Wystarczy mi, że działa i to działa niezawodnie.

Jonny przypomniał sobie jeszcze raz niesamowite skoki Baia i poczuł, że żołądek zaczyna mu się skręcać. Nie wątpił, że laminowane kości i serwomotory były przydatne i dobre, ale takich sztuczek nie można się nauczyć z dnia na dzień. Albo więc szkolenie Kobr miało trwać co najmniej kilka miesięcy, albo Bai był mężczyzną wyjątkowo wysportowanym... a jedyne, czego Jonny mógł być absolutnie pewien, to to, iż nie zakwalifikowano go do tego oddziału ze względu na jego osiągnięcia w sporcie. Zapewne wojsko przygotowywało się do długiej, mogać się ciągnąć przez wiele lat wojny.

Tymczasem na hologramowym wizerunku na podium obraz szkieletu uległ kolejnej zmianie. Pojawiły się na nim teraz czerwone plamy.

— A oto uzbrojenie zaczepne i obronne Kobry — oznajmił zebrany Mendro. — Niewielkie miotacze laserowe w opuszkach obydwu małych palców dłoni. W jednym z nich umieszczono także elektrody sterujące miotaczem energii elektrycznej. Kondensator ładujący ten miotacz został schowany w tym oto zagłębieniu ciała. W lewej łydce znajduje się przeciwpancerny laser, a w tych miejscach dwa głośniki stanowiące dwa różne systemy broni sonicznych. Nad oczami i uszami rozmieszczono wzmacniacze wzroku i słuchu. Są jakieś pytania?

— Rekrut MacDonald, sir — odezwał się w regulaminowy sposób jeden z zebranych. — Czy te wzmacniacze wzroku są podobne do obiektów celowniczych

stosowanych w ubiorach do prowadzenia walki, w których przed oczami żołnierza pojawiają się dane dotyczące odległości i szybkości przemieszczania się celu?

Mendro pokręcił głową.

— Tamte celowniki nadają się do walki na duże i średnie odległości, ale nie na małe, z jakimi najczęściej będziecie mieli do czynienia. To zaś prowadzi nas do najważniejszego problemu, jaki wiąże się z całym tym przedsięwzięciem.

Czerwone obszary na hologramie zniknęły, a wewnątrz czaszki pojawił się zielony obiekt wielkości orzecha włoskiego, umieszczony bezpośrednio pod mózgiem. Odchodziły od niego liczne wijące się cienkie odnogi, z których większość przebiegała wzdłuż kręgosłupa, potem odgałęziały się pojedyncze nitki i kończyły w różnych miejscach. Spoglądając na to, Jonny wrócił pamięcią do obrazka zapamiętanego z podręcznika biologii, z jakiego się uczył, będąc jeszcze w czwartej klasie. Był to rysunek przedstawiający system nerwowy istoty ludzkiej...

— To jest komputer — odezwał się po chwili Mendro, uderzając palcem w zielony orzech. — Być może najbardziej skomplikowany komputer o tak małych rozmiarach, jaki kiedykolwiek udało się skonstruować. Te włókna światłowodowe — pokazał na sieć żyłek — dochodzą do wszystkich serwomotorów i rodzajów broni, a także do kinestetycznych czujników implantowanych bezpośrednio w warstwie laminującej kości Kobry. Wasze obiektywy celownicze, MacDonald, wymagają ciągłego naprowadzania na cel i strzelania, ten nanokomputer pozwala na dokonywanie tych operacji w sposób automatyczny.

Jonny popatrzył na MacDonalda i dostrzegł, jak tamten z namysłem skinął głową. Sam pomysł, rzecz jasna, nie był nowy — skomputeryzowane uzbrojenie stanowiło standardowe wyposażenie zarówno floty gwiazdnej jak i lotnictwa atmosferycznego — ale dawanie do ręki indywidualnemu żołnierzowi tego rodzaju broni stanowiło prawdziwą rewolucję.

Mendro miał w zanadrzu więcej niespodzianek.

— Oprócz możliwości automatycznego prowadzenia ognia, nanokomputer będzie dysponował zestawem zaprogramowanych odruchów najczęściej używanych w trakcie walki, odruchów, które nie tylko pozwolą na zejście z toru lotu pocisku, ale i dokonywanie ewolucji, jakie przed chwilą oglądaliście na własne oczy. Reasumując — na hologramie pojawiły się teraz wszystkie różnobarwne, nakładające się na siebie elementy — będziecie stanowili grupę najbardziej groźnych komandosów, jakich wydała ludzkość.

Wyświetlał ten hologramowy obraz jeszcze przez kilka sekund, potem wyłączył go i odłożył pulpity komputerowe na jedno z wolnych stojących obok niego krzesel.

— Kiedy zostaniecie Kobrami, będziecie stanowili pierwsze i najważniejsze ogniwo naszej kontr ofensywnej strategii, która, jak sądzę, na zawsze wyprze Troftów z planet należących do Dominium Ludzi... z tym jednak będą się wiązały określone koszty. Wspomniałem już o niebezpieczeństwach natury wojskowej, jakim będziecie

musieli stawić czoło. Na tym etapie nie jesteśmy w stanie nawet w przybliżeniu ustalić, ilu spośród was straci życie, ale mogę zapewnić, że bardzo wielu. Poza tym będziemy musieli dokonać na waszych ciałach wielu chirurgicznych zabiegów i operacji, a takie rzeczy nigdy nie należą do przyjemności. Najistotniejsze jest jednak to, że większości tego, co będziemy musieli wam wszczepić, już nigdy nie da się usunąć. Do takich nieusuwalnych rzeczy należy laminat, a to zmusza do zachowania także serwomotorów i nanokomputera. Bez wątpienia pojawią się też problemy, jakich w tej chwili nie można sobie nawet wyobrazić, gdyż jako pierwsza generacja Kobr odczujecie na własnej skórze lwią część tych wszystkich usterek projektowych, jakie być może zostały przez nas przeoczone. — Przerwał i rozejrzał się po sali. — Powiedziawszy zaś to wszystko, chciałbym wam jednak przypomnieć, że znaleźliście się w tym miejscu, ponieważ was potrzebujemy. Każdy z was wykazał się podczas testów dużą inteligencją, odwagą i odpornością psychiczną. Na tej podstawie mogę stwierdzić, że stanowicie dobry materiał na Kobry. Powiem wam też, że wcale nie jest was tak cholernie dużo. Tak więc im więcej postanowi się zaciągnąć, tym szybciej będziemy mogli wepchnąć tę wojnę z powrotem w pęcherze gardłowe Troftów, w nadziei, że odtąd zawsze powinna w nich pozostawać. Resztę tego dnia spędzicie, lokując się w przydzielonych kwaterach i zapoznając się z całym Kompleksem Freyra... — popatrzył w stronę Vilja — ...i być może oglądając eksponaty wystawione na korytarzu obok wejścia. Jutro rano wrócicie do tej sali i każdy z was powie mi, co postanowił.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po sali

— Tyle na dziś, a teraz możecie się rozejść.

Jonny spędził pozostałą część dnia w sposób, jaki zalecił Mendro. Poznał współlokatorów — było ich, nie licząc niego, pięciu — oraz zwiedził budynki i otaczające je place składające się na Kompleks Freyra. Chodząc po budynku, domyślił się, że oddziałowi Kobra przydzielono do dyspozycji całe piętro. Za każdym razem, kiedy mijał świetlicę, słyszał, jak w grupach siedzących tam młodych ludzi zawzięcie dyskutowano na temat zalet i wad przedstawionej propozycji. Czasami zatrzymywał się i przysłuchiwał tym dyskusjom, ale przeważnie przechodził obok, dobrze wiedząc, że żadne argumenty nie zdołałyby zmienić jego postanowienia. To prawda, że podjęcie decyzji nie było wcale łatwe... ale trafił do tego miejsca, gdyż chciał nieść pomoc cywilnej ludności zamieszkującej podbite światy. Nie zamierzał się wycofywać tylko dlatego, że miało to kosztować trochę więcej, niż początkowo myślał.

A poza tym — ucziwie musiał to przyznać przed samym sobą — całe to przedsięwzięcie pachniało mu przygodami superbohaterów z widowisk i komiksów, które tak pobudzały jego wyobraźnię, kiedy był jeszcze dzieckiem. Szansa zostania

kimś obdarzonym nadludzkimi umiejętnościami pozostała dostateczną zachętą nawet teraz, kiedy został poważnym studentem.

Dyskusje w jego pokoju przeciągnęły się aż do chwili, w której zgaszono światło, ale Jonny'emu udało się nie brać w nich udziału. Dzięki temu mógł znacznie wcześniej zasnąć i kiedy następnego ranka zabrzmiał sygnał pobudki, jako jedyny z całej szóstki nie kłął pod nosem, że musi wstawać o tak nieludzko wczesnej porze. Ubrał się jak najszybciej i poszedł do stołówki, a kiedy wrócił do pokoju, zastał w nim jedynie śpiącego nadal Vilja — pozostali zdążyli już wyjść na śniadanie. Potem udał się do sali C — 662 i stwierdził, że był trzecim, który oficjalnie zgodził się zostać Kobrą. Mendro pogratulował mu decyzji, wygłosił krótkie okolicznościowe przemówienie, a później wręczył kartkę z harmonogramem naprawdę przerażających zabiegów chirurgicznych, jakim już wkrótce Jonny miał się poddać. Poszedł do skrzydła medycznego. Czuł nerwowe skurcze w żołądku, ale przynajmniej miał pewność, że postąpił słusznie. Kilka razy w ciągu następnych dwóch tygodni to jego przeświadczenie miało być wystawiane na ciężkie próby.

— W porządku, Kobry, a teraz posłuchajcie!

Głos Baia zabrzmiał jak pomruk grzmotu w półmroku asgardzkiego świtu, a Jonny stłumił spazm mdłości, które pod wpływem tego głosu i mroźnego powietrza przeszły przez coś, co zostało z jego żołądka. Nigdy przedtem z powodu dreszczy nie zaczynało mu się zbierać na wymioty... ale też nigdy przedtem jego ciała nie poddano tak licznym i tak silnym stresom. Po tych wszystkich zabiegach czuł pulsowanie tępego bólu ogarniającego ciało od gałek ocznych do czubków palców u nóg. Ciało tylko w ten sposób mogło sygnalizować, jak bardzo jest niezadowolone. Kiedy tak stał w szeregu razem z pozostałymi trzydziestoma pięcioma rekrutami, przestępując nerwowo z nogi na nogę, czuł dziwny ucisk i mrowienie w miejscach, w których narządy ocierały się o wszczepione mu urządzenia i systemy umożliwiające ich działanie. Na myśl o tych wszystkich zmianach, jakim został poddany jego organizm, ogarnął go nowy paroksyzm mdłości. Całą siłą woli zmusił się do zwrócenia uwagi na to, co mówił Bai.

— ...dla was ciężkim przeżyciem, ale z własnego doświadczenia wiem, że wszystkie te pooperacyjne objawy powinny ustąpić w ciągu kilku dni. Tymczasem zaś nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście zaczęli się przyzwyczajać do tego, co macie teraz w środku.

Z pewnością się zastanawiacie, dlaczego nosicie komputery zawieszane na szyjach, zamiast we wnętrzach czaszek. Hm? No cóż, wszyscy jesteście bardzo mądrzy, a w ciągu ostatnich dwóch tygodni nie mieliście nic do roboty poza zastanawianiem się nad takimi problemami. Ktoś z was zechciałby może pochwalić się tym, do czego doszedł?

Jonny rozejrzał się, czując miękki ucisk opaski z komputerem, ocierającej się o jego szyję, ilekroć poruszył głową. Był niemal pewien, że zna prawidłową odpowiedź, ale nie chciał być pierwszym, który się zgłosi.

— Rekrut Noffke, sir — odezwał się Parr Noffke, jeden ze współlokatorów pokoju, w którym został zakwaterowany Jonny. — To dlatego, że pan nie chce, żeby nasze uzbrojenie było w pełni przydatne do walki, dopóki nie opuścimy Asgardu.

— Blisko — rzekł Bai i kiwnął poważnie głową. — Moreau? Chcielibyście może jeszcze coś dodać? Zdumiony Jonny spojrzał na Baia.

— Mmm... Czy to może dlatego, że zamierza pan etapami wprowadzać nas w tajniki naszego wyposażenia, uzbrojenia i wszystkich innych urządzeń, stopniowo, a nie we wszystko naraz?

— Będziecie musieli się nauczyć formułowania waszych myśli bardziej jasno, Moreau, ale tak, mniej więcej macie rację — odparł Bai. — Po implantowaniu komputera nie możemy zmienić niczego w jego oprogramowaniu, a więc będziecie nosili komputery programowalne tak długo, dopóki będzie istniało niebezpieczeństwo, że pozabijacie się nawzajem podczas ćwiczeń. No dobrze — lekcja pierwsza. Spróbujcie wyczuć możliwości, jakie dają wam teraz zmienione ciała. Pięć kilometrów za mną ujrzyjecie starą wieżę używaną kiedyś do obserwacji celności ognia artylerii. Biegacze z różnych planet pokonują ten dystans mniej więcej w dwanaście minut, a wy macie pokonać go w dziesięć. Ruszajcie!

Odwrócił się i pobiegł w stronę widocznej na horyzoncie starej wieży, a rekruci puścili się beżładną grupą w ślad za nim. Jonny znajdował się gdzieś w środku tej grupy, próbując utrzymywać równe tempo i walcząc z ogarniającymi go sprzecznymi uczuciami, że jego ciało jest równocześnie za lekkie i za ciężkie. Pięć kilometrów było odległością dwukrotnie większą od tej, jaką kiedykolwiek w życiu przebiegł — nieważne, jak szybko — toteż w chwili, w której dobiegł do wieży, był zdyszany jak stary parowóz, a z wysiłku pogorszyła mu się ostrość wzroku.

Bai już na nich czekał. Jonny, stając, omal się nie potknął.

— Staraj się nie oddychać, dopóki nie doliczysz do trzydziestu — polecił mu zwięźle instruktor i niemal w tej samej chwili odszedł na bok, powtarzając to samo innemu, tak samo zdyszanemu biegaczowi.

Jonny zdziwił się, kiedy stwierdził, że udało mu się dokonać tego bez trudu, a gdy ostatni biegacze znaleźli się obok wieży, mógł znów oddychać i widzieć tak dobrze, jak przed biegiem.

— To była lekcja jeden i pół — burknął Bai. — Mniej więcej połowa z was dopuściła do przetlenienia organizmów... i to bez żadnego powodu, jeżeli nie Uczyć przyzwyczajenia. Przy takiej prędkości, z jaką biegliście, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu procent wysiłku powinny przejmować na siebie serwomotory. Po pewnym czasie wasze ciała przywykną do tych zmian, ale zanim to nastąpi, musicie z pełną świadomością zwracać dużą uwagę na każdy szczegół.

Dobrze, a teraz lekcja numer dwa: skakanie. Zaczniemy od pionowych skoków na różne wysokości, ale wy zaczniecie od przyglądania się temu, jak ja to robię. Jeszcze nie macie zaprogramowanych odruchów ułatwiających prowadzenie walki, i chociaż nie możecie połamać sobie kości, to gdybyście stracili równowagę podczas lądowania, moglibyście uderzyć się w głowę, a to by bolało. Przyglądajcie się więc i uczenie.

Przez następną godzinę uczyli się, jak skakać i jak korygować trajektorię lotu, ilekroć stawało się to konieczne, a także jak lądować bezpiecznie na ziemi w sytuacjach, w których takie korekty okazywały się niedostateczne. Później Bai zwrócił uwagę na wieżę obserwacyjną, po czym nauczył ich kilkunastu różnych sposobów wspinania się po jej zewnętrznych murach. Zanim ogłosił przerwę na drugie śniadanie, każdy odbył niebezpieczną wspinaczkę po pionowej ścianie do otwartego okna na najwyższym piętrze. Potem zaś na rozkaz dany przez Baia wszyscy wyciągnęli z plecaków połowe racje żywnościowe i zabrali się do jedzenia, starając się przykleić do muru jak najlepiej umieli i nie zapomnieć o tym, że znajdują się na wysokości dziesięciu metrów nad ziemią.

Popołudnie spędzili na ćwiczeniach w posługiwaniu się serwomotorami ramion, kładąc szczególny nacisk na naukę, w jaki sposób przenosić duże ciężary tak, aby nie nadwerężyć mięśni i naczyń krwionośnych. Nie było to takie trywialnie proste, jak na pierwszy rzut oka wyglądało, i chociaż Jonny zakończył te ćwiczenia z kilkoma zaledwie naciągniętymi mięśniami, to inni doznali nieco poważniejszych wewnętrznych krwotoków, pęknięć lub otarć naskórka. Osoby z najcięższymi obrażeniami Bai odesłał natychmiast do szpitala, a pozostali kontynuowali trening, dopóki słońce nie znalazło się bardzo nisko. Jeszcze jeden pięciokilometrowy bieg i znaleźli się ponownie w budynku centralnym kompleksu. Po zjedzeniu obiadu ponownie zgromadzili się w sali C — 662 na wieczorne wykłady z dziedziny strategii i taktyki działań partyzanckich. W końcu obolałych na ciele i na duchu Bai odesłał z powrotem do kwater.

Jonny pojawił się w swoim pokoju po raz pierwszy po dwóch tygodniach pobytu na oddziale chirurgicznym kompleksu, ale zastał go w takim samym stanie, w jakim go zapamiętał. Poszedł prosto do swojej pryczy i zwałił się na nią bezwładnie, spodziewając się jęku protestu wszystkich sprężyn. Była to oczywiście tylko gra wyobraźni — ostatecznie nie stał się o wiele cięższy z powodu tego całego żelastwa, jakie mu implantowano. Rozciągając obolałe mięśnie, przyjrzał się otarciom na rękach i był ciekaw, czy będzie miał tyle siły, aby przetrwać następne cztery tygodnie takich ćwiczeń.

Jego współlokatorzy pojawili się w niespełną minutę po nim. Wchodząc bezładną grupą, wciąż dyskutowali o przeżyciach minionych dwunastu godzin.

— ...mówię ci, że wszyscy rekruci w wojsku muszą się zachowywać jak roboty przy taśmie montażowej — przekonywał pozostałych Cally Halloran, kiedy jeden po drugim wchodzili do środka. — To jeden z elementów hartowania ducha i robienia z rekrutów żołnierzy. Psychologia, chłopa, psychologia.

— Chrzań psychologię — wyraził swoje zdanie Parr Noffke, nachylając się nad pryczą i udając, że za pomocą kilku skłonów stara się rozluźnić mięśnie. — Cały ten bajer z drugim śniadaniem jedzonym na wysokości dziesięciu metrów. Ty to nazywasz hartowaniem ducha? Mówię ci, że Bai uwielbia wyciskać z nas siódme poty.

— Ale przynajmniej ci udowodnił, że możesz się utrzymać bez zwracania całej uwagi na palce, prawda? — sprzeciwił się oschle Imel Deutsch.

— Mówię wam, chłopa — zgodził się z nim Halloran — tylko psychologia. Noffke parsknął i dał sobie spokój z ćwiczeniami.

— Hej, Druma, Rolon! — powiedział. — Chodźcie tu i przyłączcie się do mnie! Jest jeszcze na tyle wcześnie, że możemy poświęcić trochę czasu na karty!

— Za chwileczkę — łagodny głos Drummy Singha doleciał ich z łazienki, w której zniknął niedawno razem z Rolonem Viljem.

Kiedy po chwili wrócił do pokoju, Jonny dostrzegł na jego rękach bladoniebieskie aseptyczne bandaże i domyślił się, że Viljo pomagał mu zmieniać opatrunki.

— A ty co, Mistrzu Odpowiedzi? — zapytał Noffke, zwracając się do Jonny'ego. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie umiesz grać w królewskiego oszukańca?

Mistrz Odpowiedzi?

— Znam jedną wersję tej gry, ale myślę, że nie gra się w nią na innych światach — odparł Noffkemu.

— No, cóż, trzeba by się o tym przekonać — rzekł tamten, wzruszył ramionami, podszedł do okrągłego stołu i ze stojącej na nim torby wyciągnął talię kart. — Chodź do nas. Zgodnie z regułami panującymi na Regininie nie wolno nie przyjąć zaproszenia, chyba że to gra na pieniądze.

— Od kiedy to na Asgardzie mają obowiązywać reguły reginińskie? — zapytał zaczepnie Viljo, przechodząc z łazienki do pokoju. — Dlaczego nie reguły ziemskie, zgodnie z którymi w karty gra się tylko na pieniądze?

— A zgodnie z regułami panującymi na Aerie gra się o posiadłości ziemskie — wtrącił Halloran, leżący już na swojej pryczy.

— Reguły panujące na Horizonie... — zaczął Jonny.

— Może nie zapuszczajmy się tak daleko na peryferie Dominium, dobrze? — przerwał mu w pół zdania Viljo.

— A może powinniśmy po prostu pójść do łóżek? — odezwał się Singh, dołączając do reszty grupy. — Jutro niewątpliwie też będzie bardzo ciężko.

— Daj spokój — pokręcił głową Deutsch, siadając przy stole obok Noffkego. — Kilka rozdań z pewnością pomoże nam się odprężyć. Poza tym to jedna z tych rzeczy, dzięki którym lepiej się poznamy. Psychologia, Cally. Czy mam raqę?

Halloran zachichotał, przekręcił się na łóżku i wstał.

— To był cios poniżej pasa — odparł. — No, dobra, ja też jestem. Chodź, Jonny. Druma, Rolon... reguły reginińskie, tak jak powiedziano. I tylko jedna partia.

Reguły, jakie wyjaśnił wszystkim Noffke, okazały się bardzo podobne do zasad królewskiego oszukańca, które znał Jonny; mógł więc się czuć dosyć pewnie, kiedy rozdano karty po raz pierwszy. Zupełnie nie zależało mu na wygranej, ale bardzo nie chciał popełnić żadnego głupiego błędu. Złośliwa uwaga Vilja na temat peryferii Dominium uświadomiła mu w końcu bardzo jasno, dlaczego czuł się tak niepewnie pośród tych równych mu wiekiem młodych ludzi, z których wszyscy, jeżeli nie liczyć Deutscha, pochodzili ze światów starszych i bardziej rozwiniętych od Horizonu. Deutsch zaś, jedyny rekrut przybyły z Adirondack, cieszył się specjalnym statusem jako miejscowy autorytet na jednym z dwóch światów opanowanych przez wojska Troftów. Pozostali nie manifestowali swych uczuć w sposób tak dobitny jak Viljo, ale Jonny czuł, że w głębi duszy wszyscy myśleli mniej więcej tak samo. Wykazanie więc, że potrafi grać w poważną grę w karty nie gorzej od nich, mogło być pierwszym krokiem na drodze ku przewyciężeniu myślowych stereotypów na temat zacofanych planet w ogóle, a Jonny'ego w szczególności.

Być może dystans, z jakim podchodził do gry, wspomógł jego przeciętne umiejętności taktyczne, a może nieznacznie lepiej niż którąkolwiek przedtem. Z sześciu rozdań wygrał jedno bezapelacyjnie, w dwóch następnych także zwyciężył dzięki umiejętnemu blefowaniu, a tylko jedno przegrał, kiedy Noffke z uporem licytował coraz wyżej, mając karty, z którymi powinien był spasować znacznie wcześniej. Viljo zaproponował wszystkim rozegranie następnej partii — a szczerze mówiąc, zażądał tego od nich — ale Singh przypomniał mu o wcześniejszych ustaleniach i wszyscy zajęli się przygotowaniami do spędzenia nocy.

Przez kilka pierwszych minut po zgaszeniu światła Jonny odtwarzał w myśli przebieg gry, doszukując się w każdym zapamiętanym geście czy słowach pozostałych graczy oznak, że dzielące ich bariery społeczne zaczęły przynajmniej pękać. Był jednak zbyt zmęczony i wkrótce musiał zrezygnować. Doszedł tylko do wniosku, że mogli przecież wyłączyć go z tej gry w karty, a tuż przed zapadnięciem w sen pomyślał, że być może najbliższe cztery tygodnie uda mu się mimo wszystko jakoś przeżyć.

W ciągu pierwszego tygodnia ćwiczeń wypróbowywali działanie serwomotorów, wzmacniaczy słuchu i wzroku, a także po raz pierwszy uczyli się posługiwać bronią. Powiedziano im, że umieszczone w małych palcach u rąk niewielkie lasery, które zaprojektowano z myślą o cieciu metali, mogą być z równym powodzeniem używane na krótkie odległości jako osobista broń do walki z żywymi istotami. Bai podkreślił, że na razie moc wyjściową tych laserów ograniczono do kilku procent dawki umożliwiającej zabijanie, ale Jonny pomimo tej uwagi wcale nie czuł się pewnie, kiedy

wypróbowywał siłę i celność strzałów na łatwotopliwych, wykonanych ze stopu cynowego celach.

by nie mysiec, co może zdziałać jedno nieostrożne drgnięcie dłoni sterowanej za pomocą serwomechanizmu. Sytuacja uległa pogorszeniu, kiedy wyposażono ich w urządzenia do półautomatycznego namierzania. Bardzo łatwo można było wtedy przypadkowo zwrócić głowę w inną stronę, co przy włączonym systemie naprowadzania mogło spowodować strzelanie do zupełnie innego celu. Jednak zwykły hit szczęścia — a może instrukcje Baia — sprawiły, że nic takiego się nie stało, i kiedy ostatnia seria ćwiczeń dobiegała końca, Jonny stwierdził, że potrafi stać między migającymi nitkami światła i nie mrugać. A przynajmniej nie bardzo. Na początku drugiego tygodnia zaczęli ćwiczyć razem to, co dotychczas poznali.

— Słuchajcie uważnie, Kobry, ponieważ dzisiaj będziecie mieli po raz pierwszy okazję zmierzyć się z przeciwnikiem — powiedział Bai, nie zważając na to, że wszyscy stali w ulewnym deszczu.

Moknąc w szeregu przed nim, Jonny próbował sobie wmówić, że i jego to nic nie obchodzi, ale ciekące po plecach strumyki wody były zbyt zimne, by mu się to udawało.

— Sto metrów za mną widzicie wysoki mur — ciągnął tymczasem Bai. — Otacza kwadratowe podwórze, na którym stoi budynek. Wzdłuż szczytu każdej ze ścian muru przebiega strumień światła symulujący laser systemu obronnego wroga. Po podwórzu poruszają się zdalnie sterowane roboty symulujące strażę Troftów. Waszym celem jest znajdująca się w tym budynku mała czerwona skrzynka, którą nie uruchamiając alarmu powinniście odnaleźć i z którą powinniście stamtąd wyjść.

— Świetnie — mruknął pod nosem Jonny.

Jego żołądek już zaczął wyprawiać dzikie harce.

— Dziękuj, że nie znajdujesz się na Regininie — dobiegł go szept stojącego tuż przy nim Noffkego. — U nas kieruje się lasery obronne w g ó r ę, a nie wzdłuż zwieńczenia muru.

— Wszystkie zdalności zostały zaprogramowane zgodnie z naszymi najnowszymi ustaleniami na temat zdolności postrzegania i reagowania żołnierzy Troftów — mówił Bai. — Kierują nimi najlepsi operatorzy, jakich mamy, więc nie liczcie na to, że popełnią jakieś głupie błędy. Zdalności są uzbrojone w karabiny strzelające rozpryskowymi kapsułkami z jaskrawą farbą i jeśli któryś z was zostanie taką trafiony, będzie uznany za zabitego. Jeżeli narobicie zbyt wiele hałasu, a jego poziom będą mierzyły czujniki natężenia dźwięku, to nie tylko zarobicie punkty karne, ale najprawdopodobniej ściągniecie sobie na kark zdalności i zostaniecie przez nie zastrzeleni. Oprócz tego w pobliżu budynku możecie się spotkać z różnorakimi urządzeniami automatycznymi oraz z niezbyt złośliwymi pułapkami, które będziecie musieli ominąć. Nie pytajcie mnie, z jakimi, bo i tak nie powiem. Hm? No, dobra.

Aldred, pozostajecie na swoim miejscu, reszta rozejść się do tego namiotu po waszej lewej stronie.

Jeden po drugim, rekruci podchodzili do Baia, omijali go i kierowali się przez błotnistą łąkę w stronę muru. Bai nie raczył im powiedzieć, że każde trafienie jest sygnalizowane głośnym wyciem syreny alarmowej. Kiedy więc znikaniu każdej Kobry za murem towarzyszyło wcześniej czy później owo upiorne wycie, ciche głosy rekrutów rozmawiających w namiocie stawały się z minuty na minutę coraz bardziej nerwowe. Ale gdy ósmy rekrut z kolei — tak się złożyło, że był nim Deutsch — ukazał się z czerwoną skrzynką na murze bez uruchamiania alarmu, w namiocie dało się słyszeć zbiorowe westchnienie ulgi, które w tej sytuacji było równie wymowne co owacja.

Wkrótce też przyszła kolej na Jonny'ego.

— Dobra, Moreau, wszystko przygotowane — oznajmił mu Bai. — Pamiętajcie, że będziemy oceniali waszą spostrzegawczość i zdolność do poruszania się jak zjawa, a nie szybkość. Nie spieszcie się więc i pamiętajcie o tym, czego uczyłem was w ciągu ostatnich kilku wieczorów, a wszystko będzie dobrze. Hm? Dobrze, a teraz ruszajcie.

Jonny skulił się i przebiegł przez błotnistą łąkę, starając się stanowić dla hipotetycznych czujników optycznych cel jak najtrudniejszy do trafienia. Dziesięć metrów przed murem zatrzymał się i rozejrzał w poszukiwaniu zasieków z drutu kolczastego, czujników rozmieszczonych w murze i możliwych dróg wspięcia się na wierzchołek. Na szczęście nie dojrzał nic niebezpiecznego, ale po stronie minusów mógł zapisać zupełny brak jakichkolwiek występow, na których mógłby oprzeć stopy. Podszedł więc do muru i jeszcze raz uważnie mu się przyjrzał. Potem, mając nadzieję, że prawidłowo ocenia wysokość, ugiął nogi w kolanach i skoczył. Skok okazał się nieco zbyt krótki, ale w kulminacyjnym momencie udało się Jonny'emu zaczepić zgiętymi palcami o szczyt muru.

Na razie szło mu bardzo dobrze. Uwieszony u krawędzi muru, rozejrzał się na boki i ujrzał aparaturę fotoelektryczną, z ustawienia której mógł wywnioskować, że przedostanie się na drugą stronę będzie wymagało przeskoczenia krawędzi co najwyżej o dwadzieścia centymetrów. Nie będzie to trudne nawet w drodze powrotnej... zakładając, że nie będzie miał na karku goniących go pseudo-Troftów.

Zaciśnięciem zębów włączył wzmacniacz słuchu. Zagryzając zęby jeszcze trzykrotnie, nastawił wzmocnienie na maksimum. Szum padającego deszczu brzmiał teraz jak huk grzmotów, ale na tym tle mógł słyszeć także inne, o wiele słabsze dźwięki. Doszedł do przekonania, że żaden nie brzmiał jak odgłos kroków brnącego przez błotniste podwórze zdalniaka. W duchu trzymał za siebie kciuki. Wystawił głowę nad mur i spojrzął, wyłączwszy uprzednio wzmacniacz słuchu.

Znajdujący się za murem budynek okazał się mniejszy, niż Jonny oczekiwał. Była to parterowa budowla zajmująca mniej więcej jedną dziesiątą podwórza. Obok niej nie

dostrzegł żadnych przechadzających się strażników; rozejrzał się zatem szybko po ogrodzonym placu.

Pusto.

Albo miał niesamowite szczęście, albo strażnicy w tej chwili kryli się pod przeciwległą ścianą domu, albo też wszyscy byli w środku, być może obserwując podwórze zza zaciemnionych okien. Tak czy inaczej, Jonny nie miał wyboru i postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji. Podciągnął się na prawej ręce, odepchnął i przyciskając ręce do boków, aby nie przecięły promienia fotokomórki, przerzucił ciało na drugą stronę. Dopiero kiedy szybował nad przeszkodą, miał okazję przyjrzeć się miejscu, w którym zamierzał wylądować...

I w którym dostrzegł połyskujący metal korpusu przyczajonego tam zdalniaka.

Przez umysł przeleciała mu tylko jedna myśl: To niesprawiedliwe! Włączywszy system naprowadzania na cel, wyciągnął ręce w kierunku zdalniaka i dał ognia z obu laserów. Zajęty strzelaniem, wylądował w następnej sekundzie zawstydzająco nieporadnie, ale miał tę satysfakcję, że uczynił to w tej samej chwili, w której strażnik przewrócił się na ziemię.

Nie było czasu na składanie sobie gratulacji, toteż w następnej sekundzie Jonny biegł w kierunku budynku. Wiedział, że bez względu na to, gdzie w tej chwili przebywają inni strażnicy, wkrótce się zorientują, co stało się z ich kolegą. Jonny musiał się więc pospieszyć, dopóki inicjatywa pozostawała w jego rękach. Dobiegł do najbliższej ściany, potem podszedł do rogu i ostrożnie wystawił głowę. Nie zobaczył nikogo, ale ujrzał schody wiodące do drzwi wejściowych. Puścił się ku nim pędem i już do nich dobiegał...

Dźwięk brzęczyka, jaki rozległ się obok niego, niemal go ogłuszył, chociaż Jonny już wcześniej wyłączył wzmacniacz słuchu. Zaklął cicho pod nosem, orientując się poniewczasie, że widocznie uruchomił jedno z automatycznych urządzeń, przed którymi ostrzegał ich Bai. Nie musiał się przecież tak spieszyć, a przeciwnie, powinien poświęcić więcej czasu na obserwację. Teraz było już za późno i Jonny'emu nie pozostało nic poza przygotowaniem się do walki. Gdyby tak zdołał się przedostać do środka, zanim strażnicy będą mieli czas zareagować, może mógłby mieć jakąś szansę... Stojąc przed drzwiami, wycelował laser w zrobiony ze stopu cynowego zamek i wtedy nagle spoza dalej położonego rogu domu wyłonił się jakiś zdalniak.

Jonny odskoczył od budynku, upadł na ziemię i zaczął się turlać, w trakcie tych ewolucji kierując rękę w stronę strażnika. Nie zdążył oddać strzału. Usłyszał, że drzwi domu się otwierają. Zanim miał czas chociażby odwrócić głowę w tamtą stronę, poczuł tępe uderzenie kapsułki rozpryskującej się na jego żebrach.

A potem od strony muru dobiegło przenikliwe wycie syreny oznajmiającej całemu światu fakt, że przegrał.

— Niech to będzie dla ciebie nauką — odezwał się czyjś głos z wnętrza budynku.

Jonny odwrócił głowę i zobaczył mężczyznę odzianego w mundur oddziału Kobra stojącego obok zdalniaka, który trafił Jonny'ego.

— Kiedy będziesz miał do czynienia z dwoma lub większą liczbą celów naraz, szybciej trafisz do pierwszego, strzelając na oko, bez używania systemu naprowadzania.

— Dziękuję, sir — westchnął Jonny. — Jak mogę się stąd wydostać?

— Tamtym przejściem. Później wróc do oddziału i oczyść dokładnie mundur. Jeśli cię to pocieszy, wielu innym poszło znacznie gorzej.

Jonny przełknął ślinę, skinął w milczeniu głową i ruszył w kierunku wyjścia. Świadomość, że wielu innych poniosło śmierć wcześniej od niego, nie przyniosła mu ulgi. Śmierć była nadal śmiercią.

— No, więc nareszcie wielka nadzieja Horizonu dostała po tyłku — odezwał się Viljo, odstawiając opróżniony talerz na przeciwległy kraniec stołu i obdarzając Jonny'ego złośliwym uśmiechem.

Jonny wbił wzrok w swój talerz i nie odezwał się ani słowem, starając się skupić na ostatnich kęsach jedzenia, ale poczuł zalewającą go falę żaru. Jadowne odżywki Vilja stawały się w ostatnich dniach coraz częstsze i chociaż Jonny robił, co mógł, by udawać, że nic go to nie obchodzi, napięcie spowodowane tą sytuacją coraz bardziej zaczynało działać mu na nerwy. Obawiał się, że jakakolwiek ostra reakcja z jego strony mogłaby zostać poczytana za oznakę przewrażliwienia albo — co jeszcze gorsze — podkreśliłaby jego prowincjonalne pochodzenie. Mógł tylko zaciskać zęby ze złości i mieć nadzieję, że w końcu Viljo się znudzi i za cel swoich kąśliwych uwag obierze kogoś innego.

Chociaż on się nie odzywał, to czasami stawali w jego obronie inni. Halloran, siedzący teraz przy stole naprzeciw Jonny'ego, uniósł głowę znad talerza i popatrzył na Vilja.

— Nie zauważyłem jakoś, żeby tobie poszło lepiej — powiedział. — Prawdę mówiąc, uważam, że nikt poza Imelem nie ma się czym pochwalić. Taka lekcja pokory wszystkim się bardzo przyda.

— Jasne — burknął Viljo. — Tylko że to Jonny'ego Bai przedstawia nam zawsze jako wzór. Czy tego nie widzicie?

Byłem ciekaw, jak czuje się nasz bohater, kiedy wie, że jest znów tylko zwykłym śmiertelnikiem.

Siedzący obok Vilja Singh poruszył się niespokojnie na krześle.

— Uważam, że grubo przesadzasz, Rolon. A nawet gdyby tak było, to przecież nie ma w tym winy Jonny'ego.

— Doprawdy? — parsknął Viljo. — Daj spokój, wiesz równie dobrze jak ja, w jaki sposób załatwia się sprawy przez protekcję. Z pewnością rodzina Jonny'ego umówiła

się jakoś z Baiem, a może i nawet z samym Mendrem, a Bai robi teraz wszystko, aby zarobić na tę forszę.

Jonny poczuł, że te słowa przepełniły kielich goryczy... miał tego wszystkiego dosyć.

Jednym płynnym ruchem zerwał się od stołu i skoczył, na wpół świadomy tego, że jego odepchnięte krzesło uderzyło o kant stojącego za nim stołu. Wylądował za plecami Vilja, który, zapewne zaskoczony rozwojem sytuacji, nadal siedział. Jonny nie czekał, aż tamten wstanie, tylko schwycił w garść przód jego koszuli, poderwał Vilja na nogi i obrócił ku sobie.

— Masz, czego chciałeś, Viljo — powiedział. — To było ostatnie breffie łąjno, jakie mam zamiar od ciebie tolerować. A teraz odczep się ode mnie, rozumiesz?

Wcale nie wystraszony Viljo popatrzył na niego.

— No, no, coś takiego — odparł. — A więc nasz maminsynek potrafi się denerwować. Domyślam się, że "breffie łąjno" jest jednym z tych egzotycznych powiedzonek, jakich używacie na waszym zadupiu?

Ta kolejna zniewaga przepełniła miarkę. Jonny puścił koszulę Vilja i wymierzył mu cios pięścią między oczy.

Akcja zakończyła się katastrofą. Nie tylko Viljo skutecznie uchylił się przed ciosem, ale serwomotory Jonny'ego nadały mu prędkość i siłę, do jakiej nie był przyzwyczajony, tak że stracił równowagę, przekoziółkował przez krzesło i z trzaskiem wylądował na stole. Przeszywający ból sprawił, że złość przemieniła się w dziką wściekłość. Wstał, przeklinając pod nosem, i ponownie starał się trafić pięścią Vilja. Po raz drugi mu się to nie udało, ale kiedy szykował pięść do zadania trzeciego ciosu, uczył, że czyjeś silne dłonie unieruchamiają mu rękę. Starał się wyrwać z uścisku, ale tylko jeszcze raz stracił równowagę.

— Spokojnie, Jonny, daj spokój! — usłyszał cichy głos tuż obok swojego ucha.

Przesłaniająca umysł czerwona mgiełka nagle zniknęła. Rozejrzał się po sali i stwierdził, że skupione są na nim spojrzenia wszystkich rekrutów oddziału Kobra. Jego ramię zostało unieruchomione przez silne ręce Deutscha i Noffkego, którzy stali zwróceniami twarzami w stronę Vilja, ten zaś — bez najmniejszego nawet zadrapania — stał i uśmiechał się z satysfakcją.

Jonny wciąż starał się dojść do siebie, kiedy głos z interkomu/monitora sali nakazał mu stawić się natychmiast w biurze Mendra.

Rozmowa była krótka, ale niewymownie przykra, i kiedy Jonny wychodził, czuł się jak jeden z cynowych celów na strzelnicy laserowej. Na samą myśl o tym, że miałby teraz powrócić na plac ćwiczeń — i patrzeć wszystkim w oczy — żołądek skakał mu do gardła. Gdy przechodził przez przedpokój biura Mendra, całkiem serio się zastanawiał, czy nie powinien zawrócić i poprosić dowódcę o przeniesienie do innego

oddziału. Wtedy przynajmniej nie musiałby znosić spojrzeń pozostałych rekrutów... Ale kiedy o tym rozmyślał, nogi wiodły go w stronę wyjścia, a gdy znalazł się za drzwiami, cały problem zaszycia się w mysią dziurę rozwiązał się bez jego udziału.

Za drzwiami zobaczył, jak na jego widok od ściany odkleili się Deutsch i Halloran. Podeszli i zaczęli aż zamknie za sobą drzwi.

— Jeszcze żyjesz? — zapytał go Deutsch, ale wyraz jego twarzy dowodził, że martwił się o Jonny'ego nie na żarty.

— Och, tak, jasne — mruknął Jonny, niedorzecznie poirytowany tym niespodziewanym zakłóceniem jego prywatnego wstydu. — Zostałem tylko werbalnie odarty żywcem ze skóry, to wszystko.

— No, chociaż dobrze, że werbalnie — stwierdził Halloran. — Nie zapominaj, że wszystko, co robi Mendro, ma służyć nadrzędnemu celowi. No, głowa do góry, Jonny. Nie wyrzucił cię z oddziału, prawda?

— Nie — mruknął Jonny, czując, że klucha, która mu tkwiła w gardle, zaczyna się z wolna rozpuszczać. — O ile mi wiadomo, to nie. Chociaż Bai też będzie miał do powiedzenia coś na ten temat, kiedy się dowie.

— Och, Bai już o tym wie — rzekł Halloran. — To właśnie on powiedział, żebyśmy tu na ciebie czekali. Poleciał zaprowadzić cię na plac ćwiczeń, jak tylko do siebie dojdiesz. Już doszedłeś?

Wykrzywiając twarz w grymasie, Jonny powoli skinął głową.

— Chyba tak — odparł. — Równie dobrze mogą od razu mu stawić czoło.

— Co, Baiowi? — zapytał go Deutsch, kiedy schodzili po schodach w stronę wyjścia. — Nie martw się, on wie dobrze, o co poszło. Druma i Parr także wiedzą, jeżeli już o tym mowa.

— Chciałbym i ja to wiedzieć. — Jonny pokręcił głową. — Ciekaw jestem, czym Rolonowi podpadłem.

Halloran popatrzył na niego, a Jonny dostrzegł zdziwienie, malujące się na jego twarzy.

— Naprawdę nie wiesz? — zapytał.

— Właśnie to powiedziałem, no nie? Co, może nie podoba mu się nikt, kto nie urodził się w odległości mniejszej niż dziesięć lat świetlnych od Ziemi?

— Podoba się, podoba... — odparł Halloran. — Tak długo, dopóki nie udowodni, że jest w czymś od niego lepszy. Jonny raptownie się zatrzymał.

— O czym ty mówisz? — zapytał. — Niczego nie miałem zamiaru udowadniać. Halloran głęboko westchnął.

— Może tak tego nie traktowałeś, ale Viljo inaczej patrzy na niektóre sprawy. Pamiętasz nasze pierwsze zebranie informacyjne, to, na które się spóźnił? Pamiętasz, kogo postawił mu Bai za wzór, kiedy chciał udowodnić mu, że kłamie?

— No... mnie. Ale tylko dlatego, że byłem ostatnim rekrutem, jaki zameldował się przed nim.

— Być może — zgodził się z nim Halloran. — Ale Rolon o tym nie wiedział. A potem, wieczorem po pierwszym dniu ćwiczeń, ograłeś nas wszystkich w królewskiego oszukańca. Ludzie z Ziemi uważają się od dawna za bardzo dobrych graczy i myślę, że to była ta kropla, która przepełniła puchar gorczy, przynajmniej jeżeli chodzi o Rolona.

Jonny pokręcił głową z nie ukrywanym zdumieniem.

— Ale przecież nie chciałem mu udowadniać, który z nas dwóch jest lepszy...

— Oczywiście, że chciałeś — włączył się Deutsch. — Każdy gra po to, aby wygrać. Rzecz jasna, nie zrobiłeś tego w tym celu, aby go poniżyć, ale w pewnym sensie to jeszcze gorzej. Dla człowieka tak ambitnego jak Viljo, pokonanie go przez kogoś, kogo ma za parweniusza, a kto nawet nie starał się udawać, że wygrana przychodzi mu z wielkim trudem, było czymś więcej, niż mógł przełknąć.

— To co, twoim zdaniem, powinienem teraz zrobić? Upaść na kolana i błagać go o przebaczenie?

— Nie, staraj się w dalszym ciągu być jak najlepszy, i niech diabli porwą całe to jego urażone ego — odparł ponuro Deutsch. — Może wpuszczenie cię do jaskini Mendra zaspokoi jego wykoślawione poczucie godności własnej. Jeśli nie... — zawahał się przez chwilę. — No cóż, jeśli nie nauczy się jakoś z tobą współżyć, to nie sądzę, byśmy potrzebowali go na Adirondack.

Jonny spojrzał na niego ukradkiem. Na bardzo krótką chwilę cała wesołość i dobry humor Deutscha zniknęły, ukazując nurtujące go mroczne myśli.

— Wiesz — odezwał się Jonny, starając się, by nie zabrzmiało to zdawkowo — czasami robisz takie wrażenie, jakbyś nie bardzo przejmował się tym, co dzieje się na twojej planecie.

— Myślisz tak, bo opowiadam kawały i się śmieję? — zapytał go Deutsch. — A może dlatego, że postanowiłem spędzić kilka miesięcy, objając się po Asgardzie, zamiast chwycić laser i spieścić swoim ziomkom na ratunek?

— No... jeżeli patrzysz na to wszystko w taki sposób...

— Bardzo obchodzi mnie, co się dzieje na Adirondack, Jonny, ale nie widzę żadnego sensu w zamartwianiu się tym, co Troftowie mogą teraz wyprawiać z moją rodziną i przyjaciółmi. W tej chwili najbardziej mogę im pomóc, stając się możliwie najlepszym Kobrą i nakłaniając was wszystkich, byście zrobili to samo.

— Sądzę, iż była to sugestia, że już najwyższy czas wracać na plac ćwiczeń — odezwał się Halloran z uśmiechem.

— Nie da się wywieść w pole kogoś, kto ma tak psychologicznie wyćwiczony umysł — odparł kwaśno Deutsch.

Jonny pojął, że z tą chwilą zamknęły się drzwi, ukazujące mu głębię duszy kolegi. Wiedział jednak i to, że po raz pierwszy był w stanie naprawdę zrozumieć, jaki rodzaj ludzi wybierało wojsko do tak trudnych i odpowiedzialnych zadań.

Ludzi, do których go zaliczono.

To zaś pozwoliło mu ujrzeć całą te awanturę z Viljem w zupełnie innym świetle. Uznał, iż szczytem głupoty byłoby podejmowanie ryzyka, że wyrzucą go z oddziału Kobra z powodu tak błahej rzeczy jak duma czy urażona godność własna. Postanowił, iż od tej chwili będzie traktował docinki Vilja wyłącznie jak ćwiczenia mające na celu doskonalenie cierpliwości. Jeżeli Deutsch potrafił zachować spokój w obliczu inwazji swojej planety, to Jonny poradzi sobie z Viljem.

Doszli do wyjścia. Halloran otworzył drzwi i przepuścił kolegów przed sobą.

— Zaczekaj, jesteśmy po niewłaściwej stronie budynku — odezwał się Jonny, zatrzymując się i spoglądając przed siebie. — Plac ćwiczeń jest po drugiej stronie.

— Zgadza się — przytaknął Halloran, radośnie szczerząc zęby. — Ale dla Kobry droga na skróty jest szybsza od chodzenia tymi wszystkimi korytarzami.

— Na skróty? Szybsza od obejścia budynku? — zapytał Jonny, spoglądając w prawo i w lewo na siedmiopiętrową, ciągnącą się w obie strony jak okiem sięgnąć ścianę.

— Tak, bo na skróty oznacza górą — stwierdził Halloran. Stał twarzą do muru i ugiął nogi w kolanach.

— Ostatni na dachu jest oferma, a za powybijane szyby płacicie ze swojego żołdu! — zawołał.

Drugi tydzień upłynął im podobnie jak pierwszy; znaczony był długimi godzinami spędzonymi na ćwiczeniu odruchów Kobry i równie długimi — a przynajmniej tak się im zdawało — wieczorami wykładów z teorii walki. Każdego dnia lub co dwa dni wręczano im kolejny moduł do zawieszonych na sztychach komputerów. Każdy umożliwiał? włączenie nowej broni do arsenału, którym dysponowali do tej pory. Jonny nauczył się posługiwać bronią soniczną i umiał już dostroić ją do częstotliwości, na którą mogły być szczególnie wrażliwe organy słuchowe żołnierzy Troftów. Nauczył się także wyzwalać swój miotacz energii elektrycznej, który wysyłał wysokonapięciowe elektryczne łuki po ścieżkach powietrza zjonizowanego przez strumienie laserowego światła wystrzeliwane z małego palca prawej ręki. Umiał już posługiwać się wszystkimi obwodami elektronicznymi, towarzyszącymi tym urządzeniom. W końcu nauczył się też używać lasera przeciwpancernego umieszczonego w lewej łydce i będącego najbardziej zdumiewającą ze wszystkich broni. Kierowany równolegle do puszczeli strumień światła poprowadzony był przez kostkę za pomocą specjalnych światłowodowych włókien do elastycznego, umieszczonego tuż pod piętą obiektywu celowniczego. Tego dnia, w którym rozpoczęli ćwiczenia, razem z modułem komputerowym wręczono im po parze specjalnych butów. Kiedy stojąc na jednej nodze, uczyli się strzelać, zarówno Jonny jak i pozostali rekruci klęli w żywy kamień idiotę-projektanta, który był odpowiedzialny za takie rozwiązanie. Bai co prawda twierdził, że kiedy zostaną wyposażeni w

programy z odruchami, sami się przekonają, jak uniwersalną bronią okaże się taki laser, ale tak naprawdę nikt nie brał jego słów na serio.

A jednak podczas tych wszystkich ćwiczeń, treningów i zajęć, w trakcie wysiłku umysłowego i fizycznego, do mózgu Jonny'ego dotarły dwa niezaprzeczalnie prawdziwe fakty. Po pierwsze, złośliwe docinki Vilja po owym incydencie w jadalni niemal całkowicie ustały, chociaż stosunki pozostały w dalszym ciągu napięte, a po drugie — Bai rzeczywiście go faworyzował, starając się stawiać za wzór innym.

Ten drugi problem zaprzętał Jonny'emu umysł bardziej, niż sam byłby skłonny to przyznać. Zarzuty Vilja, jakoby rodzina Moreau w jakiś sposób przekupiła instruktora, były, rzecz jasna, absurdalne... ale co najmniej kilku innych rekrutów musiało usłyszeć, co mówił Viljo, i jeśli on zwrócił uwagę na postępowanie Baia, to pewnie oni też. Co mogli sobie o tym pomyśleć? Czy nie dojdą do wniosku, że Jonny i poza placem ćwiczeń cieszył się specjalnymi względami?

A jeśli już o to chodziło, to, jaki był powód takiego postępowania instruktora?

Rzecz jasna, Jonny nie był najlepszy spośród wszystkich rekrutów — udowodnił to chociażby Deutsch. Jonny sądził też, że nie był najgorszy. Wiec, dlaczego? Czyżby był najmłodszy? Może najstarszy? Najbardziej przypominający Baiowi starego przyjaciela albo wroga? A może — na tę myśl Jonny poczuł zimne dreszcze — Bai potajemnie podzielał niektóre poglądy Vilja?

Jakikolwiek by jednak był powód, Jonny nie potrafił wymyślić innego sposobu zachowania niż ten, jaki przyjął do tej pory — znosić to tak obojętnie i spokojnie, jak umiał. Okazało się to bardziej skuteczne, niż sądził, i kiedy drugi tydzień ćwiczeń miał się ku końcowi, był w stanie reagować na uwagi Baia czy ćwiczyć tuż obok Vilja praktycznie nie okazując żadnego zdenerwowania. Nie wiedział, czy pozostali rekruci dostrzegali to nastawienie, ale Halloran zrobił raz jakąś uwagę na ten temat.

A potem nastął trzeci tydzień ćwiczeń i wszystko, co poznali dotychczas, okazało się kaszką z mleczkiem w porównaniu z tym, czego zaczęli się uczyć; od pierwszego dnia tego tygodnia zaczęli, bowiem trenować z włączonym komputerowym systemem sterowania odruchami.

— To dziecinnie proste — oznajmił Bai, wskazując na sufit znajdujący się zaledwie dwa metry nad ich głowami. — Najpierw musicie nastawić systemy naprowadzania na cel na miejsce, od którego zamierzacie się odbić, a później odchylacie ciało do tyłu i skaczecie.

Zgiął nogi w kolanach i wyprostował je, nieznacznie wyginając plecy w łuk.

— Później tylko odprężacie się i pozwalacie, aby waszymi serwowatorami sterował komputer. Przy okazji: starajcie się z nim nie walczyć, bo tylko naciągnięcie mięśnie i utrudnicie swojej podświadomości przyzwyczajenie się do faktu, że coś

innego steruje waszym ciałem. Jakież pytanie? Hm? No, to świetnie. Aldred, system naprowadzania na cel nastawiony? Jazda!

Jeden po drugim wykonywali skok do sufitu. Była to pierwsza poznana przez nich próbka możliwości Kobry w czasie trwania tamtego zebrania informacyjnego przed czterema długimi tygodniami. Jonny sądził, że bez trudu da sobie radę, ale kiedy nadeszła jego kolej, okazało się, iż się mylił. Nic — nawet dobrze dotychczas poznany efekt wspomagania zapewniany przez serwomotory — nie dawało się porównać z wrażeniem oddzielenia umysłu od ciała, jakie wywoływały zautomatyzowane odruchy. Na jego szczęście manewr skończył się tak szybko, że nie było czasu na nic więcej poza przelotnym odczuciem impulsu paniki. I już jego stopy znalazły się na podłodze, a mięśnie mogły znów przejąć kontrolę nad ciałem. Dopiero po jakimś czasie przyszła mu do głowy myśl, że właśnie z tego powodu Bai wybrał to ćwiczenie jako pierwsze.

Wszyscy wykonali je po pięć razy, a przy każdym następnym bezbłędnym skoku Jonny stwierdzał, że dziwaczne uczucie niepanowania nad ciałem słabnie. W końcu mógł czuć się swobodnie w towarzystwie swojego drugiego pilota.

Ale jak powinien był się wcześniej domyślić, nie dane mu było długo cieszyć się tą swobodą.

Stali na płaskim dachu czteropiętrowego budynku i spoglądali stamtąd na ziemię i na zbrojony wysoki mur wznoszący się prawie piętnaście metrów przed nimi.

— Chyba sobie żartuje — mruknął Halloran, stojący tuż przy Jonnym.

Jonny skinął głową, nie mówiąc ani słowa. Przeniósł tylko wzrok z powrotem na Baia. Instruktor opisał manewr i zbliżył się do skraju dachu, aby go zademonstrować.

— Jak zwykle — zakończył Bai — zaczynacie od nastawienia systemów naprowadzania na cel, żeby wasze komputery dysponowały informacją o odległości. Potem... po prostu skaczecie.

Raptownie wyprostował ugięte dotychczas nogi i po chwili szybował łagodnym łukiem ku murowi. Wylądował na nim obydwoma stopami o jakieś pięć metrów poniżej poziomu dachu, a potem ześlizgnął się o następny metr z głośnym zgrzytem. Połączenie siły tarcia i amortyzującego uderzenie zgięcia kolan spowodowało, że Bai się zachwiał, ale kiedy ponownie niemal w tej samej chwili wyprostował kolana, odepchnął się od muru i poszybował znów ku budynkowi. Przekoziółkował w locie, po czym wylądował stopami na pionowej ścianie, dalsze pięć metrów bliżej ziemi. Po raz drugi odbił się od ściany, wywinął koziołka, i po wykonaniu jeszcze jednego odbicia od muru znalazł się bezpiecznie na ziemi u stóp ich budynku.

— To żadna sztuka — dobiegł z dołu jego głos. — Za minutę wracam, a wtedy spróbujecie tego po kolei. Powiedziawszy to, zniknął we wnętrzu budynku.

— Sądzę, że raczej zaryzykuję pionowy skok w dół — odezwał się Noffke, nie zwracając się właściwie do nikogo.

— Możesz to robić, jeżeli skaczesz z czwartego piętra, ale nie radzę próbować z budynków znacznie wyższych.

Deutsch potrząsnął z dezaprobatą głową. — A uprzedzam, że na Adirondack takich wysokościowców nie brakuje.

— Nie wątpię, że Wielka Nadzieja Horizonu potrafiłaby wymyślić jeszcze z dziesięć powodów, dla których to jest lepszy manewr — wtrącił się do rozmowy Viljo, spoglądając z sardonicznym uśmiechem na Jonny'ego.

— A nie zadowolilibyś się tylko dwoma? — spytał spokojnie Jonny. — Pierwszy: w ten sposób swobodne spadanie nie trwa nigdy długo, lądujesz łagodniej i stanowisz trudniejszy cel czy to przy celowaniu ręcznym, czy nawet automatycznym. I drugi powód: podczas takiego lotu masz przez większą część czasu stopy skierowane w górę, dzięki czemu twój przeciwpancerne laser znajduje się w dogodniejszej pozycji do strzału ku celowi na dachu, z którego uciekasz.

Ku swemu zadowoleniu zobaczył, że inni rekruci kiwają głowami, a uśmieszek na twarzy Vilja zaczyna przeradzać się w niechętny grymas.

Było tych ćwiczeń więcej — o wiele więcej — bo przez kolejne dziesięć dni Bai zaznajamiał ich z coraz trudniejszymi. Z każdym dniem ich moduły komputerowe usuwały ograniczenia nałożone uprzednio na najbardziej niebezpieczne uzbrojenie. Z każdym też dniem zwiększano moc rażenia laserów, a kapsułki rozpryskowe z farbą wystrzeliwane przez metalowych przeciwników zastąpiono prawdziwymi kulami. Kilku rekrutów odniosło rany od oparzeń czy kuł, ale dzięki temu wszyscy zaczęli traktować ćwiczenia bardziej serio. Jedynie Deutsch nadal stroił ze wszystkiego żarty, lecz Jonny podejrzewał, że postępował tak, gdyż w głębi ducha był od samego początku tak śmiertelnie poważny, jak tylko może być człowiek w jego sytuacji. Wieczorne wykłady zastąpiono dodatkowymi treningami, pozwalającymi na doskonalenie umiejętności widzenia w nocy. Ćwiczenia wykonywali dotychczas tylko w dzień lub wieczorem. Wszystko to wydawało się zmierzać ku jakiejś kulminacji, aż pewnego dnia stwierdzili, niemal zaskoczeni — choć wszyscy znali plan zajęć bardzo dobrze — że ćwiczenia dobiegły końca. Prawie.

— Nadchodzi zawsze taki czas, Kobry — oznajmił im Bai tego ostatniego popołudnia — że trening przestaje odnosić pożądane skutki. Dalsze zajęcia byłyby dla was tylko szlifowaniem tego, co już umiecie. Takie szlifowanie być może miałoby sens, gdybyście byli szlachetnymi kamieniami lub sportowcami, ale wy nie jesteście ani jednym, ani drugim. Jesteście żołnierzami. A żołnierzowi nic nie zastąpi prawdziwej walki.

Tak więc od jutrzejszego ranka zaczniecie naprawdę walczyć. Będziecie to robić przez cztery dni: dwa dni pracy indywidualnej i dwa w grupach. Waszymi przeciwnikami będą te same zdalniaki, z którymi dotąd ćwiczyliście. Tym razem

jednak uzbrojenie i możliwości będą identyczne z tymi, jakimi będziecie dysponowali za pięć dni od dzisiaj, kiedy implantujemy wam nanokomputery. To tyle. Jest teraz szesnasta zero, zero. Oficjalnie macie czas wolny do ósmej zero, zero jutrzejszego ranka, kiedy zostanieie przewiezieni na poligon. Radzę, żebyście na kolację zjedli tyle, jakbyście przez cztery następne dni mieli żywić się tylko suchym prowiantem, co zresztą jest zgodne z prawdą, i dobrze się wyspali. Pytania? Oddział, rozejść się.

Kiedy tego wieczoru po kolacji znaleźli się w pokoju Jonny'ego, stanowili grupę bardzo poważnych młodych ludzi.

— Ciekaw jestem, jak będzie — odezwał się Noffke, siedząc przy stole i tasując bez przekonania talię kart.

— Nielekko, tego jestem pewien — westchnął Singh. — Kilku odniosło przecież powierzchowne rany, nawet, kiedy każdy z nas wiedział, co robi on sam i jego przeciwnicy. Może być więc i tak, że któryś z nas zginie.

— Albo nawet i kilku — zgodził się z nim Halloran, wyglądając przez okno.

Ponad jego ramieniem Jonny widział porzucane po okolicy światła w oknach innych budynków Kompleksu Freyra, a za nimi, na horyzoncie — światła Farnesee, najbliższego cywilnego miasta. Przypomniało mu to o domu i rodzinie, ale ta myśl tylko spotęgowała ogarniające go przygnębienie.

— Chyba nie utrudnią nam życia na tyle, żeby nas zabić, no nie? — zapytał Noffke, chociaż wyraz jego twarzy świadczył, że zna odpowiedź na to pytanie.

— A dlaczego by nie? — odciął się Halloran. — Jasne, namęczyli się nad nami bardzo, więc nie widzę sensu pozwalać najslabszym, by dali się zabić w następnej chwili po wylądowaniu na Adirondack. Jak myślisz, dlaczego przewidują implantowanie nam komputerów dopiero po zakończeniu ćwiczeń?

— Żeby oszczędzić trochę forsy na tym, na czym mogą — mruknął Jonny. — Parr, daj sobie spokój z tym tasowaniem. Albo rozdaj te karty, albo je odłóż.

— Wiecie, czego nam potrzeba? — odezwał się nagle Viljo. — Nocy spędzonej z dala od tego miejsca. Kilku drinków, trochę muzyki, pogadania sobie z cywilami, szczególnie z przedstawicielkami płci pięknej...

— A jak masz zamiar przekonać Mendra, aby pozwolił ci wyjść z koszar na tę wycieczkę? — parsknął Deutsch.

— Szczerze mówiąc, nie zamierzałem go o nic prosić — odparł spokojnie Viljo.

— Myślę, że coś takiego może być zakwalifikowane jako samowolne oddalenie się z bazy — stwierdził Halloran. — Istnieje wiele prostszych sposobów na to, by dać sobie złoić skórę.

— Nonsens. Bai powiedział, że mamy teraz wolne, no nie? A poza tym czy ktoś mówił nam kiedykolwiek wyraźnie, że jesteśmy w Kompleksie Freyra więźniami?

Na chwilę zapadła cisza.

— No, nie, jeżeli już o tym mowa — zgodził się z nim Halloran. — Ale...

— Żadne ale. Możemy się wymknąć stąd bez problemu. To miejsce nie jest strzeżone jak prawdziwa baza. Nie oszukujcie się. I tak żaden z nas nie mógłby tej nocy nawet zmrużyć oka. Równie dobrze możemy się zabawić.

"Ponieważ już jutro każdy z nas może umrzeć". Nikt nie wypowiedział tych słów na głos, ale sądząc po przestępowaniu z nogi na nogę, było jasne, że każdy myślał mniej więcej o tym samym. Po kolejnej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Halloran odwrócił się od okna i powiedział:

— Jasne. Czemu nie?

— Ja się zgadzam — kiwnął głową Noffke. — Słyszałem, że w centrum miasta jest kilka takich miejsc, w których można pograć w karty.

— I nie tylko to — przytaknął Deutsch. — Druma, Jonny? Co sądzicie na ten temat?

Jonny zawahał się, przypomniawszy sobie nagle słowa brata o dekadencji i etycznym postępowaniu. Viljo miał jednak rację: żaden wydany ustnie czy na piśmie rozkaz nie zabraniał wychodzenia poza kompleks.

— Daj spokój, Jonny — odezwał się Viljo, po raz pierwszy od wielu dni zwracając się do niego po imieniu. — Jeżeli nie potrafisz myśleć o tym w kategoriach rozrywki, pomyśl jako o infiltracji miasta zajętego przez nieprzyjaciela.

— No, dobra — zgodził się Jonny. Mimo wszystko nie musiał tam przecież robić niczego, co uznaliby za niewłaściwe. — Pozwólcie tylko, że włożę inny mundur...

— Chrzań inny mundur — przerwał mu Viljo. — Ten, który masz teraz, wygląda bardzo dobrze. Przestań grać na zwłokę i chodź. Druma?

— Och, myślę, że masz rację — zgodził się Singh. — Ale tylko na krótko, zgoda?

— Będziesz mógł zostawić nas i wrócić, kiedy zechcesz — zapewnił go Halloran. — Kiedy już znajdziemy się w mieście, każdy sam układa sobie rozkład zajęć. No, dobra. A teraz hop przez okno?

— Przez okno i na przełaj — odparł Viljo. — Gaście światło... i w drogę.

Wydostanie się z terenu, na którym znajdował się kompleks, okazało się o wiele łatwiejsze, niż Jonny się spodziewał. Z okna budynku wyskoczyli na zaciemniony o tej porze plac ćwiczeń rekrutów regularnych oddziałów Freyra, przebiegli przez niego i stanęli pod łatwym do pokonania otaczającym całą placówkę murem. Przeskoczyli go bez trudu, unikając przecięcia pojedynczego strumienia światła biegnącego równoległe do szczytu.

— I o to nam chodziło! — radośnie wyszczerzył zęby Deutsch. — Od pełni szczęścia oddziela nas jeszcze tylko dziesięć kilometrów pól i przedmieść. A teraz biegiem!

Chociaż musieli zwolnić, kiedy znaleźli się na terenie gęściej zabudowanym, droga zajęła im tylko pół godziny... a Jonny miał okazję po raz pierwszy zobaczyć, jak może wyglądać naprawdę duże miasto.

Później tylko z trudem mógł sobie przypomnieć ten pierwszy kontakt z rozrywkami i uciechami, jakie oferowało Dominium. Na czoło grupy wysunął się teraz Deutsch, prowadząc przyprawiającym ich o zawrót głowy zdradliwym szlakiem wiodącym obok teatrów, nocnych klubów, restauracji i domów rozkoszy, z jakimi się zapoznał w ciągu tygodni między przylotem z uniwersytetu na Iberiandzie a zaciągnięciem się do oddziału Kobra. W dzielnicy rozrywki tłoczyło się więcej ludzi, niż Jonny miał okazję kiedykolwiek w życiu widzieć naraz: cywilów w dziwnie skrojonych, fosforyzujących strojach, innych cywilów, których jedyną wyróżniającą cechą był niesamowity makijaż, a także wojskowych różnych rodzajów wojsk i stopni. Panowała tu zbyt beztronska atmosfera, aby Jonny miał czuć się pośród nich nieswojo, ale jednocześnie wszystko to było zbyt ekstrawaganckie, żeby mógł naprawdę odprężyć się i cieszyć życiem. Z trudem pogodził jedno z drugim. Po kilku godzinach poczuł, że ma wszystkiego dosyć. Przeprosił Deutscha i Singha — jedynych z całej szóstki, z którymi nadal trzymał się razem — precyzyjnie się przez tłumy i wkrótce znalazł w mrokach otaczających peryferie miasta. Dostanie się na teren kompleksu nie sprawiło mu większych trudności niż wydostanie się stamtąd, i po chwili wślizgiwał się przez okno do pustego, pogrążonego w ciemnościach pokoju. Nie zapalając światła, rozebrał się, a potem szybko wszedł na pryczę.

Leżał nie dłużej niż pół godziny, starając się zmusić swój przepełniony wrażeniami umysł do snu, kiedy jakiś szmer dobiegający od strony okna sprawił, że otworzył szeroko oczy.

— Kto tam? — zapytał scenicznym szeptem, widząc, że do pokoju wślizguje się jakiś człowiek.

— Viljo — mruknął tamten przez zaciśnięte zęby. — Jesteś sam?

— Tak — odparł Jonny, spuszczać nogi na podłogę. W głosie Vilja wyczuł coś niezwykłego.

— Co się stało? — zapytał.

— Sądziłem, że może tu być już Mendro i wojskowi żandarmi — odparł Viljo roztargnionym głosem, rzucając się na wznak na pryczę. — Coś mi się zdaje, że mogę być w tarapatach.

— Co takiego? — Jonny powiększył czułość swojego wzmacniacza wzroku.

Dzięki księżycowej poświacie dostrzegł zdenerwowanie, malujące się na twarzy Vilja, ale stwierdził, że chłopak nie jest nawet ranny.

— W jakich tarapatach?

— Och, miałem małą sprzeczkę z jakimś chrzanigłupem koło baru. Musiałem trochę mu przyłożyć. Viljo zerwał się nagle z pryczy i udał do łazienki.

— Wracaj do łóżka — rzucił Jonny'emu przez ramię. — Jeżeli ten facet będzie się ciskał, to lepiej, jeśli zastaną nas śpiących jak niemowlęta, kiedy już zaczną się rozglądać.

— Czy mógł cię rozpoznać? Chodzi o to...

— Nie sądzę, aby był ślepy lub nie umiał czytać — odparł Viljo.

— Chodzi o to, czy było tam dostatecznie jasno, aby mógł sprawdzić twoje nazwisko na mundurze?

— No. Było dosyć jasno... tylko nie wiem, czy miał czas zwrócić na to uwagę. A teraz idź już do łóżka, dobrze?

Z bijącym mocno sercem Jonny wślizgnął się znów pod koc. Musiał mu trochę przyłożyć. Co to mogło oznaczać? Czy Viljo tamtego zranił... być może nawet ciężko? Czy on sam naprawdę chciał poznać szczegóły tego, co się stało?

— I co teraz masz zamiar zrobić? — zapytał zamiast tego.

— A co myślisz? Rozebrać się i iść do łóżka.

— Nie... chodziło mi o to, czy nie trzeba... o tym zameldować.

Szum cieknącej w łazience wody umilkł, a zza drzwi ukazała się głowa Vilja.

— Nie mam najmniejszego zamiaru meldować o tym komukolwiek — powiedział.
— Czy myślisz, że zwariowałem?

— Ale tamten może być ciężko ranny...

— Odszedł o własnych siłach. A poza tym, nie mam zamiaru ryzykować kariery z powodu jakiegoś chrzanigłupa. To samo odnosi się zresztą i do twojej kariery, jeżeli już o tym mowa.

— Do mojej... co takiego?

— Dobrze wiesz, co takiego. Jeżeli pójdziesz do Mendra i chlapniesz mu o tym jęzorem, to będziesz musiał mu też powiedzieć, że i ty się urwałeś z Freyra.

Przerwał na chwilę, przyglądając się twarzy Jonny'ego.

— Nie mówiąc o tym, że jeśli polecisz ze skargą na mnie z powodu takiego głupstwa, będzie to kiepski dowód jedności i solidarności naszej szóstki.

— Głupstwa? W co zatem tamten był uzbrojony, w armatę laserową? Mogłeś to załatwić bez używania siły. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— I tak byś nie zrozumiał. Viljo położył się na pryczy.

— Posłuchaj, nic takiego mu nie zrobiłem, a jeśli nawet trochę przesadziłem, to i tak już za późno, żeby cokolwiek zmienić. Więc daj sobie z tym spokój, dobrze? Najpewniej w ogóle nie będzie chciał tego nikomu zgłaszać.

— A co, jeżeli jednak będzie? Jeśli ty nie zameldujesz o tym pierwszy, będzie wyglądało na to, że masz nieczyste sumienie.

— No, dobra, zaryzykuję... ponieważ to moja sprawa, więc trzymaj się od tego z daleka.

Jonny nie odpowiedział. W pokoju zrobiło się znów bardzo cicho, a po kilku minutach rozległo się miarowe posapywanie śpiącego Vilja. Ojciec Jonny'ego powiedział— i by, że to dowód czystego sumienia, ale w tym przypadku zapewne mijało się to z prawdą. Dla Jonny'ego jednaki najważniejszym problemem było nie sumienie Vilja, ale jego własne.

Co właściwie można zrobić w takiej sytuacji? Jeśli będzie siedział cicho, pozostanie praktycznie poza całą sprawą, natomiast gdyby obrażenia, jakie odniósł tamten, miały okazać się poważne, mogłyby z tego wyniknąć kłopoty. Z drugiej strony Viljo miał rację, kiedy mówił o zgraniu się i solidarności grupy. Jonny dobrze pamiętał, że Bai wspomniał o tym w czasie tamtego pierwszego informacyjnego zebrania, a jeśli Viljo tylko pokazał tamtemu, gdzie jest jego miejsce, najrozsądniejszym wyjściem wydawało się zapomnieć o całej sprawie. Argument, kontrargument, a jeśli ma się tak mało danych, można w ten sposób zaprzętać sobie tym głowę przez całą noc.

Zaprzętał sobie jeszcze długo, bo nie mógł zasnąć przez następne półtorej godziny. W tym czasie jego współlokatorzy, jeden po drugim, wrócili przez otwarte okno, położyli się i zasnęli. Na szczęście żaden nie dał się złapać. Dopiero ulga, jaką to przyniosło Jonny'emu, sprawiła, że zdołał przestać myśleć o wszystkim i również zasnąć. W nocy jednak męczyły go koszmary, więc kiedy pobudka położyła im kres, czuł się gorzej, niż gdyby przez całą noc nie zmrużył oka.

Zmusił się do wstania, włożył mundur, zabrał przygotowany wcześniej plecak i razem z innymi poszedł do jadalni, zadowolony, że żaden z kolegów nie zwrócił uwagi na jego zaspane i podkrążone oczy. Podczas posiłku nie pojawił się żaden żandarm, żaden też nie oczekiwał ich przy samolocie transportowym, przy którym zebrano wszystkich rekrutów. Z każdym przebytym kilometrem oddalającym ich od kompleksu Jonny czuł, jak jego napięcie powoli ustępuje. Z pewnością dowództwo nie pozwoliłoby im na odlot, gdyby ktoś złożył meldunek o niewłaściwym zachowaniu Kobr ubiegłej nocy w mieście. Było jasne, że przeciwnik Vilja mimo wszystko nie zdecydował się na złożenie skargi.

W godzinę później znaleźli się na mierzącym sto tysięcy hektarów poligonie. Otrzymali tam nowe moduły komputerowe, dodatkowe wyposażenie i końcowe instrukcje, PO czym Bai skierował ich do wyznaczonych im indywidualnych zadań. Starając się nie myśleć o przeżyciach ostatniej nocy, Jonny skupił się na tym, aby jak najlepiej wypaść na egzaminie.

Kiedy wrócił do polowego punktu dowodzenia z pomyślnie zakończonych ćwiczeń, z niejakim zaskoczeniem zauważył czekający tuż obok transporter żandarmerii. Jednak prawdziwy szok przeżył dopiero wówczas, kiedy okazało się, że transporter czekał na niego.

Młody mężczyzna wiercący się nerwowo na krześle ustawionym obok biurka Mendra bezsprzecznie wyglądał na takiego, który brał udział w jakiejś bójce. Aseptyczne bandaże zakrywały mu policzek i szczękę, a lewe ramię i przedramię miał unieruchomione za pomocą plastikowej elastycznej taśmy używanej zazwyczaj w tym celu, aby przyspieszyć zrastanie się złamanych kości. Jego twarz zdradzała zdenerwowanie, ale także determinację.

Twarz Mendra wyrażała wyłącznie zdecydowanie.

— Czy to ten żołnierz? — zapytał cywila Mendro, kiedy Jonny usiadł na krześle, wskazanym mu przez żandarma.

Oczy cywila prześlizgnęły się po twarzy Jonny'ego, a potem zatrzymały się na przedzie jego bluzy.

— Było zbyt ciemno, żebym mógł widzieć jego twarz, panie dowódco — odparł. — Ale tak, nazwisko jest to samo.

— Aha. — Mendro przeniósł świdrujące spojrzenie na Jonny'ego. — Moreau, siedzący tutaj pan P'alit utrzymuje, że pobiliście go zeszłej nocy na tyłach baru Thasser Eya w Farnesee. Prawda czy kłamstwo?

— Kłamstwo — udało się powiedzieć Jonny'emu przez zaschnięte wargi.

Jak przez mgłę spowodowaną nierealnością sytuacji zaczęło docierać do jego mózgu niejasne podejrzenie.

— Czy byliście w Farnesee zeszłej nocy? — zapytał go z naciskiem Mendro.

— Tak, sir. Byłem. Ja... wybrałem się tam, żeby odprężyć się trochę przed dzisiejszymi egzaminami. Przebywałem tam tylko przez kilka godzin i — popatrzył na P'alita — z całą pewnością nikogo nie pobitem.

— Kłamię — odezwał się P'alit. — Był... Mendro uciszył go gestem uniesionej dłoni.

— Czy wybraliście się tam sami? — zapytał. Jonny zawahał się, zanim odpowiedział.

— Nie, sir. Poszedłem tam ze wszystkimi kolegami z pokoju. W mieście się rozdzieliliśmy, więc nie mam żadnego alibi. Ale...

— Ale co?

Jonny głęboko odetchnął.

— Mniej więcej pół godziny po moim powrocie do kompleksu jeden z kolegów także wrócił i powiedział... no, że musiał komuś przyłożyć koło jakiegoś baru w mieście.

Mendro popatrzył na niego twardym, pełnym niedowierzania wzrokiem.

— I nie zameldowaliście mi o tym?

— On twierdził, że to była zwyczajna sprzeczka. Z pewnością nic takiego... nic aż tak poważnego.

Jonny popatrzył jeszcze raz na P'alita, po raz pierwszy uświadamiając sobie przebiegłość, z jaką zastawiono na niego pułapkę. Nic dziwnego, że Viljo nie chciał, aby Jonny przed wyjściem do miasta przebierał się w wyjściowy mundur.

— Mogę tylko wyciągnąć taki wniosek, że w czasie tego zajścia był ubrany w moją wyjściową bluzę — dodał.

— Uhm — mruknął Mendro. — A jak się nazywa ten, który wam o tym opowiedział?

— Rolon Viljo, sir.

— Viljo. Ten sam, na którego napadliście parę dni temu w jadalni? Jonny zgrzytnął zębami.

— Tak jest, sir.

— Rzecz jasna, teraz stara się zwalić winę na kogoś innego — odezwał się pogardliwie P'alit.

— Być może — odparł Mendro. — Panie P'alit, jak doszło do tej walki?

— Och, zrobiłem tylko uwagę na temat życia na tych prowincjonalnych planetach, to wszystko. Sam nie wiem, jak doszło do rozmowy na ten temat. Uznał to za obrazę i wypchnął mnie przez tylne drzwi baru, w którym znajdowało się kilku moich znajomych.

— Czy nie taki był powód twojego zatargu z Viljem, Moreau? — zapytał Mendro.

— Tak jest, sir.

Jonny stłumił w sobie niemal zniewalającą chęć, aby jeszcze raz dokładnie wyjaśnić, o co wówczas chodziło.

— Sądzę, że żaden z pana znajomych nie zapamiętał dobrze twarzy tego, który pana tak pobił, panie P'alit? — zapytał.

— Nie, nikt z nich także nie widział twojej twarzy. Ale nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie. P'alit popatrzył na Mendra.

— Panie dowódcu, sądzę, że pomimo jego kłamstw teraz już pan wie, jak wygląda prawda. Czy ma pan zamiar wyciągnąć jakieś konsekwencje, czy ujdzie mu to wszystko bezkarnie?

— Wojsko zawsze wyciąga konsekwencje w stosunku do swoich podwładnych — odparł Mendro, naciskając jakiś przycisk na konsoli biurka. — Dziękuję panu, panie P'alit, że zechciał się pan z tym do nas zwrócić.

Za plecami Jonny'ego otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jeszcze jeden żandarm.

— Panie P'alit, sierżant Costas odprowadzi teraz pana do wyjścia — rzekł Mendro.

— Dziękuję.

P'alit wstał, skinął głową i skierował się za sierżantem do drzwi. Mendro w tym czasie nieznacznie skinął głową w stronę żandarma pilnującego Jonny'ego. Tamten także opuścił pokój. Drzwi za nimi się zamknęły, a Jonny został sam na sam z dowódcą.

— Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś mi powiedzieć? — zapytał go Mendro.

— Nic takiego, co mogłoby mi jakoś pomóc, sir — odparł Jonny z goryczą. Tyle trudów, tyle wyrzeczeń... i wszystko to miało pójść na marne. — Ja tego nie zrobiłem, ale nie widzę sposobu, w jaki mógłbym to udowodnić.

— Hm. — Mendro obrzucił go przeciągłym, taksującym spojrzeniem, a potem wzruszył ramionami. — No cóż, w takim razie wracajcie na poligon, zanim spóźnicie się jeszcze bardziej na resztę wyznaczonych wam ćwiczeń.

— Nie wyrzuca mnie pan z oddziału, sir? — zapytał zdumiony Jonny, czując, jak przez ruiny jego marzeń o przyszłości przedziera się promyk nadziei.

— Czy sądzicie, że wasze zachowanie na to zasługuje? — odparł Mendro.

— Nie wiem, sir. — Jonny pokręcił głową. — Wiem, że jesteśmy potrzebni na wojnie, ale... na Horizonie pobicie kogoś słabszego od siebie jest uważane za tchórzostwo.

— W taki sam sposób jest traktowane i na Asgardzie — westchnął Mendro. — Być może w końcu będę musiał wyrzucić was z oddziału, Moreau, ale w tej chwili jeszcze nie mogę o tym zdecydować. Dopóki zaś nie podejmę decyzji, nie widzę powodu, żeby pozbawiać waszych kolegów pomocy podczas ćwiczeń w grupach.

Innymi słowy, chcieli dać mu szansę ryzykowania życia — a być może, i śmierci — a później zdecydować o tym, czy takie ryzyko było tego warte, czy nie.

— Tak jest, sir — powiedział Jonny, wstając. — Postaram się wypaść jak najlepiej.

— Nie wątpię, że dacie z siebie wszystko. Mendro nacisnął guzik na konsoli i po chwili w pokoju znów pojawił się żandarm.

— Możecie odejść — oznajmił.

Zapomnienie o nowych kłopotach w czasie trwania kolejnych ćwiczeń przyszło Jonny'emu z mniejszym trudem, niż oczekiwał. Przeciwnicy, z jakimi przyszło mu walczyć, zachowywali się diabelnie podstępnie i wywiązywanie się z wyznaczonych zadań wymagało najwyższej uwagi i zręczności. Szczęście go jednak nie opuszczało, a dzięki nabytym umiejętnościom udało mu się ukończyć ćwiczenie indywidualne jedynie z kilkoma otarciami naskórka, ale za to z pokaźną kolekcją siniaków i zadrapań.

Później dołączył do kolegów, aby razem z nimi brać udział w zajęciach grupowych... i dopiero wówczas zaczęły się prawdziwe kłopoty.

Stając twarzą w twarz z Viljem — i walcząc u jego boku — myślał i czuł coś takiego, czego nie był w stanie w sobie zdławić nawet w obliczu niebezpieczeństwa... a co bardzo szybko wpłynęło na liczbę popełnianych przez niego błędów. Dwukrotnie dopuścił do sytuacji, z których udawało mu się wyjść cało tylko dzięki skomputeryzowanym odruchom, a kilka następnych razy jego roztargnienie naraziło kolegów na niepotrzebne zagrożenia. Singh został oparzony promieniem lasera i resztę ćwiczeń musiał odbywać w odrętwieniu spowodowanym silnym miejscowym znieczuleniem. Innym razem jedynie przytomność umysłu Jonny'ego i Deutscha wyratowały Noffkego ze szczęk pułapki, w której prawdopodobnie by stracił życie.

Setki razy w trakcie tych dwóch dni Jonny rozmyślał, czy nie wyrównać rachunków z Viljem, w słowach albo w czynach, lub chociaż wyjawić pozostałym, z jaką gnidą przyszło im współpracować, a przy tej okazji uwolnić się samemu od ciężącego na nim oskarżenia. Jednak przy każdej nadarzającej się okazji tłumił w sobie

gniew i nic nie mówił. Z najwyższym trudem udawało się im przeżyć, a jedynie on podlegał emocjonalnym stresom, toteż dzielenie się kłopotami z innymi byłoby nie tylko nieuczciwe, lecz mogłoby się skończyć dla wszystkich śmiercią.

Inne logiczne rozwiązanie przyszło mu do głowy tylko raz — i przez całą następną godzinę niemalże żałował, że etyka zabraniała mu po prostu strzelić Viljowi w plecy.

Ćwiczenia trwały tymczasem nadal bez względu na wzburzenie Jonny'ego. Całą szóstką wdarli się do otoczonego wysokim murem i bronionego dziewięciopiętrowego budynku, walczyli i pokonali jego dwudziestoosobową załogę, rozbroili pułapki rozmieszczone wokół podziemnego bunkra, a potem wysadzili drzwi i uwolnili cztery zdalniaki, symulujące grupę cywilów przetrzymywanych w więzieniu Troftów. Spędzili noc na pustkowiu patrolowanym przez oddziały Troftów, wcielając się w grupę zabłąkanych cywilów tak szybko i dokładnie, że w godzinę później nie zidentyfikowano ich jako obcych, a potem pomyślnie uwolnili kilka zdalniaków udających oddział miejscowego ruchu oporu, pomimo wielu niebezpiecznych błędów, jakie operatorzy tych automatów pozwolili popełnić swoim podopiecznym.

Udało im się to wszystko, i to całkiem dobrze, a co najważniejsze, przeżyli... Kiedy transportowiec zabrał ich z powrotem do Freyra, Jonny doszedł do wniosku, że postąpił słusznie. Bez względu na to, co postanowił z nim zrobić Mendro, wiedział, że naprawdę posiada wszystkie cechy niezbędne, aby zostać dobrym Kobrą. Czy pozwolą mu nim zostać, czy też nie, to inna sprawa, ale ta jego wewnętrzna pewność to coś, czego nigdy nie będą mogli go pozbawić.

Był niemal rad, kiedy po powrocie do Freyra okazało się, że czekają tam już żandarmi. Jakakolwiek miałyby być decyzja Mendra, zamierzał oznajmić ją mu bez zwłoki.

I oznajmił. Jonny nie spodziewał się tylko, że dowódca zaprosi także innych, aby byli tego świadkami.

— Ce-trzy Bai zameldował mi, że poradziliście sobie wyjątkowo dobrze — zagaił Mendro, spoglądając po twarzach sześciu rekrutów, w ponurych nastrojach siedzących półkolem naprzeciw jego biurka. — Widząc zaś, że udało się wam przeżyć, a nawet praktycznie nie odnieść żadnych obrażeń, jestem skłonny przyznać mu rację. Macie jakieś uwagi, które wam się nasunęły na bieżąco albo już po zakończeniu ćwiczeń?

— Tak, sir — odezwał się po dłuższym namyśle Deutsch. — Mieliśmy kilka dosyć poważnych problemów, uwalniając tę grupę cywilów z ruchu oporu... Ich błędy było nam naprawdę bardzo trudno naprawić. Czy taka symulowana sytuacja może wydarzyć się w praktyce?

Mendro skinął głową.

— Niestety, tak. Cywile zawsze będą popełniali coś, co dla was będzie wyglądało na wyjątkowo idiotyczny błąd. W takich sytuacjach możecie tylko starać się minimalizować jego skutki i nie tracić cierpliwości. Coś jeszcze? Nic? A zatem możemy przejść do powodu, dla którego was tutaj wezwałem: zarzutów wysuniętych przeciwko rekrutowi Moreau.

Nagła zmiana tematu sprawiła, że przez grupę przeszedł szmer zdziwienia.

— Zarzutów, sir? — zapytał nieśmiało Deutsch.

— Tak. Oskarżono go o pobicie cywila podczas nielegalnej nocnej wyprawy do miasta, jaką odbył przed czterema dniami.

Mendro zwięźle zapoznał ich z historią opowiedzianą mu przez P'alita.

— Moreau twierdzi, że tego nie zrobił — zakończył. — Jakieś wnioski?

— Nie wierze w to, sir — odparł bez namysłu Halloran. — Nie sądzę, żeby tamten gość kłamał, ale być może pomylił nazwiska.

— A może tylko widział Jonny'ego tamtej nocy w mieście, później wdał się w bójkę, a teraz usiłuje obciążyć wojsko kosztami leczenia — zasugerował Noffke.

— Być może — rzekł Mendro i kiwnął głową. — Ale przez chwilę przypuśćmy, że to, co mówi, jest prawdą. Czy sądzicie, że w takiej sytuacji powinienem wydalić rekruta Moreau z oddziału Kobra?

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Jonny obserwował grę uczuć, malującą się na twarzach pozostałych, i chociaż cieszył się ich sympatią, nie wątpił, co odpowiedzą. Nie mógł mieć o to do nich żalu, dobrze wiedząc, jakiej odpowiedzi udzieliliby sam, gdyby miał znaleźć się na ich miejscu.

Myśli, nurtujące wszystkich, wyraził w końcu Deutsch.

— Sądzę, że nie miałby pan innego wyjścia, sir — powiedział. — Niewłaściwe użycie naszego wyposażenia nastawiłoby wobec nas wrogo całą ludność. Jako obywatel Adirondack mogę stwierdzić, że w tej chwili nie potrzebujemy innych wrogów oprócz tych, których już mamy.

Mendro skinął głową.

— Cieszę się, że się ze mną zgadzacie. No, dobrze. Przez następne kilka dni będziecie znów mieli wolne. Później poddamy dokładnej analizie rezultaty, jakie osiągnęliście na egzaminie. Zastanowimy się, czy i kiedy wasze wyposażenie mogło być lepiej wykorzystane.

Przerwał na chwilę... a wyraz jego twarzy sprawił, że Jonny otrząsnął się z odrętwienia, jakie zaczęło ogarniać jego umysł.

— Jest jedna rzecz, jaką trzymaliśmy przed wami w tajemnicy, nie chcąc, byście czuli się zbyt skrępowani — ciągnął. — Dysponując tak dużą rezerwą pamięci, jaką mają noszone przez was na szyjach komputery, mogliśmy rejestrować każdy przypadek użycia waszego wyposażenia. — Niemal leniwie obracając głowę, skierował wzrok na jednego z siedzących przed nim młodych ludzi. — W tamtej alejce

na tyłach baru Thasser Eya było dość ciemno, rekrucie Viljo. Musieliście użyć wzmacniacza wzroku, kiedy biliście się z tym cywilem.

Twarz Vilja stała się kredowo biała. Otworzył usta... powiódł wzrokiem po kolegach, ale cokolwiek zamierzał powiedzieć, pozostało nie wypowiedziane.

— Jeśli macie cokolwiek na swoje usprawiedliwienie, to słucham — dodał Mendro.

— Nie mam nic, sir — odparł Viljo zdrętwiałymi wargami. Mendro kiwnął głową.

— Halloran, Noffke, Singh, Deutsch: odprowadzicie swojego byłego kolegę do skrzydła chirurgicznego gmachu. Tam wiedzą już, co mają robić. Odmaszerować.

Powoli, z widocznym wysiłkiem, Viljo wstał. Tylko raz spojrzął na Jonny'ego oczami, w których ziała pustka. Później skierował się do drzwi, starając się zachować tę resztkę godności, jaka mu pozostała. Inni, z twarzami jakby wykutymi w kamieniu, podążyli za nim.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, krucha cisza utrzymywała się w pokoju jeszcze przez kilka sekund.

— Pan przez cały czas wiedział, że ja tego nie zrobiłem — przerwał ją w końcu Jonny. Mendro tylko wzruszył lekko ramionami.

— Nie z całą pewnością, ale w dziewięćdziesięciu procentach — przyznał. — Komputer nie rejestruje wszystkiego, co widzą oczy przy użyciu wzmacniacza wzroku. Musieliśmy skorelować jego dane z danymi o pracy serwomotorów, aby wiedzieć, czy to zrobiliście, czy nie. Oprócz tego do chwili, w której wskazaliście nam Vilja jako możliwego sprawcę, nie wiedzieliśmy nawet, do czyjego banku danych także sięgnąć.

— Ale mógł pan mi powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie jestem podejrzany.

— Mogłem to zrobić — zgodził się z nim Mendro. — Ale to była dobra okazja, żeby zebrać trochę więcej danych o waszej psychicznej odporności.

— Chciał pan się przekonać, czy będę się tym gryzł tak bardzo, że zapomnę o walce? Albo czy nie zastrzelę Vilja i w ten sposób pozbędę się problemu?

— Gdybyście stracili panowanie nad sobą w jeden czy w drugi z tych sposobów, wydalilibym was z oddziału natychmiast — odparł Mendro. — A zanim zaczniecie narzekać, że traktuję was niesprawiedliwie, pamiętajcie, że przygotowujemy was tu do wojny, a nie do zabawy, w której obowiązują ustalone reguły. Robimy, co uznajemy za konieczne, a jeśli niektórzy nasi ludzie muszą ponosić większe ciężary niż inni... no cóż, tak czasem też się zdarza. Takie przecież jest całe życie i lepiej od razu do tego się przyzwyczaić. — Chrząknął. — Przykro mi. Nie miałem zamiaru prawić morałów. Nie będę też was przeproszał za to dodatkowe okrażenie, jakie musieliście zrobić, ale nie sądzę, żebyście po zdaniu egzaminu z takim dobrym wynikiem mieli jakiegokolwiek powody do narzekania.

— Nie, sir. Nie chodzi mi tylko o to dodatkowe okrażenie. Ce-trzy Bai wyróżnia mnie spośród rekrutów niemal od pierwszej chwili zajęć. Gdyby nie to, może Viljo nie

czułyby się tak rozdrażniony i może nie posunąłby się do tego, aby zaszargać mi opinię w taki sposób.

— Co pozwoliło nam się dowiedzieć czegoś ciekawego o jego charakterze, prawda? — odparł chłodno Mendro.

— Tak, sir. Ale...

— Pozwólcie więc, że wyjaśnię to w inny sposób — przerwał mu Mendro. — W całej historii ludzkości niektórzy ludzie pochodzący z centralnej części regionu, kraju, planety czy systemu mieli zwyczaj pogardzać innymi, mieszkającymi na peryferiach. Taka już jest po prostu ludzka natura. W obecnym Dominium Ludzi przejawia się to jako lekko protekcyjne traktowanie mieszkańców prowincjonalnych planet. Światów takich jak Horizon, Rajput, a nawet Zimbwe... czy Adirondack.

To w gruncie rzeczy głupstwo i rzecz mało istotna ze względów kulturowych, ale tym trudniej jest nam ocenić jej wpływ na osobowość tego czy innego rekruta. Nie mając, więc żadnej gotowej teorii pod ręką, uciekamy się do eksperymentu. Wybieramy osobę pochodzącą z któregoś z tych prowincjonalnych światów i stawiamy ją innym za przykład, kim powinien być dobry Kobra, a później tylko obserwujemy, kto nie może się z tym pogodzić. Viljo w sposób oczywisty nie mógł. Niestety, przykro mi to powiedzieć, ale i kilku innych także.

— Rozumiem — odparł Jonny.

Kilka tygodni temu zapewne byłby wściekły, gdyby wiedział, że wykorzystano go w taki sposób. Ale teraz... on zdał egzamin i w dalszym ciągu będzie Kobrą. Tamci zaś go nie zdali i zostaną... kim?

— Co teraz się z nimi stanie? Pamiętam, jak kiedyś nam pan mówił, że niektóre elementy naszego wyposażenia nie będą mogły być usunięte. Czy teraz będzie pan musiał...?

— Zabić ich? — Mendro uśmiechnął się z goryczą. — Nie. Ich wyposażenie nie może być usunięte, ale na tym etapie szkolenia możemy sprawić, że stanie się praktycznie bezużyteczne.

Jonny dojrzał w oczach dowódcy przeblask bólu. Pomyślał, ile razy i z jak wielu poważnych czy błahych przyczyn musiał mówić jednemu ze swoich starannie dobranych ludzi, że jego trudy i poświęcenie nie przydadzą mu się na nic.

— Nanokomputery, w jakie ich wyposażymy, będą tylko namiastką tych, jakie wszczepimy wam już wkrótce. Uniemożliwią połączenie modułu energetycznego z resztą uzbrojenia i nałożą rozsądne ograniczenia na moc, jaką będą dysponowały ich serwowmotory. Opuszczą Asgard, wyglądając na pierwszy rzut oka jak wszyscy zwyczajni ludzie, jeżeli, rzecz jasna, nie liczyć ich niefamliwych kości.

— I garści gorzkich wspomnień — dodał Jonny. Mendro popatrzył na niego upartym, przeciągłym spojrzeniem.

— Te będziemy mieli wszyscy, Moreau. Wspomnienia stanowią różnicę między rekrutem a żołnierzem. Kiedy będziesz przypominał sobie te rzeczy, których nie

zrobiłeś, albo rzeczy, które mogłeś wykonać lepiej czy w ogóle ich nie wykonywać, kiedy będziesz miał przed oczami to wszystko i nadal będziesz robił to, co musisz, wówczas będziesz mógł się nazwać żołnierzem.

Tydzień później Jonny, Halloran, Deutsch, Noffke i Singh — nazywający się teraz drużyną Kobra 2/03 — razem z innymi nowo mianowanymi Kobrami pod silną eskortą udali się wojskowym transportowcem w rejony objęte wojną. Aby mogli przedostać się na tereny zajęte przez oddziały Troftów, wystrzelono ich w kapsułach nad różnymi miejscami całego ośmiuset kilometrowego obszaru mającego strategiczne znaczenie kontynentu Essek na planecie Adirondack.

Lądowanie zakończyło się fatalnie. Reagując o wiele szybciej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać, oddziały wojsk lądowych Troftów odkryły obecność drużyny Jonny'ego na peryferiach miasta, do którego zamierzał skierować ich Deutsch. Kobrom udało się wprawdzie wyrwać z okrążenia zaledwie z kilkoma lekkimi ranami... ale w krzyżowym ogniu laserowym straciło życie trzech cywilów, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Przez wiele dni Jonny'ego prześladował widok ich twarzy i dopiero, kiedy wcielił się w tego, kim miał od tej pory się stać, i zaczął planować swój pierwszy wypad w teren, uświadomił sobie, że Mendro miał jednak rację.

Wkroczył na najlepszą drogę ku zbieraniu własnych wspomnień żołnierza oddziału Kobra.

Interludium

Na innej półkuli Asgardu niż ta, na której znajdował się Kompleks, Freyra, oddalone od ośrodków wojskowej władzy tak w sensie odległościowym jak i w filozoficznym, rozprzestrzeniało się miasto zwane prozaicznie Kopułą. W ciągu ostatnich dwóch stuleci czyniono liczne starania, aby nadać mu bardziej okazałą nazwę, ale wszelki ten trud został skazany na niepowodzenie z takich samych powodów, z jakich klęską zakończyłyby się próby nadania innej nazwy Ziemi. Miasto — i dominująca nad nim swoim geometrycznym kształtem kopuła — utrwaliły się w umysłach mieszkańców Dominium jak ich własne nazwiska... ponieważ było to miejsce, z którego Najwyższy Komitet wydawał rozkazy i polecenia i w którym ustanawiał prawa oraz ferował wyroki wpływające na życie każdego obywatela. W tym miejscu zmieniano też decyzje burmistrzów, syndyków, a czasem i gubernatorów całych planet, a ponieważ wszyscy obywatele mieli takie same prawa, teoretycznie każdy z nich mógł zwrócić się do komitetu z petycją albo ze skargą.

W praktyce, rzecz oczywista, okazywało się to zwykłym mitem, o czym najlepiej wiedzieli ci wszyscy, którzy w cieniu kopuły pracowali. Drobne, mało istotne sprawy lokalne powinno się rozpatrywać na niższych szczeblach władzy administracyjnej i na ogół tam właśnie były załatwiane. Rzadko kiedy na biurko któregośkolwiek z przewodniczących trafiała jakaś sprawa bezpośrednio nie dotycząca życia miliardów ludzi.

Czasami jednak tak się działo.

Biuro przewodniczącego Sarkiisa H'orme'a nie różniło się wielkością od biur trzydziestu najbardziej wpływowych ludzi w całym Dominium. Pluszowy dywan, ściany wyłożone drogocennym drewnem, wielkie biurko ze stojącymi na nim mistrzowsko wykonanymi przedmiotami pochodzącymi z różnych planet — wszystko to świadczyło o nie kłującym w oczy luksusie, jakim lubił otaczać się ich właściciel. Boczne drzwi prowadziły do ośmiopokojowego osobistego apartamentu i miniaturowego ogrodu haiku, w którym tak chętnie spędzał czas na medytacjach. Niektórzy przewodniczący tylko sporadycznie korzystali ze swego apartamentu w Kopule, woleli bowiem opuścić biuro i pojechać do swoich o wiele większych wiejskich posiadłości. H'orme jednak do nich nie należał. Z natury sumienny i pracowity, miał zwyczaj pracować do późna w nocy... a w jego wieku odbijało się to i na wyglądzie, i na zdrowiu.

Z całą pewnością widoczne to było w tej chwili — pomyślał Vanis D'arl, spoglądając krytycznym wzrokiem na H'orme'a, podczas gdy przewodniczący

zapoznawał się z przygotowanym dla niego raportem. Już wkrótce — być może znacznie szybciej niż którykolwiek z nich dwóch mógł się spodziewać — H'orme zapracuje się na śmierć albo przejdzie na wcześniejszą emeryturę, a wówczas funkcja przewodniczącego dostanie się D'arlowi. Będzie to dla niego najwyższym zaszczytem, jakim może obdarzyć go Dominium, ale zarazem funkcją, mogącą przyprawić o coś więcej niż tylko o zwyczajny ból głowy. D'arl od dziewiętnastu lat był podwładnym H'orme'a, a przez ostatnie osiem jego głównym doradcą i osobiście wybranym następcą. W ciągu tych długich lat nauczył się, że funkcja przewodniczącego Dominium Ludzi wymaga bezkresnej wiedzy i nieograniczonej mądrości. Fakt, że nikt nie posiadał tych cech, nie miał żadnego znaczenia; filozofia doskonałości, w jakiej został wychowany, wymagała, aby dążył do maksymalnego zbliżenia się do ideału. H'orme, także urodzony i wychowany na Asgardzie, podzielał tę filozofię... D'arl wiedział zatem bardzo dobrze, ile pracy wymagała sama droga do osiągnięcia tego celu.

Nacisnąwszy po raz ostatni klawisz z napisem "strona", H'orme odłożył pulpity komputerowy, uniósł głowę i popatrzył na D'arla.

— Trzydzieści procent — powiedział. — Mimo wszystkich wstępnych testów aż trzydzieści procent rekrutów z oddziałów Kobra po zakończeniu szkolenia nie nadaje się do pełnienia powierzonych im obowiązków. Mam nadzieję, że zwrócił pan uwagę na przyczynę, jaką uznano za najważniejszą?

D'arl skinął głową.

— "Nieprzydatność do ścisłego współdziałania z ludnością cywilną" — odparł. — Obawiam się, że może to oznaczać wiele rzeczy, ale niestety nie zdołałem określić tego w sposób bardziej precyzyjny. Niemniej jednak wciąż będę się starał coś z tym zrobić.

— Ale zdaje sobie pan sprawę z tego, co to znaczy, prawda? Jeżeli nasze testy tego nie wykryły, to między testami wstępnymi a końcem szkolenia musiało się wydarzyć coś ważnego. To oznacza, że posyłamy na Silvern i Adirondack w pełni przygotowane do walki Kobry, chociaż nie rozumiemy dokładnie ich psychiki. Nie sądzę, aby była to właściwa droga do rozwiązania naszego problemu.

D'arl zacisnął mocno usta.

— No cóż... może to tylko chwilowe poczucie ogromnej siły, jaką daje im ich wyposażenie — zasugerował. — Po przejściu chrztu bojowego zapewne sobie uświadomią, że są takimi samymi śmiertelnikami jak wszyscy inni ludzie.

— Może tak, a może nie.

H'orme odszukał spis treści raportu, a później wyświetlił poszukiwane dane.

— W pierwszym rzucie wyładowało trzysta Kobr, a w chwili obecnej szkolimy dalszych sześćset. Przypuszczam, że zachodzące nieprawidłowości mogą być w pewnym sensie odzwierciedleniem braku precyzji naszego systemu zbierania danych. Słyszał pan coś o tym, że wojsko stara się lepiej przeprowadzać te swoje wstępne testy?

— Zbyt krótko je stosują, żeby można to było stwierdzić. — D'arl potrząsnął głową.

Przez chwilę przewodniczący milczał. Wzrok D'arla powędrował ku trójkątnym oknom sali za plecami H'orme'a i widocznej przez nie panoramie miasta. Niektóre osoby pełniące funkcję przewodniczącego zasłaniały te okna na stałe i zamiast panoramy Kopyły wolały oglądać różnobarwne hologramy. D'arl często się zastanawiał, czy decyzja H'orme'a w tej sprawie nie świadczyła o jego głęboko zakorzenionym postanowieniu nieodrywania się od realiów i o umiłowaniu prawdy.

— Jeśli pan sobie życzy — odezwał się po chwili — mógłbym wydać rozkaz o wycofaniu się z całej akcji i umieścić go na liście spraw, które trzeba przedyskutować. W ten sposób chociaż uświadomilibyśmy pozostałym członkom komitetu, że nie wszystko jest tak, jak powinno.

— Hm — mruknął H'orme i spojrzął jeszcze raz na ekran pulpitu komputerowego. — Trzysta Kobr już działa... Nie. Nie, bo po pierwsze powody, dla których komitet wyraził zgodę, wciąż istnieją. Nadal walczymy o odzyskanie zagrabionych Dominium światów i potrzebujemy każdej broni, jaka może nam w tym pomóc. Po drugie, wycofanie się teraz z przedsięwzięcia skazałoby na pewną śmierć te Kobry, które już biorą udział w walkach. Mimo to... Zamyślił się i zaczął bębnić palcami po blacie biurka.

— Chciałbym, żeby zebrał pan wszystkie dane, jakie wywiad wojskowy dostaje z Silvern i Adirondack. Proszę zwracać uwagę zwłaszcza na to, jak układają się stosunki między samymi Kobrami, a także na to, jak wygląda współpraca Kobr z ludnością cywilną tamtych planet. Jeżeli się okaże, że są duże problemy, chcę wiedzieć o nich jak najszybciej.

— Tak jest — rzekł D'arl i kiwnął głową. — Zrobiłbym to znacznie szybciej, gdybym wiedział, czego dokładnie szukać.

H'orme uczynił ręką ledwo dostrzegalny gest.

— Och, myślę, że może pan to nazwać... "kompleksem Tytana". To przeświadczenie, że jest się takim silnym, iż wszelkie prawa i normy przestają obowiązywać. Żołnierzy oddziałów Kobra obdarzono tak dużą fizyczną siłą, że już to samo w sobie może stanowić zagrożenie.

D'arl nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Pomyśleć tylko, że przewodniczący komitetu martwi się zbyt dużą siłą drzemiącą w indywidualnym żołnierzu! Ale rozumiał, o co chodzi. Wszystkie Kobry obdarzono całą tą wielką siłą naraz, podczas kiedy powinno się ich nią obdarzać i uczyć się posługiwać taką mocą stopniowo, w niewielkich dawkach. W taki sposób zostałoby więcej czasu, żeby adaptować do niej organizmy.

— Rozumiem — odezwał się w końcu. — Czy chciałby pan, żebym wyniki swoich analiz przekazał panu za pomocą sieci ogólnego dostępu?

— Nie, zrobię to nieco później — odparł H'orme. — Chciałbym najpierw mieć trochę czasu i zapoznać się z nimi bardziej szczegółowo.

— Tak jest, proszę pana.

Była to sugestia, że przynajmniej niektóre z tych danych pozostaną w osobistej kartotece H'orme'a, zamiast trafić do ogólnodostępnego systemu obiegu informacji w mieście. Już dawno temu D'arl miał okazję się przekonać, że jedną z metod sprawowania władzy jest nieujawnianie swoim potencjalnym wrogom całej wiedzy, jaką się dysponuje.

— Czy mam przysłać kogoś z kolacją? — zapytał.

— Tak, bardzo proszę. I proszę też nie zapomnieć o filiżance mocnej kahve. Sądzę, że będę musiał pracować-dzisiaj do późnej nocy.

— Tak, proszę pana. D'arl wstał.

— Ja też będę dzisiaj długo siedział w biurze, więc gdyby pan mnie potrzebował...

H'orme mruknął coś na dowód, że przyjął to do wiadomości, i wrócił do analizowania danych na ekranie komputerowego pulpitu. D'arl odwrócił się, po czym bezszelestnie przeszedł po miękkim dywanie do drzwi inkrustowanych drogocennym, grafowym drewnem, H'orme nie zaliczał się wprawdzie do ludzi podskakujących przy każdym dźwięku, ale D'arl wiedział, że kiedy przewodniczący pracuje, nie wolno rozpraszać jego uwagi. Pomyślał, że przede wszystkim powinien połączyć się z Kompleksem Freyra, w którym szkolono Kobry, i postarać się wydobyć stamtąd trochę więcej danych.

A potem... no cóż, być może powinien kazać przysłać dwie kolacje zamiast jednej. Wyglądało na to, że i on będzie musiał pracować dziś do późnej nocy.

Wojownik: 2406

Bawialnia była mała i zagracona stłoczonymi tam meblami. Powodem tego przygnębiającego widoku był brak czasu nękający właścicieli, a nie ich brak zamiłowania do porządku. Jonny siedział przy ustawionym na środku pokoju nadpalonym stole i patrzył na przeciwległą ścianę, odnajdując w niebieskim, spłowiałym od upływu lat tynku odbicie ogarniającego go znużenia. Widok ściany przypominał mu często stan jego własnego ducha, a znajdujące się na niej pęknięcia i rysy przywodziły mu na myśl wpływ, jaki na jego psychikę wywarły ostatnie prawie trzy lata wojny. A jednak wciąż jeszcze jakoś się trzymam — powiedział sobie, jak zresztą wiele razy to robił, kiedy o tym rozmyślał. — Huk wybuchów i grzmot fali dźwiękowej mogły naruszyć warstwę tynku, ale kryjący się pod nią mur jest nadal tak lity jak przed wojną. Jeżeli więc głupi mur się nie poddał, to i ja nie mogę.

— A teraz dobrze? — usłyszał z boku dźwięczny dziecinny głosik.

Spojrzał na pogniecioną kartkę i widniejące na niej linie i litery.

— No, tak, pierwsze trzy są w porządku — kiwnął głową. — Ale ostatni wynik powinien być...

— Nie mów mi — przerwała szybko Danice, wyrwała kartkę i z nową energią zabrała się do rozwiązania zadania z geometrii. — Sama chcę to poprawić.

Jonny uśmiechnął się, spoglądając czule na rozwichrzone rude włosy i malującą się na buzi determinację, z jaką dziewczynka zabrała się na nowo do pracy. Danice ukończyła dziesięć lat, a więc była w tym samym wieku co jego siostra, Gwen. Chociaż od chwili przybycia na Adirondack Jonny nie miał żadnych wieści z domu, często wyobrażał sobie, że Gwen musiała wyrosnąć na ciemnowłosą kopię siedzącej teraz obok niego panienki. Obydwie były bardzo śmiałe i więcej niż trochę uparte, ale w swych poczynaniach kierowały się na ogół zdrowym rozsądkiem. Z pewnością także to, że Danice traktowała Jonny'ego jak dobrego przyjaciela — mimo nie wypowiedzianych na głos zastrzeżeń, jakie mieli jej rodzice wobec czasowego mieszkania Kobry w ich domu — dowodziło stanowczości, którą Jonny tak często widywał u swojej siostry.

Danice dorastała jednak na planecie, na której toczyła się wojna, i nawet jej stanowczość nie mogła sprawić, aby ten fakt nie wycisnął na dziewczynce swojego piętna. Ale w sumie i tak miała dużo szczęścia. Chociaż mieszkanie było za małe na tę ilość osób, tocząca się za jego murami partyzancka wojna wpływała na jej życie w niewielkim tylko stopniu.

Już wkrótce jednak mogło się to zmienić, zwłaszcza gdyby obecność Kobr w tej dzielnicy Cranach miała potrwać tak długo, że ściągnęłyby uwagę Troftów. Było to niewątpliwym powodem do zmartwień, ale z drugiej strony stanowiło dla Jonny'ego dodatkowy bodziec do najlepszego wywiązania się z powierzonego mu zadania i zakończenia wojny tak szybko, jak tylko okaże się to możliwe.

Przez otwarte okno doleciał ich uszu przytłumiony huk dalekiego grzmotu.

— Co to było? — zapytała Danice, przestając poruszać ołówkiem po papierze.

— Fala dźwiękowa. Ktoś osiągnął prędkość ponaddźwiękową — powiedział szybko Jonny, zwiększając czułość wzmacniacza słuchu, zanim grzmot całkowicie ucichł.

Oprócz fali dźwiękowej udało mu się wychwycić dobrze znany skowyt silników maszyn atmosferycznych Troftów.

— Co najmniej o kilka kilometrów od nas — dodał.

— Aha.

Ołówek wznowił swoją wędrówkę po papierze.

Jonny wstał od stołu, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Chociaż mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze, nie można było zbyt wiele stąd dojrzeć. W Cranach zbudowano wiele wysokich domów. Otaczające miasto bagna zmusiły budowniczych do wznoszenia konstrukcji wielopiętrowych zamiast projektowania niskiej zabudowy z daleka od centrum, jak działo się w przypadku większości miast na Adirondack. Naprzeciwko Jonny widział wysokie, ciągnące się w prawo i w lewo ściany pięciopiętrowców, nad dachami których widniały w oddali zwieńczenia jeszcze wyższych gmachów, znajdujących się w samym centrum miasta. Włączył wzmacniacz wzroku i zaczął penetrować niebo w poszukiwaniu śladów lądujących pozaplanetarnych kapsuł. Zakodowany impulsowy sygnał, jaki odebrali z przestrzeni międzygwiazdnej poprzedniego wieczoru, wywołał falę wzmożonej aktywności podziemnego ruchu oporu, przygotowującego się na przyjęcie nowych Kobr — Kobr, które bez ich pomocy wylądowałyby dokładnie w objęciach czekających już na nich w mieście i wokół miasta Troftów. Jonny, wyobraziwszy to sobie, zacisnął mocno zęby, bo wiedział, że nikt inny nie mógł tym posiłkom w żaden sposób pomóc. Odebranie zakodowanego sygnału, który swoim zasięgiem obejmował pół kontynentu, to jedna sprawa, ale wysłanie odpowiedzi, nawet przy założeniu, że międzyplanetarny transportowiec będzie cierpliwie na nią czekał, to druga i to o wiele bardziej ryzykowna. Jonny znał nie mniej niż tuzin sposobów na przechytrzenie radiowych, laserowych czy kodowanych impulsowo pelengatorów wroga, ale każdy z nich mógł działać skutecznie nawięcej cztery razy, bo potem Troftowie odkrywali miejsce, z którego nadawano. Podziemny ruch oporu miał jeszcze jeden sposób, trzymany w tajemnicy na specjalne okazje, ale do takich nie zaliczano transportów kolejnych żołnierzy z oddziałów Kobra.

— Widzisz coś? — zapytała go Danice, nie wstając od stołu. Jonny pokręcił głową.

— Błękitne niebo, drapacze chmur... i małą dziewczynkę, która nie może sobie poradzić z odrabianiem lekcji — powiedział, odwracając się i spoglądając na nią kpiąco.

Danice uśmiechnęła się radośnie, ale dziecinny uśmiech nie mógł zatrzeć śladów malującej się w oczach powagi. Jonny często się zastanawiał, co dziewczynka wiedziała na temat działalności rodziców i ich uczestnictwa w naprędce przygotowywanych akcjach. Czy wiedziała na przykład, że w tej chwili brali udział w akcji dywersyjnej, mającej na celu odwrócenie uwagi Troftów?

Jonny mógł tego tylko się domyślać. Jeżeli jednak Danice nie potrzebowała umyślowego relaksu od wojny, jaka toczyła się na planecie, jemu z pewnością był on potrzebny. Usiadł więc znów obok niej przy stole i skupił się jak najlepiej umiał na zawiłościach zadań matematycznych z piątej klasy.

Dopiero po prawie trzech godzinach usłyszał szcęk klucza w zamku drzwi wejściowych. Odruchowo przygotował do strzału lasery umieszczone w małych palcach i ze skrywanym niepokojem patrzył na sześcioro ludzi, którzy w milczeniu kolejno wchodzili do mieszkania. Oczy Jonoy'ego prześlizgiwały się po ich ciałach i twarzach, szukając śladów ran czy obrażeń. Wyniki tych obserwacji, jak zwykle, przyniosły rezultaty lepsze od tego, czego się obawiał, ale równocześnie gorsze od tego, na co miał nadzieję. Na konto plusów mógł zapisać to, że cała szóstka, która opuściła mieszkanie o świcie — dwie Kobry i czterech cywilów — wróciła o własnych siłach. Na konto zaś minusów...

Matka Danice zdążyła zrobić zaledwie dwa kroki od drzwi, kiedy Jonny jednym skokiem znalazł się przy niej i zastąpił jej męża, nieco zmęczonego podtrzymywaniem żony za nie obandażowaną rękę.

— Z czego panią trafili? — zapytał cicho, prowadząc ją w stronę tapczanu.

— Z szerszenia — odparła Marja Tolan głosem nieco otępiiałym od silnych środków znieczulających.

Dwaj mężczyźni odsunęli Jonny'ego na bok i z domowej apteczki zaczęli wyjmować bandaże i opatrunki.

— Musieli ją namierzyć, bo wyłapali szcęk zamka karabinu inercyjnego — odezwał się zmęczonym głosem jej mąż, Kem, siadając przy stole na krześle, które poprzednio zajmował Jonny.

Nie zwracając uwagi na zmęczenie, zajął się natychmiast pocieszaniem Danice.

Jonny ponuro kiwnął głową. Do tej pory ten rodzaj karabinów uważano za jedną z bezpieczniejszych broni. Ich niewielkie, inercyjnie wystrzeliwane pociski nie odbijały żadnych sygnałów radarowych, dźwiękowych ani cieplnych, które mogłyby zostać przechwycone przez którykolwiek z licznych systemów detekcyjnych i obronnych Troftów. Co więcej, pociski opuszczały lufę broni siłą własnej bezwładności dzięki nagłemu uwolnieniu sprężonego powietrza, ale znajdujące się w nich miniaturowe rakiety nie były odpalane, dopóki pocisk nie znalazł się o dziesięć do piętnastu

metrów od strzelca. Wiele takich ładunków bywało unieszkodliwianych w locie przez laserowe systemy naprowadzania na cel lub przez szerszenie Troftów, ale dotąd najeźdźcy nie potrafili namierzyć osoby, która je wystrzeliwała. Może więc Marja została trafiona wyłącznie wskutek nieszczęśliwego wypadku?

Jonny popatrzył na Cally'ego Hallorana i unióśł brwi w niemym pytaniu, tak oczywistym, że nie musiał go wypowiadać. Halloran zrozumiał je bez trudu.

— Nie będziemy wiedzieli tego na pewno, dopóki osoby używające inercyjnych karabinów nie zaczną być trafiane znacznie częściej — powiedział znużonym głosem. — Sądzę jednak, że strzał był zbyt celny, aby można go było uznać za przypadek. Myślę że karabiny inercyjne powinny zostać na jakiś czas wycofane z akcji.

— A tak dobrze służyły — mruknął ponuro Imel Deutsch.

Podszedł do okna i złożył rękę za plecami, wyjrzał na ulicę.

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Jonny popatrzył na Hallorana, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

— Co się stało? — zapytał.

— Zginął Kobra — westchnął Halloran. — Sądzę, że to ktoś z grupy MacDonalda, chociaż widoczność była bardzo kiepska. Wygląda na to, że cywile, którzy mieli strzec drogi dojazdowej do miejsca zrzutu, nie dotarli w porę na wyznaczone stanowiska i w rejon lądowania przedostało się prawie tuzin Troftów. Ostrzeżono nas o tym, ale znajdowaliśmy się zbyt daleko, żeby pomóc.

Jonny kiwnął głową, czując tę samą gorycz, jaką w tak oczywisty sposób okazywał Deutsch... gorycz, która już dwa razy od chwili przybycia na Adirondack omal go nie zadławiła. Parr Noffke i Druma Singh... dwaj przyjaciele z jego grupy stracili życie przez taką samą niekompetencję cywilów. Pogodzenie się z ich śmiercią zabrało Jonny'emu wiele czasu, ale Halloranowi, mniej tolerancyjnemu w stosunku do ludzi z pogranicza, jeszcze więcej.

Deutsch, urodzony i wychowany na Adirondack, nie pogodził się z tym aż do tej chwili.

— Wiesz może, ilu ludzi w ogóle zginęło? — zapytał Jonny Hallorana.

— Nie sądzę, żeby wielu, jeżeli nie liczyć Kobr — odparł tamten.

Jonny skrzywił się na nie wypowiedzianą sugestię — pojawiającą się ostatnio jak na jego gust zbyt często — że życie Kobr miało większą wartość niż życie wspomagających ich członków podziemnego ruchu oporu.

— Rzecz jasna, nawet nie próbowaliśmy dobrać się do tamtego magazynu, więc żaden z nas nie musiał niepotrzebnie ryzykować — dodał. — Czy nowym oddziałom udało się bezpiecznie wylądować?

— Nie mam pojęcia — rzekł Jonny i pokręcił głową. — Odbiornik impulsowy nie zarejestrował żadnej pozaplane-tarnej transmisji, która by to potwierdziła.

— To podobne do tych chrzanojadów. Do ostatniej chwili wstrzymują się ze zrzutem, nie mówiąc nam ani słowa.

Jonny wzruszył ramionami i podszedł do dwójki mężczyzn, opatrujących teraz ramię Marji.

— Jak to wygląda? — zapytał.

— Typowa rana postrzałowa z szerszenia — odparł jeden z nich. — Rozległa, ale sądzę, że zagoi się bez problemu. Przez jakiś czas Marja nie będzie mogła uczestniczyć w akcjach.

A przez ten czas — pomyślał Jonny — Danice nie będzie się musiała martwić przynajmniej o jedno z rodziców.

Jeżeli o to chodziło, Jonny widział aż za wielu niewinnych cywilów, którzy stracili życie w najrozmaitszych strzelaninach.

Przez kilka następnych minut w pokoju panowała cisza. Mężczyźni skończyli opatrywać ramię Marji i wyszli z pomieszczenia, zabierając do kryjówki skromne uzbrojenie i ekwipunek całej grupy. Kem i Danice odprowadzili Marję do jednej z trzech sypialni, oficjalnie po to, żeby położyć ją do łóżka, a w rzeczywistości — jak Jonny podejrzewał — po to, aby umożliwić Kobrom swobodną dyskusję na temat przeprowadzonej akcji i zaplanowanie przyszłych operacji, zanim z pracy powrócą inni mieszkańcy domu.

Jonny dobrze pamiętał, że w ciągu pierwszych miesięcy ich pobytu rzeczywiście dyskutowali. Teraz jednak, po prawie trzech latach, kiedy większość słów została już wypowiedziana, a prawie wszystkie plany omówione, wystarczały tylko gesty czy mimika.

Ale w tej chwili gesty wyrażały jedynie ogarniające ich zmęczenie.

— Jutro.

Jonny przypomniał pozostałym o kolejnym spotkaniu na wysokim szczyblu, które miało być poświęcone zagadnieniom związanym z taktyką walki. Potem wszyscy udali się do wspólnego, tak samo jak inne zagraconego pokoju.

Halloran tylko skinął głową. W odpowiedzi Deutschowi drgnął kącik ust.

W ten sposób dobiegł końca jeszcze jeden wspólny dzień na Adirondack. Jeżeli mur się nie poddaje — pomyślał po raz wtóry Jonny — to i ja nie mogę.

Troje siedzących przy stole ludzi wyglądało mniej więcej tak samo jak wszyscy w tym czasie w Cranach: zmęczeni, nieco zakurzeni i bardziej niż trochę przerażeni. Widząc ich, czasem było trudno pamiętać, że należeli do najlepszych przywódców podziemia na Adirondack.

A jeśli wziąć pod uwagę liczbę ofiar zarówno wśród Kobr, jak ludności cywilnej, jeszcze trudniej byłoby przyznać, że naprawdę całkiem dobrze znali się na swojej pracy.

— Chciałem wam przede wszystkim powiedzieć, że mimo wcześniejszych, trochę niedokładnych informacji, ostatni zrzut Kobr zakończył się sukcesem — odezwał się

Borg Weissmann do siedzących w różnych miejscach pokoju przywódców podziemnego sektora centralnego.

Niski i krępy, ze śladami cementowego pyłu za paznokciami i we włosach Weissmann wyglądał na przedsiębiorcę budowlanego, który to zawód naprawdę wykonywał. Przedtem jednak, przed dwudziestu laty, służył w wojsku jako główny programista do spraw taktyki i w ciągu ostatniego roku udowodnił, że w czasie służby nauczył się czegoś więcej poza programowaniem komputerów.

— Ile dostaliśmy tym razem? — zapytał ktoś, siedzący pod samą ścianą.

— Cranach otrzymał trzydzieści: sześć kompletnych grup — odparł Weissmann. — Większość zostanie przydzielona do sektora pomocnego, aby zastąpić tych, których straciliśmy miesiąc temu podczas tamtej pamiętnej walki na lotnisku.

Jonny popatrzył na Deutscha i ujrzał grymas, jaki pojawił się na jego twarzy na samo wspomnienie tamtej akcji. Ich grupa nie wzięła w niej udziału, ale takie szczegóły najwyraźniej nie miały wpływu na sposób, w jaki reagował. Jeżeli chodziło o kogokolwiek na Adirondack, zachowywał się w ten sposób, jak gdyby to on osobiście zawiódł nadzieje pokładane w nim przez inne Kobry. Jonny zastanowił się, czy odczuwałby to samo, gdyby wojna toczyła się na Horizonie, i po namyśle zdecydował, że zapewne tak.

— Jedna grupa zostanie przydzielona do nas — ciągnął w tym czasie Weissmann. — Ama zajęta się już ich zakwaterowaniem, dostarczeniem niezbędnych dokumentów i tak dalej. Na początku powinni mieć trochę czasu, żeby mogli przystosować się do nowego miejsca, ale wobec nasilającej się w ciągu ostatnich tygodni aktywności Troftów...

— Mówiąc krótko, proponuje pan kolejną akcję. Ton głosu Hallorana nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że to nie miało być pytanie. Weissmann zawahał się, a potem kiwnął głową.

— Wiem, jak bardzo nie lubicie przeprowadzania akcji w tak krótkich odstępach czasu, ale sądzę, że to właśnie powinniśmy zrobić.

— My? — odezwał się Deutsch z kąta pokoju, w którym zazwyczaj przesiadywał. — Chciał pan raczej powiedzieć "wy", nieprawdaż?

Weissmann końcem języka zwilżył wargi, co stanowiło dowód, że bardzo był zakłopotany. Deutsch kiedyś zajmował się łagodzeniem wszelkich konfliktów, jakie pojawiały się w kontaktach między Kobrami a miejscowymi cywilami. Będąc równocześnie i Kobrą, i obywatelem Adirondack, dobrze rozumiał wszystkie różnice kulturowe oraz mogące z nich wynikać nieporozumienia czy zdrażnienia.

Teraz jednakże coraz częściej ogarniało go przygnębienie i zniechęcenie, toteż stawał się szorstki i opryskliwy w stosunku do każdego, z kim się zetknął.

— Ja... hm... zakładałem, że wolelibyście mieć w pobliżu jeden lub dwa oddziały cywilów, którzy by wam pomagali — odezwał się Weissmann. — Nie chciałbym, żebyście sądzili, iż nie zamierzamy się wywiązywać...

— Niewywiązywanie się z obowiązków było wczoraj powodem śmierci jednego z naszych ludzi — przerwał mu cicho Deutsch. — Może więc lepiej sami zajmiemy się całą akcją.

Ama Nunki poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Ze wszystkich Kobr właśnie ty, Imel, powinieneś wiedzieć, czego można spodziewać się po naszych ludziach — powiedziała. — To Adirondack, a nie Ziemia czy Centami. My nie przeżyliśmy tylu wojen, z których moglibyśmy czerpać doświadczenie.

— A ostatnie trzy lata to co? — zapytał zapalczywie Deutsch.

— Z drugiej strony — wtrącił Jonny — tym razem Imel może mieć rację. Potrzebna nam szybka, sprawnie przeprowadzona akcja, dzięki której Troftowie przestaliby przeszukiwać kolejne domy w mieście. Nie chcemy angażować w nią wielu ludzi, żeby tamci nie ściągnęli posiłków z garnizonu w Dannimor. W tej chwili najbardziej potrzebne jest błyskawiczne działanie kilku Kobr.

Weissmann odetchnął z widoczną ulgą, a Jonny poczuł, jak opada napięcie panujące przed chwilą wśród zebranych. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się w trakcie takich zebrań pełnić należącą dotychczas do Deutscha funkcję rozjemcy. Były to jednak obowiązki, których ani nie lubił, ani nie umiał dobrze pełnić. Ktoś jednak musiał to robić, a w tej chwili Halloran znacznie mniej niż Jonny współczuł miejscowym ludziom z pogranicza. Jonny mógł więc tylko starać się jak potrafił i mieć nadzieję, że Deutsch dojdzie szybko do siebie i wyrwie się z apatii.

— Jestem tego samego zdania co Jonny — rzekł Halloran. — Sądzę, że macie jakieś sugestie na temat celu, który powinniśmy zaatakować?

Weissmann zwrócił się do Jakoba Dane'a, trzeciej osoby siedzącej przy stole.

— Określiliśmy cztery możliwe cele — odezwał się Dane. — Rzecz jasna, zakładaliśmy, że będziecie dysponowali większą grupą ludzi...

— Proszę nam tylko powiedzieć co to za cele — przerwał mu szorstko Deutsch.

— Tak jest.

Dane sięgnął po kartkę, a jej drgania ujawniły drzenie jego własnych palców. Potem odczytał je jeden po drugim. Jak się okazało, wszystkie cztery były stosunkowo mało ważnymi obiektami; widocznie więc i Dane miał równie mało wygórowane jak Deutsch mniemanie o wojskowych umiejętnościach miejscowych partyzantów.

— Żaden nie jest wart paliwa, jakie zużyjemy na dostanie się w jego rejon — parsknął Halloran, kiedy Dane skończył czytać.

— A może wolałbyś od razu zabrać się do Siedliska Duchów? — zaproponowała złośliwie Ama.

— To nie było zabawne — mruknął Jonny, widząc, jak twarz Hallorana się zachmurzyła.

Od kilku miesięcy było jasne, że Troftowie mają gdzieś w Cranach swój główny sztab, ale do tej pory nikt nie umiał określić, gdzie mogło się znajdować miejsce bardzo trafnie określane mianem Siedliska Duchów.

Wszystko to, po niewczasie, uświadomiła sobie nagle Ama.

— Masz rację, Jonny — powiedziała, pochylając szybko głowę w miejscowym geście oznaczającym przeprosiny, który nawet Jonny uważał za prowincjonalny. — Przepraszam, to nie jest coś, z czego powinnam była stroić żarty.

Halloran wydał pomruk mający oznaczać, że niezupełnie się zgadza.

— Czy ktoś nie ma jakichś poważnych propozycji? — powiedział, patrząc po zebranych.

— A co z tym transportem podzespołów elektronicznych, który miał tutaj wczoraj dotrzeć? — zapytał Deutsch.

— Już dotarł — rzekł Dane i kiwnął głową. — Znajduje się teraz w dawnej fabryce Wolкера. Nie sądzę jednak, żeby można się tam łatwo dostać.

Deutsch spojrzał na Hallorana i Jonny'ego, a potem uniósł brew.

— Jasne, dlaczego by nie? — w odpowiedzi Halloran wzruszył ramionami. — System alarmowy zarekwirowanej na potrzeby wojsk Troftów Fabryki Wyrobów Plastikowych Wolкера będzie miał wiele luk, których okupanci z pewnością jeszcze nie zatkali.

— Można byłoby sądzić, że do tej pory powinni się tego nauczyć — powiedział Deutsch, wstając i spoglądając po twarzach siedzących w pokoju dowódców poszczególnych oddziałów ruchu oporu. — Wygląda na to, że w tej chwili nie będą państwo nam już potrzebni. Bardzo wszystkim dziękuję za udział w dzisiejszym zebraniu.

Prawdę mówiąc, nikt z Kobr nie był upoważniony do uznawania zebrania za zakończone, ale żaden z miejscowych nie spieszył się, by o tym przypomnieć. Prawie nie rozmawiając między sobą, zebrani bez ociągania opuścili pokój. Zostały tylko Kobry i troje przywódców całego podziemia.

— A teraz — odezwał się Deutsch, zwracając się do tych drugich — chciałbym wiedzieć, czy dysponujecie jakimiś planami tej fabryki.

Twarz Amy pokryła się purpurą, ale kiedy się przekonała, że dwaj jej towarzysze nie mają zamiaru zwracać uwagi Deutschowi, z widocznym wysiłkiem zdecydowała, że i ona nie będzie reagować. Wstała od stołu, dumnym krokiem podeszła do ustawionego w kącie pokoju regału i wróciła z naręczem opatrzonych niewinnymi napisami taśm i kaset. Przemieszane z rozrywkowymi wideogra-mami znajdowały się na nich plany ważniejszych budynków miasta, sieci kanalizacyjnych i energetycznych, a także dziesiątki planów innych obiektów, jakie pod-ziemiu udało się zgromadzić. Okazało się że brama wjazdowa do Fabryki Wyrobów Plastikowych Wolкера została na nich przedstawiona z wszelkimi potrzebnymi szczegółami.

Planowanie akcji przeciągnęło się do późnego popołudnia, po czym Jonny powrócił do mieszkania Tolanów jeszcze przed nastaniem godziny policyjnej rozpoczynającej się równo z chwilą zachodu słońca. Dwaj inni mieszkańcy — brat Marji ze swoim synem, którzy uciekli z kompletnie spalonego przez Troftów Paryża — tej nocy nie mieli nocować w domu. Dzięki temu, kiedy nieco później wszyscy udali się na spoczynek, Jonny mógł cieszyć się niezwykłą swobodą spania w oddzielnym pokoju. Nikt z mieszkańców nie zapytał go, co postanowiono w trakcie zebrania, ale wszyscy w mniejszym lub większym stopniu byli świadomi, że już wkrótce zostanie przeprowadzona kolejna akcja. W cichy, subtelny sposób pozostawili go więc swoim myślom, jakby w ostatniej chwili chcieli wzniesić emocjonalny mur między sobą a nim na wypadek, gdyby miał nie powrócić z akcji.

Później, kiedy w nocy leżał na materacu, sam zaczął zastanawiać się nad tą możliwością. Podejrzał, że pewnego dnia osiągnie taki stan ducha, w którym szansa wpadnięcia w śmiertelną pułapkę nie będzie mu nawet przychodziła do głowy. Sądził jednak, że jeszcze nie nadszedł dzień, w którym to się stanie, i miał nadzieję zrobić wszystko, aby jego nadejście opóźnić jak najbardziej. Wiedział dobrze, że najczęściej ginęli ci, którzy ruszali do walki, nie licząc się z możliwością śmierci.

W ostatnich chwilach przed pogrążeniem się w objęcia snu, Jonny wyliczył w myślach wszystkie powody, dla których powinien przeżyć planowaną akcję. Zaczął, jak zawsze, od swojej rodziny, a zakończył na wrażeniu, jakie jego śmierć musiałaby wyrzucić na Danice.

Superprecyzyjny zegar stanowiący część nanokomputerów był najprostszym, ale i najbardziej użytecznym elementem w całym arsenale wyposażenia bojowego Kobry. Jak tradycyjne, używane kiedyś przez żołnierzy chronometry, umożliwiał działającym na dużym obszarze oddziałom zgranie w czasie zaplanowanych akcji. Co więcej, mógł być połączony ze wszystkimi serwomotorami, co pozwalało na przeprowadzanie wspólnych działań z mikrosekundową wręcz dokładnością. Stwarzało to możliwości, jakie dotąd mogły być jedynie udziałem automatów, zdalnie sterowanych robotów i zmechanizowanych oddziałów, walczących na pierwszej linii frontu.

Urządzenie miało wykazać swoją przydatność dokładnie za dwanaście minut i osiemnaście sekund. Opuszczając się długą, krętą rurą wentylacyjną, którą dotarł do fabryki Wolkera od strony nie strzeżonej południowej stacji filtrów powietrza, Jonny kilkakrotnie sprawdzał, ile czasu zostało mu do rozpoczęcia akcji. Nie palił się do skorzystania z tego typu tylnego wejścia — zamknięte przestrzenie bowiem były najbardziej niebezpiecznymi miejscami, w jakich Kobra mógł wpaść w pułapkę — ale przynajmniej na razie wyglądało na to, że opłacało się zaryzykować. Bez trudu zdołał pokonać urządzenia alarmowe, zainstalowane przez Troftów przy wylocie rury, a zgodnie z planami budynku już wkrótce powinien z niej wyjść do zbiornika

znajdującego się niemal dokładnie pod główną bramą wjazdową do fabryki. Będzie musiał tam zaczekać na rozpoczęcie akcji, zajmwszy taką pozycję, by móc widzieć strażników strzegących wewnętrznej bramy.

Były czasy, kiedy Troftowie chronili obiekty cywilne adaptowane do potrzeb wojska za pomocą przenośnych alarmowych czarnych skrzynek. Do tej metody zniechęcił ich już wkrótce ruch oporu. Najeźdźcy bardzo szybko stwierdzili, że bez względu na to, jak nastawiali czujniki owych skrzynek, partyzanci za każdym razem potrafili uruchamiać je bez powodu. Takie fałszywe alarmy i wywoływane nimi akcje mające na celu ujecie podstępnych "napastników", których jedynym uzbrojeniem były ognie sztuczne i proce, sprawiły, że Troftowie musieli zastąpić automaty żywymi strażnikami. Wyposażyli ich w czujniki i alarmy uruchamiające się z chwilą śmierci. Taki system był znacznie trudniejszy do oszukania i niemal tak samo niezawodny.

Niemal.

Jonny ujrzał przed sobą szarą plamę na tle głębokiej czerni — zapewne kratę zamykającą otwór do głównego budynku fabryki. Fakt, że znajdujący się za nią pokój był także pogrążony w mroku, mógł oznaczać, że prawdopodobnie nikt w nim nie przebywał. Jonny miał taką nadzieję, gdyż nie chciał zabijać obcych w tak wczesnym stadium swojej misji.

Rzecz jasna, najważniejsze, czy te wszystkie alarmy strażników wyzwalane z chwilą ich śmierci mogą zostać unieszkodliwione o mikrosekundę wcześniej, zanim ich posiadacze stracą życie podczas równoczesnego ataku wszystkich Kobr. To zadanie najprawdopodobniej spocznie na barkach Jonny'ego, jako że odbiorniki tych sygnałów znajdują się gdzieś wewnątrz. Troftowie z pewnością dysponują zarówno zwiernymi, jak i rozwiernymi przełącznikami wyzwalającymi alarmy, a więc zanim podejmie jakąkolwiek akcję, będzie musiał dokładnie określić, gdzie które zainstalowano.

Dotarł właśnie do kraty. Zwiększywszy czułość wzmacniacza wzroku, przyjrzał się dokładnie, czy nie znajdzie ukrytych urządzeń alarmowych lub pułapek. Wyjęty z plecaka detektor przepływu prądu pozwolił mu na wykrycie czterech podejrzanie wyglądających drutów. Jonny zwarł je swoimi przewodami o odpowiednich impedancjach, a później przeciął, używając laserów umieszczonych w małych palcach. Potem przebył końcowe dwa metry rury i wylądował u wlotu do opróżnionego zbiornika. Zamknięta kłapa nie została wyposażona w mechanizm umożliwiający otwieranie jej od środka, ale lasery Jonny'ego uporały się z tym niedopatrzeniem bardzo łatwo. Wysunął głowę przez uchyloną kłapę i uważnie się rozejrzył.

Tkwiał zawieszony jakieś pięć metrów nad podłogą zbiornika, który okazał się największym spośród kilku podobnych, ustawionych obok rzędem. O cztery metry od Jonny'ego, na wysokości jego wzroku znajdowało się coś, co wyglądało na wyjście. Można było do niego dotrzeć po wbudowanych w ścianę schodach.

Na postawie analizy dotychczasowych środków ostrożności, które przedsięwzięli Troftowie, Jonny nie spodziewał się, aby jakiegokolwiek pułapki mogły znajdować się w podłodze. Zostało mu jeszcze siedem minut na zajęcie pozycji wyjściowej do ataku... dla Kobry zaś czterometrowy skok był tak łatwy jak dla kogoś innego krok zrobiony na spacerze. Podkurczywszy nogi, przez chwilę balansował na pokrywie zamykającej wlot rury, a potem odepchnął się rękami i skoczył.

Poprzedniej nocy przestrzegał się przed wpadnięciem w apatię. Teraz zaś, przez jedną straszliwie krótką chwilę — cały czas, jaki pozostał mu do dyspozycji — przekonał się, że za zbytnią pewność siebie może mu przyjść zapłacić tak samo słoń cenę. Głośne szczęknięcie zwolnionych z zaczepów sprężyn wypełniło jego wspomagane wzmacniaczem uszy, a serwomotory ramion ustawiły dłonie i lasery w pozycjach gotowych do strzału znacznie szybciej, niż mózg był w stanie zarejestrować czarną ścianę, unoszącą się z podłogi w stronę lecącego ciała. Wszystko to okazało się zbędne. Kiedy nitki światła z palców dotarły do celu, wiedział, że tym razem Troftom udało się zastawić pułapkę naprawdę po mistrzowsku. Uświadomił sobie, iż obiekt o dużym znaczeniu militarnym z zachęcającym tylnym wejściem wyposażonym w dziecinnie łatwe do unieszkodliwienia alarmy posiadał napowietrzną pułapkę działającą dokładnie w chwili, w której trajektoria lotu sprawiała, że cała siła i prędkość, jaką dawały mu jego serwomechanizmy, stawały się praktycznie bezużyteczne.

Unoszący się mur był tuż-tuż, a Jonny miał tylko tyle czasu, by stwierdzić, że to sieć, która owinęła się wokół jego ciała niczym gigantyczny kokon. W ułamek sekundy później gwałtowne szarpnięcie uświadomiło mu, iż zmienił tor lotu w chwili, w której niewidzialne zamocowanie sieci osiągnęło maksimum zasięgu, i Jonny zawisł w powietrzu do góry nogami.

W ten sposób został schwytany... co, jako że był Kobrą, znaczyło, że właściwie był martwy.

Jego ciało, rzecz jasna, nie chciało tak szybko uznać tego faktu za oczywisty i starało się wyplątać z lepkiej, wciąż zaciskającej się sieci. Liczyła się jednak nie moc, zapewniana Jonny'emu przez serwomotory, ale fakt, że zanim on zdoła przerwać włókna, one przetną mu ubranie i ciało, a zatrzymają się dopiero, kiedy dotrą do kości. Z pięty lewego buta wystrzelił strumień światła z przeciwpancerneho lasera, wypalając niewielką dziurę w sieci i odłupując z sufitu zbiornika kawałki betonu. Ale to nie wystarczało, aby wyrządzić włóknom jakąś krzywdę. Gdyby mógł w jakiś sposób przeciąć choć jedną linę spośród utrzymujących go w zawieszeniu... w panującym półmroku, z oczami przysłoniętymi przez dwie albo nawet trzy warstwy lepkiej materii, nie mógłby nawet niczego zobaczyć.

Gdzieś w głębiach mózgu zbudził się do życia sygnał alarmujący o stanie ciała. To czujnik monitorujący działanie serca dawał znać, że coś jest nie w porządku.

Zaczynał zasypiać.

To był ostatni, zadany po mistrzowsku cios wroga, równie nieuchronny co śmiertelny. Dociskany do naskórka twarzy narkotyk w połączeniu z klejem, jakim były nasączone włókna, przenikał do krwiobiegu szybciej, niż umieszczony tuż pod sercem awaryjny stymulator jego pracy zdołał go neutralizować. Jonny'emu pozostało zaledwie kilka sekund, a potem wszechświat na zawsze przestanie dla niego istnieć... a musiał w tym czasie wykonać jeszcze jedną czynność.

Język, tkwiący dotąd jak kula zastygłego gipsu, opierał się o podniebienie. Z wysiłkiem wymagającym mobilizacji całej pozostałej mu siły woli Jonny zmusił go do przesunięcia się do kącika ust... zmusił do przedarcia się przez zaciśnięte wargi... i do dotknięcia umieszczonego przy kąciku ust przełącznika uruchamiającego radiostację.

— Odwołać — wymamrotał. W zbiorniku robiło się coraz ciemniej, ale włączenie wzmacniacza wzroku wymagałoby użycia siły, którą nie dysponował. — Odwołać. Wpadłem... pułapka...

Gdzieś z oddali dobiegły dźwięki, które mogły być potwierdzeniem odbioru, ale Jonny'ego nie było stać na wysiłek, jaki musiałby zrobić, żeby je zrozumieć. Prawdę mówiąc, nie miał już sił, aby zrobić cokolwiek.

Ciemność stała się wszechobecna, ogarniając go całego swoim przemożnym wpływem.

Najbliższym sąsiadującym z fabryką Wolкера domem był opustoszały magazyn znajdujący się o sto metrów na północ od głównej bramy wjazdowej do zakładu. Skulony na dachu magazynu Cally Halloran zgrzytnął z wściekłością zębami, starając się spoglądać we wszystkie strony naraz. Jonny wspominał coś o pułapce, być może majaczył, a może miał świadomość zbliżającej się śmierci... Ale czy była to zwykła pułapka, czy może coś bardziej perfidnego? Jeżeli to drugie, najprawdopodobniej Deutsch, znajdujący się w tej chwili na terenie fabryki, także straci życie. Jeśli zasięg przygotowań Troftów był naprawdę duży, może i to miejsce, z którego miał osłaniać kolegów, stanie się dla niego samego śmiertelną pułapką?

Przez chwilę jego umysł nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że Jonny nie żyje. Być może później przyjdzie czas na opłakiwanie zmarłych, ale teraz musi poświęcić całą uwagę ratowaniu żywych. Wysunął lewą nogę, upewnił się, że umieszczony w niej przeciwpancerne laser ma dobre pole ostrzału, i uzbroił się w cierpliwość.

Dzięki nastawionemu na pełną czułość wzmacniaczowi wzroku otaczająca go ciemność nocy nie wydawała się bardziej mroczna niż chmurne popołudnie, ale mimo to ujrzał Deutscha dopiero wtedy, gdy tamten wyszedł z głębokiego cienia, w którym się ukrywał, czekając na początek akcji. Strażnicy musieli ujrzeć go w tej samej chwili, gdyż na krótko widok całej okolicy się przyćmił — to strugi jasnego światła laserów obrońców uruchomiły działanie przeciżeniowych ograniczników wzmacniaczy wzroku Hallorana. Deutsch zaczął biec, odpowiadając ogniem z laserowej broni. Z

mimowolną swobodą nabytą dzięki dużemu doświadczeniu Halloran wycelował przeciwpancerne laser w stronę okien i dachu, do których ogień laserów Deutscha nie mógł dotrzeć.

Okazało się to zbyt szybkie. Wykonując uniki i zygzaki, które komukolwiek innemu powyłamywałyby stawy, Deutsch przebył dzielący go od budynku dystans niczym pocisk kierowany i po kilku zaledwie sekundach skręcił za róg magazynu Hallorana, znikając tym samym wrogom z oczu.

Było jednak bardziej niż pewne, że Troftowie nie poprzestaną na odstraszeniu napastników. W chwili, w której Halloran ześlizgiwał się z dachu i leciał w dół, cała przeciwległa strona fabryki Wolкера zaczynała budzić się do życia.

Na dole czekał już na niego Deutsch. Na jego twarzy malowało się napięcie.

— Wszystko w porządku? — zapytał go Halloran.

— Ta-a. Lepiej się stąd zabieraj. Za chwilę wyroją się stamtąd jak mrówki.

— Zmień to "zabieraj" na "zabierajmy", a nie będę miał nic przeciwko temu.

Idziemy.

Halloran ujął Deutscha pod ramię i odwrócił się, zamierzając odejść.

Deutsch jednak strząsnął jego rękę.

— Nie, ja zostaję — oznajmił. — Muszę... muszę się o czymś upewnić.

Halloran zatrzymał się, a potem odwrócił głowę i spojrzał uważnie na kolegę. Jeśli Deutsch zaczynał się rozklejać...

— On nie żyje, Imel — powiedział, starając się przemówić jak do dziecka. — Sam słyszałeś jego głos, kiedy...

— Jego system autodestrukcji nie został uruchomiony — przerwał szorstko Deutsch. — Nawet poza fabryką powinniśmy usłyszeć albo odczuć wibracje, gdyby Jonny go uruchomił. A jeżeli wciąż żyje...

Nie dokończył tego, co zamierzał powiedzieć, ale Halloran zrozumiał go bez trudu. Wiedział, że Troftowie dokonali na żywo sekcji co najmniej jednego schwytanego Kobry. Jonny nie zasługiwał na taki los, a więc jeśli mogli cokolwiek zrobić, aby temu zapobiec...

— No, dobrze — westchnął w końcu, tłumiąc przenikające go dreszcze. — Ale nie ryzykuj bardziej, niż to absolutnie konieczne. Nie warto tracić życia tylko po to, by się upewnić, że Jonny będzie miał lekką śmierć, prawda?

— Wiem o tym. Nie martw się, nie zrobię żadnego głupstwa. Deutsch zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał.

— Lepiej już stąd idź — dodał.

— Dobrze — odparł Halloran. — Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby ich od ciebie odciągnąć.

— Ale i ty nie ryzykuj bez potrzeby.

Deutsch klepnął Hallorana po ramieniu, skoczył, podciągnął się na krawędzi dachu i zniknął na górze.

Nastawiwszy na pełną czułość wzmacniacze wzroku i słuchu, Halloran odwrócił się i zaczął biec, starając się jak najdłużej przebywać w mrocznych miejscach. Wiedział, że czas na opłakiwanie poległych należał wciąż jeszcze do odległej przyszłości.

Pierwszym wrażeniem, jakie wyłoniło się z rzednącej z wolna mgły, było uczucie dziwnego pieczenia na policzkach. Stopniowo uczucie to się nasilało, a po chwili dołączyła się do niego świadomość czegoś ciężkiego, uciskającego mu kark i nogi. Następnym było pragnienie, a tuż po nim uczucie ucisku na przedramionach i goleniach. Szmer działającego wentylatora... świadomość, że za zamkniętymi powiekami jest dość jasno... i pewność, że jego ciało spoczywa w pozycji poziomej.

Dopiero wówczas Jonny zdał sobie w pełni sprawę z tego, że wciąż żyje.

Ostrożnie otworzył oczy. O metr nad głową ujrzał gładki sufit pomalowanej na biało stali. Prześlizgując się po nim wzrokiem, stwierdził, że kończy się przy czterech oddalonych od siebie nie więcej niż o pięć metrów białych ścianach, wykonanych, podobnie jak sufit, z grubej stali. Pomieszczenie oświetlone było łagodnym światłem dochodzącym z niewidocznych źródeł i nadającym pomieszczeniu wygląd szpitalnej sali operacyjnej. W tym świetle Jonny dostrzegł, że jedynym wyjściem z pokoju są stalowe drzwi umieszczone we framudze z grubej, z pewnością zbrojonej stali. W jednym kącie zobaczył także kran — od wody? — wystający ze ściany nad dziesięciocentymetrowej średnicy kratą odpływową w podłodze. To urządzenie, gdyby to było konieczne, zapewne mogłoby pełnić funkcję toalety. Jego plecak i pas z bronią zniknęły, ale przynajmniej oprawcy pozostawili mu ubranie.

Jak na celę śmierci pomieszczenie to było nawet dość przytulne. Jak na salę przedoperacyjną — katastrofalnie niekompletne.

Uniósłszy nieco głowę, Jonny przyjrzał się urządzeniom mocującym do stołu jego ręce i nogi. Stwierdził, że nie są to obręcze, lecz skomplikowane zestawy czujników biomedycznych umożliwiających wstrzykiwanie najrozmaitszych narkotyków. Oznaczało to, iż w tej chwili Troftowie już wiedzieli, że odzyskał przytomność. Wynikał stąd wniosek, że świadomie pozwolili mu to zrobić.

Gdzieś w głębi jego mózgu czała się pewność, że jeszcze nie cała mgła ustąpiła, ale mimo to Jonny uświadomił sobie, jak strasznie głupie z ich strony było takie postępowanie.

Pierwszy impuls nakazywał uwolnienie się z objęć czujników jednym nagłym, wspomaganym przez serwomotory zrywem, skierowanie lasera przeciwpancernego na zawiasy drzwi i uciekanie gdzie pieprz rośnie. Ale absurdalność takiego rozwiązania sprawiła, że z niego zrezygnował.

Co właściwie Troftowie chcieli przez to osiągnąć?

Wszystko jedno, i tak najprawdopodobniej pogwałcili wszelkie wydane na taką okoliczność rozkazy. Podziemny ruch oporu przechwycił kilka miesięcy wcześniej pakiet reguł postępowania i rozkazów Troftów, z których jeden niedwuznacznie nakazywał, aby wszelkie schwytane Kobry natychmiast zabijać albo trzymać w stanie uśpienia w celu dokonywania na nich sekcji. Jonny poczuł, że żołądek podszedł mu do gardła na myśl o tym drugim, ale ponownie stłumił w sobie chęć wyrwania się z więzów, dostatecznie wcześnie, by nadzorujący go strażnik Troftów nie miał czasu odczytać wskazań przyrządów i uświadomić sobie, iż jego więzień nie śpi. Wrogowie nie popełniali tak prostych, jaskrawo prymitywnych błędów. Bez względu na to, czy było to zgodne z przepisami, czy nie, jego obecna sytuacja musiała zostać zaplanowana.

Co ktoś chciał zrobić, mając do dyspozycji żywego Kobrę?

Przesłuchiwanie nie mogło wchodzić w rachubę. Fizyczne tortury przekraczające poziom wytrzymałości wyzwoliłyby tylko automatyczny system autodestrukcji, tak samo zresztą jak stosowanie określonych narkotyków. Trzymanie w niewoli dla okupu lub w celu wymiany jeńców? Śmiechu warte. Troftowie nie rozumowali w ten sam sposób co ludzie, a nawet gdyby się tego nauczyli, to i tak nie przydałoby się im to na nic. Musieliby najpierw zapewnić sobie współdziałanie Jonny'ego, aby móc udowodnić jego kolegom, że wciąż żyje, a Jonny raczej sam uruchomiłby swój system autodestrukcji, niż zgodziłby się na taką współpracę. Może więc zamierzali pozwolić mu uciec, a potem śledzić go aż do chwili nawiązania kontaktu z członkami ruchu oporu? Równie śmieszne. W mieście znajdowały się setki bezpiecznych, jednowłóknowych linii telefonicznych, za pomocą których mógłby się skontaktować z Borgiem Weissmannem, nie zbliżając się do żadnego z jego ludzi. Troftowie już wielokrotnie próbowali tej sztuczki ze schwytanymi partyzantami, za każdym razem bezskutecznie. Sama próba śledzenia uciekającego Kobry była z góry skazana na niepowodzenie. Nie, przez dawanie Kobrom nawet cienia szansy ucieczki nie osiągnęliby niczego poza wiodącym przez cały budynek szlakiem zgliszcz i ruin.

Szlak zgliszcz i ruin. Zniszczenia, jakie mógł spowodować żywy Kobra.

Czując, jak serce bije mu coraz szybciej, Jonny zaczął ponownie przyglądać się sufitowi i ścianom. Tym razem, ponieważ wiedział, czego szuka, odnalazł bez trudu miejsca, w których umieszczono obiektywy kamer i innych czujników. Wyglądało na to, że jest ich bardzo dużo.

Spokojnie znów położył głowę na stole, czując, jak oblewa się zimnym potem. A więc o to chodziło — o zebranie dokładnych, laboratoryjnych wręcz danych o wyposażeniu i uzbrojeniu Kobry. Wypływać stąd mógł tylko taki wniosek, że bez względu na to, co znajduje się za drzwiami, najprawdopodobniej nie będzie miał najmniejszej szansy przejść przez nie żywy.

Przez dłuższą chwilę walczył z ogarniającą go pokusą. Jeśli bowiem istniała chociaż minimalna szansa, to może opłacałoby się dostarczyć Troftom te dane, na

których im tak zależało. Większość z nich, tak czy inaczej, już mieli, a rejestrowanie jego odruchów podczas akcji mogło przydać im się w niewielkim stopniu. Tylko niektóre z najbardziej skomplikowanych reakcji zaprogramowano szczegółowo, inne zaś na tyle ogólnie, aby można je było dostosować do potrzeb konkretnych sytuacji. Troftowie mogliby wprowadzić później przewidzieć, jak może wyglądać trasa, którą będzie chciał obrać kolejny uciekający z tego samego miejsca Kobra, ale właściwie nic ponadto.

Całe to rozumowanie było w końcu tylko ćwiczeniem umysłu... ponieważ Jonny ani przez chwilę nie wątpił, że rozważany przez niego kompromis jest niemożliwy. Gdzieś po drodze ucieczki z więzienia Troftów — prawdopodobnie na samym końcu — nastąpi nagły atak, w którym zginie.

"Nie ma czegoś takiego jak niezawodna pułapka". Ce-trzy Bai wślaczał im to do głów w trakcie szkolenia na Asgardzie, wbijał im tyle razy, że w końcu Jonny w to uwierzył. Zawsze jednak się zakładało, że ofiara miała przynajmniej blade pojęcie o tym, czym rozporządza jej przeciwnik. Jonny tymczasem nie wiedział, w jaki sposób go zaatakują, aby uśmiercić; nie znał rozkładu pomieszczeń w budynku ani nawet nie miał pojęcia, w jakim miejscu na Adirondack się znajduje.

Nie miał zatem właściwie żadnego wyboru. Zamknął oczy i skupił uwagę na możliwych sygnałach alarmowych własnego organizmu, które powiedziałyby mu, że Troftowie ponownie starają się go uśpić. Gdyby miało się na to zanosić, zostałby zmuszony do wyrwania się z więzów i obdarzenia swych prześladowców minimalną informacją w zamian za zachowanie świadomości. Do tej chwili... nie pozostawało mu nic więcej, tylko czekać.

I nie tracić nadziei, chociaż to ostatnie mogło wydawać się absurdalne.

Siedzieli w milczeniu i słuchali, ale kiedy Deutsch skończył mówić, wiedział, że ich nie przekonał. Pierwsza oznajmiła tę prawdę Ama Nunki.

— To zbyt duże ryzyko — powiedziała, kręcąc z powątpiewaniem głową. — Zbyt duże, a szansę powodzenia zbyt małe.

Po jej słowach zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami wiercenia się na krzesłach zgromadzonych Kobr i przywódców podziemia. Nikt się nie odezwał, aby poprzeć jej słowa. Oznaczało to, że w dalszym ciągu istniała niewielka szansa...

— Posłuchajcie — zaczął Deutsch, starając się, aby jego słowa zabrzmiały przekonująco. — Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale mówię wam, że widziałem Jonny'ego transportowanego przez Troftów do tego helikoptera, który później odleciał na południe. Wiecie równie dobrze jak ja, że jeśli chcieli żywcem pokroić go na kawałki, nie mogli go zabrać nigdzie indziej, tylko do szpitala. Ponieważ

Jonny'ego tam nie zabrali, oznacza to, że muszą chcieć zrobić z nim coś innego, coś, co nie pozwala im go zabić. Jeżeli więc wciąż żyje, to można i trzeba go uratować.

— Ale najpierw musimy go odszukać — wyjaśnił cierpliwie Jakob Dane. — Jeżeli twoje przypuszczenia na temat miejsca lądowania owego helikoptera są mylne, to błędzenie po omacku w nadziei, że uda się go nam odnaleźć, może przypominać szukanie igły w stogu siana.

— Dlaczego? — nie zgodził się z nim Deutsch. — Każde miejsce, w jakim Troftowie mogli go zapudłować, musi być odpowiednio duże, chronione przed nagłym atakiem, a przy tym słabo zaludnione. No, dobrze, dobrze, wiem, że w tej części miasta jest wiele budynków, spełniających te warunki. Niemniej udało nam się znacznie ograniczyć liczbę tych, które warto wziąć pod uwagę.

— A co, jeśli naprawdę odnajdziemy to miejsce? — zapytał Kennet MacDonald, Kobra ze wschodniego sektora miasta. — Rzucimy wszystkie nasze siły do akcji, która równie dobrze może zakończyć się kompletnym fiaskiem? Jeżeli się zorientują, że przegrywają, wystarczy, że wyzwolą system autodestrukcji Jonny'ego, a wówczas wyleci w powietrze nie tylko cały budynek, ale i my także.

— Może właśnie dlatego chcą, żebyśmy starali się go uwolnić? — zapytała Ama.

— Gdyby chcieli zastawić na nas wszystkich taką gigantyczną pułapkę, równie dobrze mogli to zrobić, kiedy Jonny znajdował się jeszcze w fabryce Wolкера. Nie musielibyśmy się wówczas głowić, jak go odszukać — odparł Deutsch, starając się zwalczyć narastające przecucie, że przedstawiane przez niego argumenty zaczynają okazywać się niewystarczające.

Spojrzał z nadzieją na Hallorana, ale tamten nie zamierzał zabierać głosu. Czyżby więc go nie obchodziło, że

Jonny mógł zostać uratowany, gdyby tylko zechcieli zorganizować taką akcję?

— W tej sprawie jestem skłonny przyznać Kennetowi rację — odezwał się Pazar Oberton, przywódca ruchu oporu z sektora MacDonald. — Nigdy nie zwracaliśmy się do was o pomoc w uratowaniu jednego z naszych ludzi, a więc nie sądzę, że teraz powinniśmy wyruszać na południe po to tylko, by ocalić jednego z waszych.

— Tu chodzi o coś więcej niż tylko o księgowość — odciął się zapalczywie Deutsch. — To wojna. A gdybyście o tym zapomnieli, to przypominam, że my, Kobry, jesteśmy waszą jedyną nadzieją na zwycięstwo i na wyrzucenie z waszej planety tych cholernych stworów.

— Z waszej planety? — mruknął Dane. — Od kiedy to uważasz się za emigranta?

Dane nigdy się nie dowiedział, jak niewiele dzieliło go w tej chwili od śmierci. Deutsch zacisnął mocno zęby, nie pozwalając całym miesiącom frustracji i rozpaczki wyzwolić się w jednym wielkim wybuchu laserowego ognia, który poszatkowałby tamtego nieczułego głupca na kawałki. Żaden z miejscowych cywilów nie rozumiał — co więcej, nawet nie starał się zrozumieć — co czuł, widząc, jak niedbałość i głupota jego ziomków przyczyniają się do śmierci ludzi, których przywykł uważać za swoich braci... co odczuwał, kiedy musiał stawać w obronie tych, którzy często nawet nie

próbowali udowodnić, że zależy im na wyzwoleniu ich planety... a także co znaczy być zmuszonym do dzielenia ich winy, kiedy się pochodziło z tego samego świata.

Powoli jednak zaćma przesłaniająca mu umysł ustąpiła, a wówczas ujrzał swoje zaciśnięte pięści spoczywające na krawędzi stołu.

— Borg? — odezwał się, spoglądając na Weissmanna. — W końcu to ty dowodzisz tą hałastrą. Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

Siedzący przy stole ludzie niespokojnie się poruszyli, ale Weissmann wytrzymał palące spojrzenie Deutscha.

— Wiem, że czujesz się za to odpowiedzialny, ponieważ to ty radziłeś nam zaatakować fabrykę Wolкера — odezwał się cicho. — Muszę ci jednak powiedzieć, że strasznie ryzykujesz.

— Wojna jest pełna takiego strasznego ryzyka — odparł porywczo Deutsch. Spojrzał kolejno po zgromadzonych w pokoju ludziach. — Wiecie, nawet nie musiałbym was prosić o zgodę. Mógłbym wydać rozkaz, żebyście pomogli mi uwolnić Jonny'ego.

Halloran poruszył się na krześle.

— Imel, formalnie rzecz biorąc, nie mamy prawa nikomu...

— Nie obchodzą mnie formalności — przerwał mu cicho Deutsch głosem, w którym nawet nie starał się kryć urazy. — Obchodzi mnie to, kto właściwie sprawuje tu rzeczywistą władzę.

Na długą chwilę w pokoju zapadła śmiertelna cisza.

— Czy masz zamiar nam grozić? — przerwał ją w końcu Weissmann.

Deutsch już otwierał usta, a słowa: "wiesz cholernie dobrze, że tak" już miały przejść mu przez gardło... ale zanim je wypowiedział, pamięć podsunęła mu widok dawno zapomnianej sceny. Ujrzał twarz Rolona Vilja, kiedy dowódca Kobr, Mendro, wydalą go z ich grupy i z oddziału Kobra... i jego własny, Deutscha, wyrok, jaki wówczas ogłosił w jego sprawie. "Niewłaściwe użycie naszego wyposażenia nastawiłoby wobec nas wrogo całą cywilną ludność na Adirondack".

— Nie — odezwał się w końcu do Weissmanna, ale powiedzenie tego słowa wymagało od niego użycia całej siły woli. — Nie, oczywiście, że nie. Ja tylko... a zresztą to nieważne. — Spojrzał jeszcze raz po zebranych, a potem wstał od stołu. — Możecie sobie robić, co tylko chcecie. Ja idę odszukać Jonny'ego.

W pokoju panowała cisza, kiedy kierował się do drzwi i opuszczał pomieszczenie. Schodząc po schodach, rozmyślał, jak zareagują na jego słowa. Nie obchodziło go to specjalnie, tym bardziej iż wiedział, że zapewne już wkrótce nie będzie go to obchodziło wcale.

Wyszedł z budynku w mroki nocy i poszedł na południe, starając się dostrzec w porę patrole przeczesujących miasto Troftów.

— Wygląda mi na to — odezwał się Jakob Dane, kiedy po kilku chwilach kroki Deutscha ucichły na schodach — że przynajmniej na jakiś czas mamy z głowy wyrzuty Samozwańczego Sumienia Adirondack.

— Zaniknij się, Jakob — doradził mu Halloran, starając się, aby w jego głosie dzwięczała stanowczość.

Już dość dawno temu zorientował się, że każdy przywódca podziemia musiał oswoić się z obecnością Kobr na swój własny, indywidualny sposób. Ale podejście Dane'a — traktowanie Kobr w trochę lekceważący sposób — było zbyt niebezpieczną pewnością siebie. Wątpił, czy tamten to zauważył, ale kiedy przed kilkoma minutami dłonie Deutscha zacisnęły się w pięści, przez bardzo krótką chwilę jego kciuki stykały się z opuszkami serdecznych palców. Było to ułożenie właściwe do uruchomienia pełnej mocy laserów umieszczonych w małych palcach.

— W razie gdybyś sam tego nie zauważył — dodał — powiem ci, że prawie wszystko, co powiedział Imel, było prawdą.

— Włącznie z tym, co mówił na temat skuteczności takiej akcji ratowniczej? — parsknął Dane. Halloran zwrócił się w stronę Weissmanna.

— Zauważyłem, Borg, że jeszcze nie ogłosiłeś swojej decyzji w sprawie przydzielenia nam grupy ludzi z ruchu oporu do pomocy w poszukiwaniach miejsca ukrycia Jonny'ego — powiedział. — Zanim coś postanowisz, pozwól, że ci przypomnę, iż istnieje co najmniej jedna ważna baza Troftów, której położenia nie znamy nawet w przybliżeniu.

— Masz na myśli Siedlisko Duchów? — Ama w zdumieniu uniosła brwi. — To szaleństwo. Jonny jest dla nich równie nieszkodliwy jak odbezpieczony granat... Musieliby oszaleć, gdyby umieścili go w tak ważnym dla nich miejscu.

— To zależy od tego, co zamierzają z nim zrobić — stwierdził głębokim basem MacDonald. — Dopóki jeszcze żyje, mogą się czuć bezpieczni. Poza tym nasze systemy autodestrukcji nie mają aż tak dużej siły. Jakikolwiek miejsce odporne na wybuch, powiedzmy, taktycznego granatu atomowego, wystarczyłoby w zupełności.

— A ponadto — dodał Halloran — z powolności ich reakcji na atak mój i Imela można sądzić, że tamtej nocy nie spodziewali się napaści na "Wolkera". Pułapka, w którą wpadł Jonny, mogła tam zostać zastawiona przed wieloma miesiącami. Równie dobrze mamy prawo więc przypuścić, że naprawdę nie mają przygotowanego żadnego innego miejsca, o którym byśmy nie wiedzieli. Jeżeli Siedlisko Duchów przypomina ich inne bazy taktyczne, jest podzielone na odrębne, niezależnie bronione obiekty. Nie podejmują większego ryzyka, jeśli Jonny znajduje się w jednym z nich.

— Nigdy nic nie słyszałam o bazach taktycznych — odezwała się Ama, wpatrując się z uporem w Hallorana. On zaś w odpowiedzi wzruszył ramionami.

— O wielu rzeczach jeszcze nie słyszałaś — odparł szorstko. — Jeżeli zgłosisz się na ochotnika do zbadania wspólnie z nami jakiejś cholernej nory Troftów, opowiemy ci o wszystkim, co wiemy na ten temat.

Z niejaką satysfakcją dostrzegł, że zacisnęła usta. Pomyślał, że dla ludzi jej pokroju jedyną liczącą się rzeczą była informacja. Zwróciwszy się w stronę Weissmanna, spojrział pytająco.

— No i co, Borg?

Weissmann przycisnął mocno palce do ust, starając się wzrokiem przeniknąć Hallorana.

— Zgoda — oznajmił i głęboko westchnął. — Przydzielę wam grupę ludzi z zadaniem odnalezienia miejsca pobytu waszego przyjaciela. Zobaczą też, czy z innych sektorów nie uda mi się ściągnąć jeszcze kilku. Nie będą mogli jednak uczestniczyć w walce, a zaczną pełnić służbę dopiero po wschodzie słońca. Nie chcę, by ktokolwiek został przyłapany podczas godziny policyjnej na ulicy i żadnemu nie pozwolę na noszenie broni.

— To dosyć uczciwe postawienie sprawy. — Halloran przyznał sam przed sobą, że właściwie nie oczekiwał niczego więcej. — Kennet?

MacDonald złożył palce dłoni.

— Nie zaryzykuję życia swoich ludzi, żeby po omacku przetrząsać całą południową część Cranach — powiedział cicho. — Ale jeśli pokażecie mi prawdopodobne miejsce, pomożemy wam je zaatakować. Wszystko jedno, czego Troftowie chcą od Jonny'ego, należy ich do tego zniechęcić.

— Zgoda. I dziękuję. — Halloran machnął ręką w stronę Amy. — No cóż, nie siedź tak beczynn timer. Wyciągnij z ukrycia te swoje dokładne mapy i zabierajmy się do pracy.

Jonny zaczekał, dopóki nie będzie mógł dłużej wytrzymać z pragnienia, a potem uwolnił się z uścisku czujników i podszedł do kranu umieszczonego w kącie celi. Nie dysponując pełnym zestawem chemikaliów, nie mógł być pewien, czy woda nie jest zanieczyszczona albo czy nie rozpuszczono w niej jakichś narkotyków, ale nie bardzo się tym martwił. Troftowie mieli wiele okazji do naszpikowania go chemią, a ewentualne bakterie z innych planet stanowiły w tej chwili najmniejszy problem.

Zaspokoił pragnienie, a potem — wykorzystując fakt, że i tak chodził — zrobił sobie wycieczkę dookoła celi. Była to mało urozmaicona wędrówka, ale dała mu sposobność dokładniejszego przyjrzenia się ścianom i stwierdzenia, ile zainstalowano w niej kamer i czujników. Jak wcześniej przypuszczał, ściany były nimi dosłownie naszpikowane.

Drzwi celi, oglądane z bliska, okazały się natomiast urządzeniem bardzo ciekawym. Jedna z pionowych krawędzi wskazywała, że zainstalowano tam zarówno zamek elektroniczny, jak konwencjonalny szyfrowy mechanizm bębnowy. Na drugiej krawędzi znajdowały się kusząco obnażone zawiasy, które Jonny zauważył już wcześniej. Wyglądało więc na to, że Troftowie dawali mu możliwość wyboru między

brutalnym a subtelnym sposobem opuszczenia celi. Każdy jednak dostarczyłby im bezcennych danych o jego wyposażeniu i możliwościach.

Jonny powrócił zatem do stołu, odsunął na brzeg szczątki przytrzymujących go przedtem czujników i znów się położył. Jego wewnętrzny zegar, którego nie miał czasu wyłączyć ani przestawić, kiedy był uwięziony, ujawnił mu teraz przynajmniej, ile czasu upłynęło. Okazało się, że był nieprzytomny przez trzy godziny, a od chwili, gdy ocknął się na stole, minęło następnych pięć. Oznaczało to, że za murami jego więzienia dochodziła teraz dziesiąta rano. Mieszkańcy Cranach zajęci byli pracą przy odbudowie swojego zniszczonego przez wojnę miasta, dzieci — włącznie z Danice Tolan — przebywały w szkołach, a członkowie podziemnego ruchu oporu...

Ruch oporu z pewnością pogodził się z jego śmiercią, pewnie nawet przestał go opłakiwać i zajął się swoimi sprawami. Pogodził się z jego śmiercią, a być może i ze śmiercią Cally'ego i Imela.

Przez długą, boleśnie długą minutę Jonny się zastanawiał, co mogło się stać z jego towarzyszami broni. Czy ostrzeżenie dotarło do nich w porę i czy mieli czas na zrezygnowanie z walki? A może pułapka Troftów miała tak gigantyczny zasięg, że udało im się i ich złapać? Może znajdowali się teraz w podobnych do tej celach i rozmyślali o takich samych sprawach, zastanawiając się, czy podjąć decyzję o ucieczce, czy czekać? Było także możliwe, że umieszczono ich tuż za ścianą, a wówczas strzał z przeciwpancerneho lasera wyrwałby w niej wielki otwór, przez który mogliby się porozumieć i uzgodnić szczegóły ucieczki całej trójki.

Potrząsnął głową, by uwolnić się od tak nieprawdopodobnych myśli. Znikąd nie było pomocy, więc równie dobrze mógł od razu spojrzeć tej prawdzie w oczy. Jeżeli Imel i Cally żyją, to nawet gdyby wiedzieli, gdzie go szukać, z pewnością mają tyle zdrowego rozsądku, by nie robić czegoś tak beznadziejnie głupiego, jak podejmowanie próby jego uwolnienia. A jeżeli nie żyją... no cóż, wszystko wskazywało na to, że wkrótce i Jonny podąży ich śladem.

Nieoczekiwanie w jego umyśle pojawiła się twarz Danice Tolan. Jonny pomyślał, że jeśli nie wydarzy się cud, wkrótce wojna zabierze go wszystkim, którym jest bliski.

Miał tylko nadzieję, że Danice będzie umiała pogodzić się z tą stratą.

Człowiek znajdował się w swojej celi od prawie siedmiu vfohr, a jeśli nie liczyć niedbałego wyrwania się z ledwo zaciśniętych opasek przed dwiema vfohrami, nie starał się ani razu użyć swojego implantowanego uzbrojenia przeciwko murom celi. Pocierając o siebie umieszczone w górnych częściach ramion podobne do skrzydeł membrany promiennika, komendant miasta wpatrywał się w szereg stojących przed nim monitorów i zastanawiał się, co powinien zrobić. Biolog, specjalista od spraw obcych istot zbliżył się i zatrzymał po jego lewej stronie, wydymając przepony gardłowe w geście oznaczającym służalczą uniżoność.

— Mów — zachęcił go komendant miasta.

— Zakończyliśmy właśnie szczegółowe sprawdzanie ostatnich danych — odezwał się tamten głosem lekko piskliwym z powodu wyjątkowo dużej zawartości azotu w miejscowej atmosferze. — Istota nie zdradza żadnych biochemicznych oznak, które mogłyby świadczyć o uleganiu stresowi czy jakimkolwiek odpowiednikowi naszego dziennego transu.

Komendant miasta machnął tylko raz membranami ramion na znak, że przyjął do wiadomości jego raport. Sprawy wyglądały więc tak, jak zdążył się już domyślić: więzień świadomie postanowił nie próbować ucieczki. Była to dziwaczna decyzja, nawet w przypadku istoty obcej... chyba że w jakiś niepojęty sposób zdołała odkryć, dlaczego pozostawili ją żywą i jakie mieli wobec niej dalsze plany.

Z punktu widzenia komendanta miasta obcy nie mógł wybrać gorszej chwili na demonstrację uporów, tak charakterystycznego dla całej jego rasy. Obowiązujące nadal rozkazy głosiły, że takich żołnierzy-koubry należało natychmiast likwidować. Rozkazy te można było co prawda dość łatwo obejść, ale cały czas i trud pójdzie na marne, jeżeli obca istota nie zademonstruje im swych możliwości, które zostałyby zarejestrowane przez ukryte czujniki.

Oznaczało to, że komendant miasta po raz kolejny musiał zrobić coś, czego tak bardzo nienawidził. Złączywszy mocno membrany ramion, sięgnął głęboko do zasobów swojej podświadomości, wszedł w kontakt z mnóstwem z trudem zebranych psychologicznych danych, jakie znajdowały się na pokładzie flagowego okrętu mistrza domeny... i z ogromnym trudem postarał się rozumować jak człowiek.

Wysiłek ten sprawił, że poczuł w ustach posmak podobny do smaku tlenku miedzi, ale kiedy bełkocąc coś niewyraźnie, wyłonił się ze swego transu, miał gotowy plan dalszego postępowania.

— Odłącz! — zawołał na oficera łącznikowego siedzącego w tej chwili za pulpitem bezpieczeństwa. — Jeden patrol, w pełnym wyposażeniu bojowym, wysłać natychmiast do Tunelu Pierwszego!

Oficer łącznikowy wydał przepony gardłowe na znak posłuszeństwa i pochylił się nad pulpitem. Komendant miasta natomiast, rozprostowując membrany — trans, z którego dopiero co wyszedł, pozostawił mu uczucie nieprzyjemnego ciepła — zaczął znów obserwować leżącego człowieka i zastanawiać się, jak najlepiej wprowadzić swój pomysł w życie.

W świecie za murami dochodziła pierwsza po południu, a Jonny po raz któryś z rzędu przypominał sobie wszystko, czego kiedykolwiek nauczono go o ucieczkach z więzień, kiedy nagły zgrzyt od strony drzwi sprawił, że zeskoczył ze stołu na podłogę. Przykucnął za stołem, wycelował w drzwi swoje lasery i patrzył, jak płyta uchyliła się najwyżej o metr i ktoś wskoczył do jego celi.

W mgnieniu oka nastawił na intruza celowniki laserów, ale zanim dał ognia, do jego świadomości dotarły dwa istotne fakty. Po pierwsze — ten ktoś, kto znalazł się tak nagle w celi, był człowiekiem, a po drugie — nie dostał się do środka o własnych siłach. Przeniósłszy wzrok na drzwi, ujrzał za nimi dwóch osłoniętych pancierzami Troftów zamykających właśnie ciężką stalową płytę. Głośny łoskot rozdarł panującą w celi ciszę niczym przeciągły huk gromu i w ten sposób szansa ucieczki została zaprzepaszczone. Jonny podniósł się bez pośpiechu, okrążył stół i podszedł do nowego mieszkania.

Zanim miał czas do niej dotrzeć, wstała, a potem pochyliła się i zaczęła rozcierać stłuczone kolano.

— Cholerne chrzanione pokurcze — mruknęła. — Nie mogli po prostu kazać mi wejść do środka?

— Nic ci nie jest? — zapytał Jonny, obdarzając ją szybkim spojrzeniem.

Była nieco niższa od niego, dość szczupła i może o siedem albo osiem lat starsza. Jej strój stanowił dziwaczną mieszanicę stylów, ale takie stroje w tych ciężkich czasach wojny widywało się bardzo często. Jonny nie dojrzał natomiast żadnych ran ani nawet śladów krwi na ubraniu.

— Nic a nic. — Wyprostowała się i szybko rozejrzała po celi. — Myślę jednak, że już wkrótce to się zmieni. A właściwie, co tu jest grane?

— Opowiedz mi, jak się tu znalazłaś.

— Sama chciałam to wiedzieć. Szłam sobie spokojnie ulicą Strassheima, pilnując własnego nosa, a tu zza rogu wyłonił się nagle patrol Troftów. Zapytali mnie, co tu robię, a ja nie wdając się w szczegóły powiedziałam, że mogą sobie iść do diabła. Bez żadnego powodu złapali mnie za ręce i zaciągnęli tutaj.

Kącik ust Jonny'ego drgnął w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. Mówiono mu kiedyś, że we wczesnym okresie okupacji można było obrzucić Troftów stekiem wyzwisk, ale jeśli się nie zdradziło ani mimiką, ani gestem, Troftowie nie mieli sposobu stwierdzenia, co się powiedziało. Teraz jednak poczynili w nauce angielskiego tak duże postępy, że trzeba było naprawdę kogoś obdarzonego bujną wyobraźnią, aby potrafił wymyślić przekleństwo, którego jeszcze nie słyszeli.

Strassheima. Pamiętał, że w Cranach istniała ulica o takiej nazwie. Znajdowała się w południowej części miasta, w której zlokalizowano wiele nieczynnych teraz fabryk przemysłu lekkiego.

— A co tam robiłaś? — zapytał kobietę Jonny. — Wydawało mi się, że tamte okolice należą teraz do najbardziej odludnej części miasta.

Obdarzyła go przeciągłym, taksującym spojrzeniem.

— Czy mam powtórzyć tę samą odpowiedź, jaką dałam Troftom? Jonny wzruszył ramionami.

— Nie trzeba. Właściwie nic mnie to nie obchodzi.

Odwrócił się do niej plecami, wskoczył z powrotem na stół i usiadł przodem do drzwi, krzyżując nogi na stole. Naprawdę nic go to nie obchodziło.

A poza tym zaczynał mieć niejasne przeczucie, że potrafi zrozumieć powody, dla których się tu znalazła... a jeśli jego domysły są słuszne, im mniej będzie z nią rozmawiał, tym lepiej. Nie było sensu poznawać lepiej kogoś, z kim i tak wkrótce będzie musiało się umrzeć.

Przez chwilę wyglądało na to, że i ona doszła mniej więcej do takich samych wniosków. Później z wahaniem dostrzegalnym w jej krokach obeszła stół i stanęła przed Jonnym.

— Hej... nie gniewaj się — powiedziała głosem, w którym wciąż dźwięczała uraza, chociaż już nie tak wyraźna jak przed chwilą. — Ja tylko... myślę, że zaczynam się bać, a w takich sytuacjach na ogół nie zwracam uwagi na to, co mówię. Byłam na Strassheima, bo chciałam się dostać do jednej z tych starych opuszczonych fabryk i zwędzić z niej trochę drukowanych płytek, scalaków i innych elektronicznych cacek. Teraz już w porządku?

Zacisnął wargi i popatrzył na nią, czując, że jego dopiero co podjęta decyzja zaczyna powoli się zmieniać.

— W ciągu ostatnich trzech lat wyczyszczono te fabryki ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość — stwierdził.

— Robili to ludzie, którzy nie mieli pojęcia, gdzie się co znajduje — odparła. — Wciąż jest tam wiele wartościowych rzeczy, trzeba tylko wiedzieć, gdzie i jak szukać.

— Należysz do ruchu oporu? — zapytał Jonny i natychmiast ugryzł się w język, pragnąc odwołać wypowiedziane bez zastanowienia słowa.

W pomieszczeniu tak naszpikowanym urządzeniami podsłuchowymi odpowiedź mogła pozbawić ją tej odrobiny wolności, jaką jeszcze miała.

Ona jednak tylko prychnęła.

— Zwariowałeś? — odparła. — Jestem walczącym o przeżycie rabusiem, a nie samobójczynią-lunaticzką. — Nagle jej oczy się rozszerzyły. — Hej, ty chyba nie jesteś... czekaj, oni chyba nie sądzą, że ja... o, rany, ale wpadłam. Coś im zrobił, wpadłeś do Starego Tylera z granatem w jednej i laserem w drugiej dłoni?

— Starego Tylera? — zapytał Jonny, czepiając się jedynej zrozumiałej dla niego części jej nieco chaotycznego monologu. — Kim albo czym jest Stary Tyler?

— Znajdujemy się teraz w jego rezydencji. — Zmarszczyła brwi. — Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie wiedziałeś?

— Byłem nieprzytomny, kiedy mnie tu transportowano. Co to ma znaczyć, że tylko ci się tak wydaje?

— Właściwie zabrano mnie do opuszczonego budynku sąsiadującego z rezydencją, a stamtąd podziemnym tunelem tutaj. Udało mi się jednak wyrzeć przez uchylone okno, kiedy byliśmy już w głównym budynku, i wówczas po fasadzie rozpoznałam rezydencję Tylera. A zresztą, nawet gdyby nie było tych wszystkich

kosztownych mebli, to i tak można poznać, że pokoje na górze zaprojektowano z myślą o kimś, kto musiał mieć mnóstwo forsy.

Rezydencja Tylera. Jonny pamiętał tę nazwę z wykładów z miejscowej historii i geografii, jakie prowadziła z nimi Ama Nunki. Przypominał sobie, że był to duży dom wzniesiony na południe od miasta w pseudoreginińskim stylu dla właściciela-milionera w czasach, kiedy w okolicy nie było jeszcze tylu zakładów przemysłowych i fabryk. Ama nie potrafiła powiedzieć, gdzie znajdował się w tej chwili zawsze unikający ludzi posiadacz, ale powszechnie uważano, że zaszył się gdzieś na terenie posiadłości, licząc na to, że urządzenia alarmowe i systemy obronne odstraszą zarówno rabusiów, jak Troftów. Jonny dobrze pamiętał przychodzącą mu do głowy w czasie tych wykładów myśl, że Troftowie muszą być wyjątkowo hojni, skoro pozostawili rezydencję w nie zmienionym stanie. Zastanawiał się nawet, czy przypadkiem nie zawarli z jej właścicielem jakiejś cichej umowy. Teraz zaczynało wyglądać na to, że zapewne miał jednak rację... choć umowa, jaką być może zawarto, nie była tak jednostronna, jak sądził.

Bardziej interesujące od najnowszej historii rezydencji Tylera były możliwości, jakie otwierały się dzięki samemu faktowi przebywania w tak dużym domu. W przeciwieństwie do fabryki, rezydencja milionera powinna mieć przecież jakieś awaryjne wyjście. Gdyby mógł je odnaleźć, być może potrafiłby uniknąć pułapek, jakie z pewnością zastawili na niego Troftowie.

— Powiedziałaś, że prowadzili cię przez tunel — odezwał się do kobiety. — Czy wyglądał na nowy albo pospiesznie wykopany? Czy mógł być wykonany w ciągu ostatnich trzech lat przez Troftów?

Nie odpowiedziała, a w jej oczach zapaliły się złe błyski.

— Kim ty, do diabła, naprawdę jesteś, jeśli nigdy nie słyszałeś o Starym Tylerze? — zapytała. — Pisano o nim przecież więcej niż o jakimkolwiek innym, liczącym się na Adirondack, ważniaku... Nie mogą tego nie wiedzieć nawet samobójcy-lunacy. A przynajmniej nie ci, którzy dorastali w Cranach.

Jonny westchnął i pomyślał, że miała prawo wiedzieć coś więcej o człowieku, od którego być może już wkrótce będzie zależało jej życie. W dodatku mówiąc jej to, i tak nie zdradzał ukrytym urządzeniom podsłuchowym niczego, o czym Troftowie wcześniej by nie wiedzieli.

— Masz rację — powiedział. — Dorastałem daleko od Cranach. Jestem Kobrą.

Jej oczy rozszerzyły się na krótką chwilę, ale potem zwęziły, kiedy obejrzała go sobie od stóp go głów.

— Kobrą, tak? Nie wyglądasz mi na takiego.

— Bo nie powinienem — wyjaśnił cierpliwie Jonny. — Tajni żołnierze sił podziemia... pamiętasz?

— Och, jasne. Ale w swoim życiu widziałam już wielu mężczyzn udających Kobry tylko po to, aby wyrzucić wrażenie czy grozić innym ludziom.

— Chcesz dowodu?

I tak szukał tylko pretekstu, aby to zrobić. Zeskoczył ze stołu i cofnął się o dwa kroki pod tylną ścianę celi, a potem wyciągnął prawą rękę. Gniazdo podejrzanie wyglądających czujników znajdowało się teraz na przeciwległej ścianie nieco poniżej poziomu jego wzroku. Jonny wycelował laser, odwrócił głowę i spojrzał na kobietę.

— Uważaj — ostrzegł i uruchomił miotacz energii.

Bystre oko mogło zauważyć, że blask, jaki w ułamek sekundy później rozjaśnił całą celę, składał się właściwie z dwóch błysków: nitki światła lasera, która wypaliła w powietrzu zjonizowaną ścieżkę, i wysokoamperowego wyładowania, które przeskoczyło tą ścieżką do samej ściany. Jednak największe wrażenie wywarł towarzyszący tym błyskom głośny huk, który w metalowych ścianach celi rozbrzmiewał przez dobrych kilka sekund. Kobieta odskoczyła o metr do tyłu i mruknęła pod nosem coś, czego Jonny nie usłyszał z powodu zamierającego grzmotu.

— Zadowolona? — zapytał ją, kiedy w celi ponownie zapanowała cisza.

Spoglądając na niego oczami rozszerzonymi przerażeniem, kiwnęła tylko szybko głową.

— O tak — powiedziała. — Jasne. Co to, na wszystkie moce niebios, było?

— Miotacz energii elektrycznej. Zaprojektowany z myślą o niszczeniu urządzeń elektronicznych. Na ogół funkcjonuje niezawodnie.

Prawdę mówiąc, zadziałał tak i w tej chwili. Jonny nie sądził, aby musiał się o to gniazdo czujników kiedykolwiek martwić.

— Nie wątpię. — Odetchnęła głęboko, a ta czynność widocznie sprawiła, że jej umysł zaczął znów dobrze funkcjonować. — Dlaczego więc do tej pory się stąd nie wydostałeś?

Przez długą chwilę patrzył na nią, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Jeżeli Troftowie zorientowali się, że przeniknął ich plany... z pewnością musieli już to wiedzieć; świadczyła o tym jej obecność w jego celi. Czy miał wobec tego powiedzieć całą prawdę — że Troftowie zmuszali go do wyboru między zdradzeniem swych towarzyszy broni a uratowaniem jej życia?

Wybrał tymczasowe, chociaż prowizoryczne rozwiązanie i postanowił zmienić temat.

— Miałaś powiedzieć mi o tym tunelu — przypomniał.

— Aha. Dobra. Nie, tunel wyglądał tak, jakby wykopano go wcześniej niż przed trzema laty. Widziałam w nim miejsca, z których usunięto drzwi i całe strzegące dostępu systemy obronne.

Innymi słowy, wyglądało to na zaplanowaną przez Tylera drogę ucieczki z rezydencji. Tunel jednak był teraz opanowany przez Troftów...

— Dobrze strzeżony? — zapytał.

— Było ich tam co niemiara. Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Słuchaj, ty chyba nie zamierzasz tamtędy uciekać, prawda?

— A co, jeżeli zamierzam?

— To byłoby samobójstwo... a ponieważ mam zamiar uciekać razem z tobą, również mnie narazisz na niebezpieczeństwo.

Zmarszczył brwi, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, że być może bardziej zdawała sobie sprawę z tego, o co w tym wszystkim chodzi, niż początkowo podejrzewał. Na swój własny, niezbyt subtelny sposób dawała mu do zrozumienia, że nie musi się o nią troszczyć, kiedy postanowi uciekać. To znaczy, że nie musi czuć się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo.

To wszystko nie jest takie proste — pomyślał z goryczą. Czy zrozumiałaby, że gdyby postanowił pozostać bezczynnie w celi, tym samym wydałby na nią wyrok śmierci?

A może takie rozwiązanie nie mogło być już brane pod uwagę? Zdał sobie sprawę, że mimo wcześniejszego postanowienia nie powinien dłużej traktować jej jako jeszcze jednej anonimowej ofiary wojny. Rozmawiał z nią przecież, widział, jak jej twarz zmienia wyraz, a nawet próbował rozumować jak ona. Bez względu zatem na to, ile miałyby go to kosztować — życie czy ujawnienie danych — wiedział teraz, że wcześniej czy później będzie musiał pomyśleć o ucieczce. Ryzyko podjęte przez Troftów miało w końcu przynieść pożądane skutki.

Mógłbyś być ze mnie dumny, Jame, gdybyś się kiedykolwiek o tym dowiedział — pomyślał adresując to stwierdzenie w stronę odległych światów. — Moja horizońska etyka przetrwała nienaruszona i wojnę, i naszą bezsensowną rycerskość.

Z drugiej jednakże strony... siedział w tej chwili zamknięty w celi razem z zawodową włamywaczką w budynku, który kiedyś musiał być najbardziej zachęcającym obiektem, jaki istniał w Cranach. Całkiem możliwe, że w dążeniu do zawieszenia mu na szyi takiego kamienia młyńskiego Troftowie przechytrzyli samych siebie.

— Nazywam się Jonny Moreau — powiedział. — A ty?

— Ilona Linder.

Skinął głową, dobrze wiedząc, że z chwilą wymiany nazwisk nie wolno mu było się wycofać.

— No, cóż, Ilono, jeśli sądzisz, że tunel nie nadaje się do ucieczki, zobaczymy, czy nie znajdzie się coś lepszego. Dlaczego więc nie miałabyś zacząć od opowiedzenia mi tego wszystkiego, co wiesz na temat rezydencji Tylera?

— To beznadziejne — westchnął Cally Halloran, spoglądając na wielkowiejski krajobraz ze swojego punktu obserwacyjnego w oknie na siódmym piętrze. — Możemy przeszukiwać opuszczone domy całymi dniami i nie znajdziemy niczego, co przybliżyłoby nas do celu.

— Jeśli nie chcesz, w każdej chwili możesz dać sobie spokój — usłyszał łątwą do przewidzenia odpowiedź Deutscha, który siedząc na podłodze, studiował przedwojenną mapę południowych rejonów miasta.

— Aha. Dopóki nie przestaniesz być nam tak wdzięczny za wszystko, co robimy, aby ci pomóc, to myślę, że jeszcze trochę się pokręcę.

Tym razem Deutsch głęboko westchnął.

— No, dobrze, już dobrze. Jeżeli cię to uspokoi, jestem gotów przyznać, że w czasie rozmowy z Borgiem być może posunąłem się za daleko. Zgoda? Czy teraz już możesz darować sobie te docinki?

— Mogę je sobie darować w każdej chwili. Ale wcześniej czy później musisz sobie uświadomić, jak twoje zachowanie oddziałuje na ludzi, nie mówiąc już o tym, jak oddziałuje na ciebie.

Deutsch zachnął się.

— Chodzi ci o to, że podkopuje ich morale, podczas gdy ja narzucam sobie dyscyplinę i stawiam nieosiągalne cele?

— No, teraz, kiedy już o tym wspomniałeś...

— Nie wymagam od siebie więcej, niż jestem w stanie znieść, a ty wiesz o tym bardzo dobrze. A jeśli chodzi o ludzi podziemia...

Wzruszył ramionami, a ten ruch przeniósł się na trzymaną w rękach mapę.

— Ty chyba nie rozumiesz, Cally, w jakiej sytuacji znajduje się Adirondack. Jesteśmy światem z pogranicza, pogardzanym przez wszystkie inne należące do Dominium światy... a mam wszelkie podstawy sądzić, że również przez Troftów. Musimy więc udowodnić, że nie jesteśmy najgorsi, a jedynym sposobem, aby ten cel osiągnąć, jest wyrzucenie stąd najeźdźcy.

— Tak, słyszałem już tę teorię, która tak bardzo ci odpowiada — rzekł Halloran i kiwnął głową. — Pytanie tylko, czy ludzie właśnie to osiągnięcie zapamiętają sobie jako najważniejsze.

Deutsch po raz drugi parsknął.

— A o co innego może chodzić w wojnie? — zapytał.

— Przede wszystkim o ducha. Na Adirondack panuje przecież wspaniały duch walki. Uniósł dłoń i mówiąc zaginał kolejne palce.

— Po pierwsze: jak planeta długa i szeroka, nie znajdziesz na niej ani jednego rządu naprawdę kolaborującego z okupantem. Ten fakt zmusza Troftów do angażowania olbrzymich rzesz żołnierzy do zadań administracyjnych i porządkowych, które woleliby raczej pozostawić tubylcom. Po drugie: te władze lokalne, które udało im się zmusić do posłuszeństwa, starają się jak mogą przysparzać im jak najwięcej zmartwień. Pamiętasz, co się działo, kiedy Troftowie usiłowali skłonić mieszkańców Cranach i Dannimor do pracy przy naprawie tamtego uszkodzonego mostu? Deutsch niemal bezwiednie się uśmiechnął.

— Liczne sprzeczne ze sobą polecenia, urzędnicy, które nie mogły współpracować z sobą, wybrakowane materiały i tak dalej. Naprawa mostu zajęła im dwa razy więcej czasu, niż gdyby przeprowadzili ją sami.

— Pamiętaj, że każdy człowiek odpowiedzialny za taki stan ryzykował życie, a nikt się nie poddał — przypomniał mu Halloran. — I takie właśnie rzeczy robią zwykli, nie biorący udziału w walkach obywatele tego świata. Nie wspominam nawet o poświęceniach, do jakich jest gotów ruch oporu. Dowiódł tego w ciągu ostatnich trzech lat mnóstwo razy. Może nie masz o swoim świecie wysokiego mniemania, ale mówię ci, że ja byłbym dumny jak paw, gdyby mieszkańcy Aerie zachowywali się w takich warunkach chociaż w połowie tak odważnie.

Deutsch zacisnął usta i wbił wzrok w spoczywającą na jego kolanach złożoną teraz mapę.

— No, dobrze — powiedział w końcu. — Przyznaję, że może radzimy sobie całkiem nieźle. Ale w tej grze nie liczą się dobre chęci czy możliwości. Jeśli przegramy, nikogo nie będzie obchodziło, czy daliśmy z siebie wszystko, czy też byliśmy całkowicie bierni, ponieważ i tak nikt nie będzie o nas pamiętał. Kropka. Do ksiąg historii dostają się tylko zwycięzcy.

— Może tak, a może nie — odparł Halloran i pokręcił głową. — Czy słyszałeś kiedyś o Masadzie?

— Nie sędzę. Co to było, miejsce jakiejś bitwy?

— Oblężenia. Działo się to na Ziemi w pierwszym wieku. Imperium rzymskie podbiło wówczas jakieś państwo... wydaje mi się, że teraz nazywa się ono Izrael. Grupa miejscowych obrońców... nie jestem nawet pewien, czy był to oddział regularnego wojska, czy tylko partyzantki, schroniła się na szczycie płaskowzgórza zwanego Masadą. Rzymianie okrążyli tamto miejsce i przez ponad rok starali się je zdobyć.

Deutsch wpatrywał się z uporem w jego oczy.

— I zdobyli? — zapytał.

— Tak. Ale przedtem obrońcy złożyli przysięgę, że nie dadzą się wziąć żywcem... Tak więc kiedy Rzymianie wkroczyli do obozu, zastali w nim tylko martwe ciała. Obrońcy wybrali śmierć, a nie niewolę.

Deutsch przesunął językiem po wargach.

— Gdybym ja był na ich miejscu, postarałbym się, aby moja śmierć pociągnęła za sobą zagładę co najmniej kilku Rzymian — powiedział.

Halloran wzruszył ramionami.

— I ja także. Ale nie o to tutaj chodzi. Przegrali, ale nie zostali zwyciężeni. Mam nadzieję, że dostrzegasz tę różnicę. I chociaż Rzymianie wygrali w końcu wojnę, pamięć o Masadzie nigdy nie zginęła.

— Mhm.

Deutsch przez chwilę spoglądał przed siebie nie widzącym wzrokiem, a potem ponownie rozłożył mapę.

— No cóż, mimo wszystko wolałbym z lepszym skutkiem zakończyć naszą misję — odezwał się z ożywieniem. — Czy widzisz coś szczególnie obiecującego, co mogłoby być naszym następnym celem?

Halloran odwrócił się i wyjrzał znów przez okno, zastanawiając się, czy jego podtrzymująca na duchu opowieść odniosła zamierzony skutek.

— Kilka niewątpliwie zniszczonych przez wojnę budynków w południowo-zachodniej części miasta, które mogłyby się nadawać na zamaskowany posterunek czy ukryte wejście do jakiegoś tunelu — odparł. — A za nimi prawdziwą dżunglę otoczoną ochronnym murem.

— Rezydencja Tylera — kiwnął głową Deutsch, zaznaczając jakiś punkt na swojej mapie. — Były tam kiedyś wspaniałe ogrody i sady, otaczające przed wojną całą posiadłość. Widocznie wszyscy ogrodnicy Tylera uciekli dawno temu.

— W całym tym gąszczu bez przesady można by ukryć dywizję pancerną. Czy słyszałeś, że Troftowie tam się dostali?

— Myślę, że tak, chociaż trudno mi sobie wyobrazić, aby przedtem nie musieli stoczyć regularnej bitwy. Po pierwsze: ten mur nie znalazł się tam dla ozdoby. Po drugie: Tyler musiał mieć w zanadru coś poważniejszego. Na dodatek nikt nigdy nie widział, żeby Troftowie wchodzili tam czy stamtąd wychodzili.

— To mi przypomina, że zanim cokolwiek postanowimy, musimy znaleźć bezpieczny telefon i skontaktować się z ruchem oporu. Upewnij się także, czy wywiadowcy nie mają jakichś nowych informacji na temat wzmożonej aktywności Troftów.

— Jeżeli niczego nie zauważyli w ciągu ostatnich czterech miesięcy, to nie sądzę, żeby mieli to zrobić teraz — odparł Deutsch. — Ale dobrze, będziemy posłusznymi chłopcami i zameldujemy im, co zamierzamy zrobić. A potem pójdziemy obejrzeć sobie te zniszczone domy.

— Dobra — zgodził się Halloran.

Przynajmniej masz teraz do roboty coś więcej — pomyślał — oprócz patrzenia na sprawę wyłącznie w kategoriach klęski albo zwycięstwa. Może na razie to wystarczy.

Kiedy jednak schodzili mroczną klatką schodową na ulicę, przyszło mu nagle na myśl, że w obecnym stanie ducha Deutscha opowiadanie historii o poświęcaniu życia być może nie było najrozsądniejsze.

Okazało się, że Ilona jest chodzącym bankiem informacji na temat rezydencji Tylera.

Wiedziała, jak wygląda na zewnątrz, znała przedwojenne usytuowanie największych ogrodów, a także wymiary i przybliżone rozmieszczenie pokoi. Potrafiła

naszkicować ułożenie kamieni w zewnętrznej elewacji pięciometrowego muru, a także określić jego grubość i długość. Miała również pojęcie o ogólnej powierzchni zajmowanej nie tylko przez budynki, ale i przez całą rezydencję. Wywarło to na Jonnym olbrzymie wrażenie, dopóki nie przyszło mu do głowy, że wszystkie te informacje pochodziły zapewne z brukowych, wścibskich tygodników, które w takiej czy innej postaci spotykało się niemal na wszystkich światach Dominium Ludzi. Podejrzane było jednak, że w jej opowiadaniu zabrakło takich szczegółów, które zarówno Jonny, jak każdy przedsiębiorczy włamywacz uznawał za bardzo ważne: systemów obronnych i alarmowych, zastosowanych urządzeń, punktów ich rozmieszczenia i tak dalej. Z żalem uświadomił sobie, że Ilona musiała należeć do grupy wielbicielek nimbu tajemniczości Tylera, o której istnieniu przelotnie mu wspominała.

Niemniej jednak teraz, kiedy znał wygląd i rozmiary rezydencji, choć uzyskał te dane niejako z drugiej ręki, mógł się zorientować, gdzie i w jaki sposób Tyler umieścił urządzenia obronne swojej posiadłości.

Obraz, jaki ułożył się w jego głowie, nie zaliczał się do najprzyjemniejszych.

— Główna brama wygląda mniej więcej tak — powiedziała Ilona, rysując palcem po stole niewidoczne linie. — Chroniona jest przez zamek elektroniczny i wykonana z dwudziestocentymetrowej grubości stopu kirelium i stali. Z tego samego materiału zrobiona została cała wewnętrzna warstwa muru.

Przez chwilę Jonny usiłował w myślach obliczyć, ile czasu jego przeciwpancernemu laserowi zajęłoby wypalenie otworu w tak grubej warstwie stopu kirelium i stali. Wypadło mu, że byłby to czas rzędu kilku godzin.

— Czy zewnętrzna płyta bramy jest także wykładana kamieniami? — zapytał.

— Sama płyta bramy nie, tylko w kątach po jej obu stronach znajdują się kamienne płaskorzeźby. Mniej więcej tutaj i tutaj — pokazała.

Z pewnością gniazda czujników, a być może także urządzenia obronne. Skierowane na zewnątrz i do wewnątrz? Jonny nie zdołał się tego dowiedzieć, ale i tak wobec dwudziestocentymetrowej warstwy kirelium blokującej przejście nie miało to większego znaczenia.

— No, tak, wobec tego pozostaje tylko mur — westchnął. — Co tam mamy na jego szczycie?

— O ile mi wiadomo, nic. Jonny zmarszczył brwi.

— Muszą tam być jakieś urządzenia obronne, Ilono. Pięciometrowej wysokości mury przestały odstraszać intruzów mniej więcej od czasów, kiedy ludzie wymyślili drabiny. Hm... a co może znajdować się na rogach? Czy są tam może jakieś wystające płaskorzeźby?

— Żadnych. — Powiedziała to bardzo stanowczo. — Nic oprócz gładkiego muru ciągnącego się wokół całej rezydencji.

Co oznaczało, że wzdłuż wierzchołka nie biegł żaden strumień światła czy to z fotokomórki, czy z lasera. Czyżby Tyler zostawił tak oczywistą lukę w systemach obronnych swej posiadłości? Rzecz jasna, ktokolwiek pokonałby mur, zostałyby namierzony przez lasery zainstalowane w domu, ale takie rozwiązanie nie było niezawodne. Urządzenie mogło zostać bardzo łatwo unieszkodliwione za pomocą wysokoczęstotliwościowych elektronicznych urządzeń zagłuszających. Gdyby zaś nawet działało prawidłowo, duża część energii mogła być tracona na cele inne niż zamierzone. Takie rozwiązanie byłoby zawodne i niebezpieczne. Nie, Tyler musiał pomyśleć o czymś innym. Tylko o czym?

I nagle Jonny przypomniał sobie dwa pozornie nie związane ze sobą fakty. Tyler zbudował swoją rezydencję w stylu reginińskim, a zmarły przyjaciel Jonny'ego, Parr Noffke, pochodził przecież z tamtego świata. Czy kiedyś nie powiedział czegoś takiego, co mogłoby teraz posłużyć mu za wskazówkę?

Powiedział. W tym dniu, w którym rekruci mieli przejść swoją pierwszą, niezbyt jeszcze poważną próbę, a w którym później Jonny usiłował uderzyć w twarz Rolona Vilja, Noffke powiedział coś takiego: "U nas kieruje się lasery obronne w górę, a nie wzdłuż zwieńczenia muru".

I wszystko nagle stało się zrozumiałe. Zrozumiałe, ale i przerażające. Zamiast czterech laserów strzelających poziomo wzdłuż krawędzi muru, Tyler zainstalował dosłownie setki takich urządzeń rozmieszczonych tuż obok wewnętrznej części muru i działających podobnie jak pnie w pradawnej palisadzie. Była to zaporą niesamowicie kosztowna, ale chroniła zarówno przed intruzami wyposażonymi w liny z kotwicami, jak i przed pociskami czy latającymi nisko rakietami. Szybka, prosta w działaniu i absolutnie niezawodna.

I bez wątpienia stanowiąca śmiertelną pułapkę zastawioną na niego przez Troftów.

Jonny przełknął ślinę, czując na języku gorycz. To było to, czego pragnął: możliwość poznania sposobu, w jaki obce istoty zamierzały go w końcu zabić... a teraz, kiedy już to wiedział, cały plan jego ucieczki wyglądał bardziej ponuro niż kiedykolwiek. Dopóki nie wymyśli sposobu dobrania się do urządzeń sterujących pracą tej laserowej palisady, nie ma sposobu, aby podczas przeskakiwania muru on i Ilona nie zostali śmiertelnie poparzeni.

Zdał sobie nagle sprawę z tego, że Ilona obserwuje go cierpliwie, ale i z napięciem, wyraźnie widocznym na jej twarzy.

— No, i co? Są jakieś szanse na przejście przez tę bramę? — zapytała.

— Nie sądzę — rzekł Jonny i potrząsnął głową. — Myślę jednak, że nie będziemy musieli. Przez mur powinno pójść nam znacznie łatwiej.

— Przez mur? Masz zamiar wspinać się na pionową, pięciometrową ścianę?

— Nie wspinać. Mam zamiar ją przeskoczyć. Sądzę, że uda mi się dokonać tego bez trudu.

Prawdę mówiąc, wysokość muru była najmniej ważną sprawą, jaką zaprzętała sobie w tej chwili głowę, ale nie było powodu ujawniania tego nikomu, kto by go podsłuchiwał.

— A co z systemami obronnymi, o których mi mówiłeś, że mogą się tam znajdować?

— Z nimi też nie powinno być problemów — skłamał Jonny, po raz drugi myśląc o słuchających go Troftach. Z drugiej strony nie mógł sprawiać wrażenia zbyt naiwnego, gdyż wówczas mogłoby to wzbudzić ich podejrzenia. — Sądzę, że Tyler kazał wbudować lasery w rozmieszczone na rogach obrotowe wieże. Dysponując kamienną elewacją, miał miejsce na zamaskowanie czujników i nie musiał się martwić, jak będą funkcjonowały, gdyby ktoś zaczął przechodzić górą. Nie spotkałem się wprawdzie na Adirondack z tego rodzaju systemem obronnym, ale to rozwiązanie jest logicznym następstwem klasycznego sposobu rozmieszczania laserów... zwłaszcza w przypadku kogoś tak obdarzonego zmysłem estetycznym jak Tyler. Szczerze mówiąc, o wiele bardziej martwi mnie to, w jaki sposób dostać się do samego muru. Chciałbym, żebyś jeszcze raz bardzo dokładnie opisała mi drogę, jaką przyprawdzili cię tu Troftowie.

Ilona skinęła głową i kiedy zaczęła opisywać kolejne pokoje, korytarze, klatki schodowe i przejścia, Jonny zrozumiał, że zaakceptowała jego plan uwolnienia się spod opieki Troftów. Gdyby jeszcze tak on sam mógł być pewien, że Troftowie pozwolą mu bez przeszkód przedostać się do miejsca, w którym przygotowali swoją ostateczną pułapkę...

A także, gdyby umiał wymyślić sposób jej uniknięcia.

Na jego wewnętrznym zegarze była prawie dziesiąta wieczorem, a więc zbliżała się pora ucieczki.

Jonny nie mógł się zdecydować, czy na przeprowadzenie tego przedsięwzięcia wybrać popołudnie, czy raczej późny wieczór. Wiedział, że w tym pierwszym przypadku na ulicach za murami rezydencji Tylera może znajdować się dużo ludzi. Gdyby udało się uciec, łatwiej byłoby wówczas zgubić się w tłumie; gdyby nie — wielu ludzi stałoby się świadkami ich śmierci, a przy tej okazji i znaczenia, jakie odgrywała rezydencja w planach Troftów. Ukrywanie się w tłumie nie miałoby jednak sensu, gdyby najeźdźcy, chcąc ich pochwytać, zdecydowali się na masakrę niewinnych mieszkańców. Z drugiej strony, gdyby Jonny i Ilona zamierzali zbiec w nocy, Troftowie musieliby stosować w swoich systemach celowniczych radary, noktowizory czy wzmacniacze światła, a to mogłoby pogorszyć skuteczność ich celowania.

Te argumenty przedstawił Ilonie. Dodatkowy powód — że Troftowie mogą w ogóle nie pozwolić im dobiec do muru, jeśli ucieczka miałaby się odbyć w świetle dnia, zachował tylko dla siebie.

Leżał teraz na stole na wznak, z rękami założonymi pod głowę. Ilona siedziała obok z kolanami podciągniętymi pod brodę i sprawiała wrażenie uspięnej lub zamyślanej. Zgodnie z tym, co powiedział jej Jonny, do chwili ucieczki zostało pół godziny. Nie mógł być pewien, czy tak prosta sztuczka wywiedzie Troftów w pole, ale uznał, że nie szkodzi spróbować.

Głęboko odetchnawszy, uruchomił swoją dookólną broń soniczną.

Uczuł w żołądku mrowienie czy coś podobnego do lekkiego drżenia, jak gdyby jego implantowane głośniki emitowały częstotliwość bliską naturalnej częstotliwości rezonansowej jego ciała. Wytężając słuch, mógł niemal usłyszeć zmianę natężenia ultradźwiękowych sygnałów przedzierających się przez ściany i wpadających w rezonans z podatnymi na ich wpływ miniaturowymi urządzeniami audiowizualnymi Troftów...

Emitowany przez niego sygnał powinien okazać całą siłę mniej więcej za minutę, ale Jonny nie miał zamiaru ostrzegać Troftów aż tak długo. Nie musiał przecież niszczyć tych czujników, ale unieszkodliwić tyle tych urządzeń, ile zdoła, zanim rozpocznie właściwą akcję. Odczekał więc tylko pięć sekund, a kiedy Ilona ocknęła się z zamyślenia i zaczęła się niespokojnie rozglądać, uniósł lekko lewą stopę i wystrzelił.

Górny zawias drzwi dosłownie eksplodował, a ogniste kawałki i krople metalu rozbryznęły się na wszystkie strony. Ilona krzyknęła i podskoczyła, przerażona, a Jonny ześlizgnął się ze stołu, aby móc wycelować nogą w dolny zawias, i ponownie uruchomił laser przeciwpancerny. Ten strzał nie trafił w dolną część drzwi tak precyzyjnie jak poprzedni w górną, toteż dolny zawias nie rozleciał się w trakcie wybuchu. Jonny musiał dać ognia jeszcze trzykrotnie i wspomóc go ogniem laserów z małych palców, zanim po kilku sekundach ta przeszkoda także ustąpiła. Uchwyciwszy się krawędzi stołu, Jonny odepchnął się od niego z całej siły i stopami niczym taranem uderzył w drzwi w pobliżu zniszczonych zawiasów. Drzwi zatrzęszczały od tego ciosu, ale odchyliły się tylko o jeden czy dwa centymetry. Odzyskał równowagę i spróbował ponownie, i tym razem odpychając się rękami od stołu, kiedy go mijał w locie. Mebel się nie poruszył, za to drzwi ustąpiły. Ze zgrzytem rozdieranego metalu wyskoczyły z futryny i zawisły pod dziwnym kątem, trzymane jedynie przez mechanizm nie uszkodzonego zamka.

— Powiedziałeś, że o pół do jedenastej — burknęła Ilona. Kiedy Jonny odzyskiwał równowagę, stanęła przy drzwiach i wyjrzała na zewnątrz.

— Zacząłem się niecierpliwić — odparł Jonny, podchodząc do niej. — Wygląda, że wszystko w porządku. Chodźmy.

Przeszedłszy przez zniszczone drzwi, znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu. Jonny nastawił wzmacniacz wzroku na maksimum i szybko obejrzał podłogę i ściany sprawdzając, czy nie umieszczono w nich jakiejś aparatury. Niczego nie dostrzegł, ujął więc Ilonę za rękę i przynaglił do biegu.

Nie zdążyli dotrzeć do końca korytarza, kiedy zauważył na ścianie nieco jaśniejsze miejsce, świadczące o tym, że zainstalowano w nim ukryty czujnik fotoelektryczny.

— Uważaj, fotokomórka! — krzyknął i zwolnił, aby Ilona mogła się z nim zrównać.

Wskazywanie urządzenia byłoby tylko stratą czasu; Jonny schwycił ją więc pod pachy, uniósł i przerzucił ponad niewidzialnym promieniem światła, a w chwilę później sam przeskoczył. Zbyt łatwo — pomyślał niespokojnie. — Stanowczo zbyt łatwo. Był pewien, że Troftowie chcą, żeby przeszedł ich najeżoną niebezpieczeństwami ścieżkę żywy, bo napotkane pułapki okazywały się wręcz śmiesznie proste.

Na samym końcu korytarza przestały być tak śmiesznie proste.

Jonny zwolnił w pobliżu przejścia do dużego pokoju, bo już wiedział, że ani zatrzymanie się, ani przyspieszenie biegu nie przydałoby mu się w tej chwili na nic. Blokując dalszą drogę, rozstawione po obu stronach przejścia, stały przed nim łukiem dwa oddziały ubranych w pancerze i uzbrojonych po zęby Troftów.

Cofnięcie się do korytarza byłoby rozwiązaniem wyłącznie tymczasowym. Odsunawszy więc Ilonę do tyłu, Jonny ugiął nogi w kolanach i skoczył.

Sufit w dużym pokoju nie był tak wytrzymały jak tamten w sali C — 662 w Kompleksie Freyra, gdzie Bai zademonstrował tę sztuczkę po raz pierwszy. Okazał się jednak wystarczająco odporny i Jonny znalazł się na podłodze w towarzystwie zaledwie kilku strzaskanych płytek sufitowych i kurzu. Po wylądowaniu kucnął... a kiedy celowniki broni laserowej Troftów zaczęły się kierować na niego, upadł na plecy i zaczął się obracać.

Z nie znanych, ale uświęconych historią przyczyn Bai nazywał ten manewr "przełomem", ale rekruci w rozmowach między sobą określali go zawsze mianem "wirującego bąka". Jonny zwinięty w pozycji podobnej do płodowej, z kolanami podciągniętymi niemal pod samą brodę, uruchomił przeciwpancerne laser i omiół ogniem pierwszą linię żołnierzy, kosząc ich niczym łan dojrzałego zboża. Tylko trzech z kilkunastu przeżyło tę pierwszą salwę, ale i oni zginęli podczas drugiego obrotu jego ciała.

Zanim przebrzmiał metaliczny dźwięk upadających opancerzonych ciał Troftów, Jonny zerwał się z podłogi, ale nim wstał, rozejrzał się po pokoju.

— Ilona! — odezwał się teatralnym szeptem. — Droga wolna!

Wyjrzał na korytarz i zobaczył, że odsunęła się od ściany i pospieszyła w jego stronę.

— Wielki Boże! — krzyknęła, przerażona. — Czy to wszystko twoja robota?

— Wszystko, ale mnie nic się nie stało.

Co samo w sobie było wystarczającym dowodem, że prawidłowo ocenił zamiary Troftów. Powinien był w trakcie walki odnieść choć drobne otarcia lub oparzenia.

— Tamte drzwi? — zapytał.

— Tak, pamiętam, że prowadzą na klatkę schodową.

— Dobrze.

Podobnie jak w korytarzu, na klatce nie przygotowano właściwie żadnych zasadzek. Jonny doszedł do wniosku, że zainstalowane w niej czujniki miały rejestrować stan jego urządzeń bezpośrednio po akcji, być może w celu odkrycia ich teoretycznych ograniczeń czy wysyłanych szczytkowych sygnałów. Uruchomiwszy ponownie broń soniczną, Jonny przeniósł Ilonę ponad dwiema zainstalowanymi na schodach fotokomórkami i przygotował się na niespodzianki, jakie mogły ich czekać na szczycie schodów.

Pierwszą próbą Troftów był bezpośredni atak. Druga okazała się tylko odrobinę bardziej subtelna. W poprzek kolejnego pokoju, między wejściem do niego z klatki schodowej a jedynym wyjściem, widniało na podłodze szerokie może na trzy metry ciemne pasmo. Jonny pociągnął nosem i poczuł ledwo uchwytny zapach tej samej substancji, jaką nasączona była lepka sieć w fabryce Wolкера.

— Taśma z klejem — ostrzegł Ilonę, omiatając wzrokiem ściany w poszukiwaniu ukrytych tam innych pułapek.

Na obu bocznych ścianach, przy końcach taśmy klejącej, zobaczył dwa pionowe, ciągnące się od podłogi do sufitu rzędy nadajników i odbiorników sygnałów fotokomórkowych. Każda ściana była ozdobiona sześcioma płaskimi, umocowanymi na niej skrzynkami. W przeciwieństwie do stacjonarnych urządzeń, jakie zainstalowano na klatce, te sprawiały takie wrażenie, jak gdyby przygotowano je specjalnie z myślą o nim.

Iłona tym razem nie miała złudzeń, w jakim celu je tam umieszczono.

— Kiedy będziemy przeskakiwali nad tym pasmem, zadziałają i podczas lotu coś w nas uderzy? — mruknęła zdenerwowana.

— Na to wygląda.

Jonny skierował się w prawo wzdłuż przedniego skraju lepkiego pasma i zatrzymał się dopiero przy jego końcu obok bocznej ściany.

— Spróbuję najpierw niewielkiego sabotażu. Na wszelki wypadek wycofaj się na klatkę.

Kiedy posłusznie wyszła, Jonny uruchomił miotacz energii elektrycznej... i wówczas uświadomił sobie, jak bardzo nie docenił szybkości uczenia się Troftów.

Na przeciwległej ścianie jedna z płaskich skrzynek rozleciała się w ogniste bryzgi, ale przedtem wystrzeliła wirujący ciemny kłęb, który poszybował dokładnie ku Jonny'emu. Kłęb rozpląszczył się w locie, a wirując rozwinął się w siatkę o wielkich oczkach.

Jonny nie miał czasu żałować, że przed kilkoma godzinami niebacznie sam zademonstrował Troftom możliwości swojego miotacza. Prawdę mówiąc, nie miał czasu na nic poza błyskawicznym uchYLENIEM się przed lecącą siatką.

Zaprogramowane odruchy spisały się na medal. Upadł na podłogę i pomagając sobie serwomechanizmami, odbił się od niej i poszybował ku ścianie pod kątem prostym do toru lotu siatki. Pokój był jednak zbyt mały, a siatka zbyt duża, i nawet salto, jakie wywinął przy ścianie obok drzwi wiodących na klatkę, nie uchroniło go od zawadzenia ramieniem o skraj materii, wyładował więc niezgrabnie na podłodze.

Ilona wyskoczyła z kryjówki jak kamień wystrzelony z procy.

— Nic ci nie jest? — zapytała, rzucając się, by pomóc mu się podnieść.

Machnięciem swobodnej ręki nakazał jej, aby nie podchodziła, a potem obrócił się na unieruchomionym łokciu. Może najprościej byłoby odciąć siatkę, ale z pewnością nie byłby to sposób najbezpieczniejszy. Nie wiedział, czy tkaniny nie nasączono środkami odurzającymi, a nie chciał jej dotykać, aby się o tym przekonać. Sprężywszy się więc w sobie, mocno szarpnął, pozostawiając na podłodze oderwany przy samym ramieniu rękaw kurtki.

— I co teraz? — zapytała Ilona, zrywając się z podłogi.

— Przestaniemy zachowywać się jak grzeczne dzieci — odparł Jonny. — Przygotuj się do dalszej drogi.

Nastawiwszy celowniki laserów na pozostałe skrzynki, uniósł ręce przed siebie i wystrzelił.

Na wpół świadomie oczekiwał, że ogień laserów, zamiast zniszczyć, uruchomi umieszczone w nich urządzenia. Kiedy jednak jedna skrzynka po drugiej zamieniała się w ogniste bryzgi, a jedna siatka po drugiej spadała w płomieniach na podłogę, Jonny doszedł do wniosku, że i tym razem udało mu się przechytryć Troftów. To znaczy, uważał tak do chwili, w której dostrzegł jasnobrunatny dym, wydobywający się ze zwęglonych siatek...

— Nie oddychaj! — rozkazał Ilonie.

Podszedł do niej, uchwycił ją za ramię i za udo i skoczył.

Nie tylko w poprzek trzymetrowego lepkiego pasma, ale do samych drzwi w przeciwną stronę. Był to manewr dość niebezpieczny, ale na szczęście Troftowie poza zniszczonymi już fotokomórkami nie zainstalowali żadnych innych sztuczek. Drzwi były, oczywiście, zamknięte, ale Jonny nie miał zamiaru zatrzymywać się i sprawdzać, czy na zamek, czy tylko na zatrzask. Wyładował na lewej nodze z prawą wyciągniętą poziomo do kopnięcia wspomaganego przez serwomotory i wymierzonego tuż poniżej klamki. Drzwi wypadły z futryny rozbrajająco łatwo, a Jonny — wciąż trzymając Ilonę w objęciach — puścił się biegiem dalej.

Następny pokój okazał się znacznie mniejszy i, podobnie jak wszystkie, przez które dotąd przechodzili, całkowicie pozbawiony mebli. Byłoby bardzo celowe, gdyby zatrzymał się na progu i upewnił, czy nie zorganizowano w nim jakiejś zasadzki, ale z uwagi na rozprzestrzeniającą się chmurę nie znanego gazu w pokoju za plecami, był to luksus, na który nie mógł sobie pozwolić. Przebył więc całą pięciometrową długość pomieszczenia jednym susem, nie kierując się jednak wprost ku następnym drzwiom

w przeciwniejszej ścianie. Zawierzył całkowicie odruchom i miał nadzieję, że zapewnią mu bezpieczną drogę.

I zapewniły. Cokolwiek bowiem Troftowie planowali, manewr Jonny'ego zapewne ich zaskoczył. Bez przeszkód udało mu się dotrzeć do następnego wejścia, otworzyć je, prześlizgnąć się dalej, a potem postawić Ilonę na podłodze i zatrzaskać drzwi za sobą. Jak mógł się spodziewać, znalazł się mniej więcej pośrodku długiego korytarza. Wyciągnąwszy ręce do pozycji gotowej do strzału, Jonny rozejrzał się szybko w prawo i w lewo, a potem popatrzył na dziewczynę.

— Nic ci się nie stało? — zapytał.

— Siniaki z pewnością będą wyglądały imponująco — mruknęła, rozcierając pośladki w miejscach, za które ją podtrzymawał. — Poza tym wszystko po staremu. Pamiętam, że wtedy mnie wprowadzono... przez drugie drzwi od końca, o ile dobrze się orientuję.

— Mam nadzieję, że dobrze.

Sprawa nie była wcale błaha, gdyż Troftowie w budynkach, które zajmowali, mieli zwyczaj zamurowywania wszystkich wewnętrznych, nie używanych przez siebie drzwi. Pomylenie drogi mogłoby więc skończyć się błędzeniem bez końca w labiryncie pokoi i korytarzy, o którym Ilona nie miała zielonego pojęcia. Na szczęście znajdowali się w korytarzu, a zatem — jeśli Troftowie zamierzali postępować tak samo jak dotychczas — w pomieszczeniu pozbawionym niebezpieczeństw i zasadzek. Jonny pomyślał, że chwila odpoczynku z pewnością im nie zaszkodzi.

— Dobra, idziemy dalej — odezwał się po chwili.

Z powodu tego przeświadczenia, iż nic im nie grozi, oraz dlatego, że zwracał uwagę jedynie na zainstalowane w ścianach czujniki, Jonny niemal w tej samej chwili stracił wszystko, co dotychczas z tak wielkim trudem zyskał.

Zaczęło się od dziwnego bólu w żołądku, bardzo podobnego do mrowienia wywoływanego przez własną broń soniczną, ale dzięki szczęśliwemu trafowi dotarli do węzła stojącej fali. Wtedy Jonny w końcu zrozumiał, co się dzieje, i raptownie przystanął.

— Co to jest? — krzyknęła przerażona Ilona, kiedy z rozpędu wpadła na jego plecy.

— Atak infradźwiękowy — wyjaśnił pospiesznie. Ból w żołądku zaczynał przyprawiać go o mdłości, a w głowie zaczynało huczeć jak w ulu. — Korytarz działa jak pudło rezonansowe, ale na szczęście stoimy w węźle fali.

— Nie mogę tego wytrzymać — jęknęła Ilona. Wsparła się o jego plecy i złapała się za brzuch.

— Wiem. Ale jeszcze trochę musisz wytrwać.

Oceniał, że wytrzymają zaledwie kilka sekund, a potem stracą przytomność i zginą. Niestety, Troftowie pozostawili mu do wyboru tylko jedno rozwiązanie. Jonny zamierzał ujawnić tę broń dopiero w ostateczności, ale nie mógł użyć laserów, nie

wiedząc, gdzie mogły być zainstalowane generatory infradźwięków. Objąwszy więc jedną ręką Ilonę i odsunąwszy ją nieco z linii działania broni, Jonny włączył własny generator i zaczął omiatać zmiennoczęstotliwościowymi sygnałami oba końce korytarza.

Albo miał tak wielkie szczęście, albo — co uznał za bardziej prawdopodobne — i tym razem Troftowie pozwolili mu odnieść łatwe zwycięstwo, gdyż zaledwie po czterech sekundach jego sygnał soniczny dostroił się do rezonansowej częstotliwości sygnału wysyłanego przez generator Troftów. Zgrzytając ze złości zębami — jego generatory nie były zaprojektowane do pracy w tak dużych pomieszczeniach — Jonny utrzymywał tę samą częstotliwość sygnałów i czekał, aż jego nanokomputer zwiększy ich amplitudę... Nagle uczucie mdłości zaczęło z wolna ustępować. Po kilkunastu zaledwie uderzeniach serca od chwili rozpoczęcia ataku pozostały po nim jedynie drżące nogi i lekkie bóle, błędzące po różnych częściach ciała.

— Ruszamy, nie wolno nam zostać tu ani chwili dłużej — odezwał się stłumionym głosem do Ilony, kierując się niepewnie ku drzwiom, które wskazała mu przed atakiem.

— Aha — zgodziła się, chwiejnie podążając za nim.

Przez większość drogi musiał ją właściwie nieść. Nie mógłby tego zrobić, gdyby nie jego serwomechanizmy. Dotarli w końcu do drzwi. Jonny je otworzył.

Troftowie powrócili do metod mało subtelnych. Tym razem pokój, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, był niemal dosłownie zawalony meblami... a za każdym ukrywał się jakiś nieprzyjacielski żołnierz.

W pierwszej, utrwalonej na zawsze w pamięci Jonny'ego milisekundzie przyszło mu do głowy, że zboczenie z zapamiętanej przez Ilonę trasy mogłoby zakończyć się tragicznie, gdyby na przykład dowódca Troftów wpadł w popłoch. Nie było jednak innej rady, zwłaszcza że nie zamierzał stawiać czoła kilkudziesięciu przeciwnikom naraz, jeżeli miał inne wyjście... albo jeżeli potrafił je wymyślić.

Zanim trzasnął drzwiami, zdobył się tylko na wysłanie pojedynczego, nie dostrojonego impulsu z broni sonicznej. Jeśli będzie miał szczęście, impuls ogłuszy wroga na krótką chwilę, co z pewnością powinno opóźnić pościg. Schwyciwszy Ilonę za ramię, skierował ją do następnego pokoju, ostatniego, jaki znajdował się w końcu korytarza.

— Nie tymi drzwiami weszłam! — krzyknęła, kiedy ją puścił i szarpnął za klamkę. Jak mógł się spodziewać, były zamknięte.

— Nie mamy wyboru — odparł Jonny. — Padnij i krzycz, jeśli zobaczysz kogoś w korytarzu.

W tym czasie jego lasery siały zniszczenie, wypalając przy krawędziach drzwi przerywaną linię, dzięki której w najkrótszym czasie najbardziej osłabiały ich konstrukcję. Kiedy doszedł do połowy płaszczyzny, wymierzył jej solidnego kopniaka, a gdy skończył robotę — drugiego. Po drugim kopnięciu poczuł, że drzwi zaczynają

ustępować, po czterech dalszych wpadły do pokoju. Ostrożnie zajrzał do środka. Ilona zerknęła mu przez ramię.

Od pierwszego rzutu oka zorientował się, że musieli zboczyć z trasy, tak starannie z myślą o nich zaplanowanej. W pomieszczeniu nie było żadnych używanych ani zaprojektowanych przez ludzi mebli — od podłogi aż do sufitu pokój sprawiał wrażenie nieprzyjemnie obcego. Znajdowało się w nim kilka długich legowisk mających dziwaczne kształty i rozstawionych dokoła czegoś, co przypominało okrągłe stoły z wystającymi z ich środków półkolistymi kopułami. Na ścianach zawieszono wyglądające niemal archaicznie malowidła, pomiędzy którymi wisiały małe, niewątpliwie elektroniczne urządzenia. Po drugiej stronie pokoju Jonny ujrzał przez moment zginający się pod dziwnym kątem staw nogi jakiegoś uciekającego Trofta... a w ciszę, jaka zapadła w chwilę później, wdarł się dźwięk, którego brak aż do tej chwili powinien być podejrzany: zawodzący dźwięk syreny alarmowej.

— Stołówka? — zapytała Ilona, rozglądając się po pomieszczeniu.

— Świetlica — odparł lekko zawiedziony tym faktem Jonny.

Spodziewał się znaleźć w pokoju, w którym mógłby zrobić użytek z miotacza energii elektrycznej. Na przykład w sterowni urządzeń obronnych muru.

Z drugiej jednakże strony...

— Ruszmy się stąd — przynagliła Ilona, patrząc z lękiem na znajdujące się za ich plecami szczątki drzwi.

— Jeszcze chwilę — powstrzymał ją Jonny, rozglądając się po ścianach.

Troftowie zawsze rozmieszczali świetlice i inne mało ważne pokoje na peryferiach swoich baz czy domów, które zajmowali... i w końcu, niemal całkiem ukryte za malowidłami, dojrzał coś, czego szukał: okno.

Rzecz jasna, odpowiednio opancerzone. Chroniła je gruba płyta o wymiarach mniej więcej jednego na trzy metry wykonana ze stopu kirelium i stali. Była niemal dokładnie dopasowana do otworu, a widoczna jedynie dzięki milimetrowej szerokości szczeliny, jaką tworzyła z pomalowaną na taki sam ciemnoszary kolor ścianą. Płyta stanowiła przeszkodę nie do przebycia nawet dla kogoś dysponującego wyposażeniem Kobry, ale jeśli jej projektanci postąpili zgodnie ze standardowymi procedurami zabezpieczania budynków zajmowanych przez Troftów, mogła to być jedyna szansa, żeby wyjść wreszcie z tego kieratu.

— Bądź gotowa i trzymaj się przez cały czas tuż za mną — zawołał, odwracając nieco głowę.

Odbiwszy się z całą siłą od podłogi, poszybował ku oknu, wykonał w locie obrót i trafił nogami dokładnie w środek płyty.

Z wdziękiem wyłamała się z framugi i z łoskotem wypadła na zewnątrz. Jonny, straciwszy nieco na prędkości wylądował na ziemi znacznie bliżej budynku niż ten kawałek metalu. Poderwał się, ale tylko kucnął, uruchomił wzmacniacz wzroku i uważnie się rozejrzał.

Znajdował się pośrodku czegoś, co musiało być kiedyś klombem pełnym kwiatów, sięgającym niemal do miejsca, w którym rosły karłowate drzewa i krzewy stanowiące niegdyś wypielegnowany ogród haiku. Przeciwny koniec ogrodu stykał się z kępą wysokich drzew dochodzących w pobliże muru. Nie będzie więc miał żadnej osłony, dopóki nie dotrze do tej kępy — odległościomierz Jonny'ego określił ten dystans na pięćdziesiąt dwa metry. Sam mur zaś... znajdował się następne trzydzieści kilka metrów dalej.

Usłyszał za plecami jakiś ruch. Odwrócił się gwałtownie, niejasno uświadamiając sobie, że ten ruch sprawił mu ból, i zobaczył Ilonę, z gracją wyskakującą z okna.

— To był kławy kopniak — szepnęła, kucnąwszy obok niego.

— Nic wielkiego — odparł. — Krawędzie płyty miały skos, który uniemożliwił wepchnięcie jej do środka przez tego, kto chciałby się dostać z zewnątrz. Wiesz może, gdzie jesteśmy?

— W zachodniej części rezydencji. Brama znajduje się na północ od nas.

— Daj sobie spokój z bramą. Przez mur możemy przeskoczyć równie łatwo w każdym miejscu.

Część umysłu Jonny'ego wciąż liczyła się z możliwością, że Troftowie podsłuchują go za pomocą ukrytych mikrofonów.

— Przede wszystkim jednak — dodał z myślą o nich — chciałbym się upewnić, czy lasery zainstalowane w domu nie będą strzelały do kogoś, kto będzie się od niego oddalał.

Wciąż nie było widać ani jednego nieprzyjacielskiego żołnierza. Jonny podszedł do płyty osłaniającej przedtem okno i uniósł krawędź, by ocenić jej ciężar i przyjrzeć się, jak wygląda. Bez wątpienia była zrobiona ze stopu kirelium i stali, a jej grubość wynosiła prawie pięć centymetrów. Nie mógł wiedzieć, czy da radę zrobić to, co planował, ale nie miał czasu się rozglądać w poszukiwaniu czegoś lepszego. Zapierając się nogami, chwycił płytę pośrodku obydwu dłuższych boków i uniósł ją nad głowę niczym prowizoryczny parasol... a potem, wykorzystując całą moc serwomechanizmów, cisnął ją w kierunku odległego muru.

Nigdy przedtem nie wykorzystywał całej mocy i przez krótką, przerażająco krótką chwilę obawiał się, że rzucił za daleko. Gdyby płyta poszybowała nad murem, uruchomiłaby laserową palisadę, a wówczas Jonny nie mógłby przed Troftami udawać, że nie wie o jej istnieniu...

Na szczęście jego obawy okazały się płonne. Płyta poszybowała łukiem w górę, ale spadła z trzaskiem łamanych gałęzi w kępę wysokich drzew, w odległości co najmniej dwudziestu metrów od muru.

I co najważniejsze, pokonała tę trasę bez uruchamiania ognia zainstalowanych w budynku laserów.

Przesunął językiem po wargach. A zatem automaty sterujące laserami najprawdopodobniej zostawią ich w spokoju. Ale czy to samo zrobią ich żywi

operatorzy, bez wątpienia czuwający na swoich posterunkach? Jonny nic nie mógł zrobić w tej sprawie; mógł mieć tylko nadzieję, iż uznają, że zatrzymają go lasery przy murze. Gdyby to założenie okazało się słuszne... i gdyby wszystko zechciało przebiegać zgodnie z planem...

— Gotowa do biegu? — zapytał szeptem Ilonę.

Jej oczy wciąż wpatrywały się w miejsce, w którym wylądowała pancerna płyta.

— Niech mnie szlag — mruknęła. — A... tak, jestem gotowa. W stronę muru?

— Jasne. I to tak szybko, jak potrafisz. Pobiegnę tuż za tobą, bo w ten sposób przynajmniej teoretycznie będę mógł rozprawić się z każdym, kto zechce nam przeszkodzić. Jeszcze tylko ostatni rzut oka... i w drogę!

Ilona poderwała się do biegu, jakby ścigała ją cała zgraja Troftów, a później pochyliła się, ufając, że będzie to choć trochę bezpieczniejsze. Jonny pozwolił jej wyprzedzić się o jakieś pięć kroków, zwiększając w tym czasie czułość wzmacniaczy słuchu i wzroku, i starając się stwierdzić, czy nikt ich nie zaczyna gonić. Ale rezydencja Tylera sprawiała wrażenie opuszczonej. Bez wątpienia wszyscy zgromadzili się na balkonach, aby nacieszyć oczy widokiem naszej śmierci — pomyślał Jonny, zdając sobie sprawę z tego, że zaczyna się denerwować. — Jeszcze najwyżej kilka sekund — powtarzał sobie w kółko, a słowa te brzmiały mu w głowie wraz z rytmem szybkich kroków. — Jeszcze kilka sekund i będzie po wszystkim.

Przed kępą wysokich drzew przyspieszył i po kilku krokach zrównał się z Iloną.

— Poczekaj chwilę — szepnął. — Muszę znaleźć tę płytę.

— Co takiego? — wydyszała. — Po co?

— Nie ma czasu na zadawanie pytań. A zresztą, już ją znalazłem.

Jak się spodziewał, ciężka płyta nawet nie została uszkodzona. Schylił się i podniósł ją, a później ustawił przed sobą niczym wielkie drzwi, szukając po bokach miejsc, w których mógłby ją najłatwiej uchwycić.

— Co... ty... robisz?

— Chcę zabrać ją na pamiątkę. Chodź. Stań teraz tu, przede mną. O, tutaj.

Usłuchała, wsuwając się między niego a kawał metalu.

— Teraz złap mnie za szyje... trzymaj mocno... a teraz obejmij mnie nogami w pasie... o, tak dobrze. I nie puszczaj mnie bez względu na to, co się stanie. Rozumiesz?

— Aha.

Jej głos był stłumiony przez jego ubranie, ale mimo to Jonny słyszał, jak bardzo jest przerażona. Być może miała przecucie tego, co wkrótce mogło się wydarzyć.

Dwadzieścia metrów od muru. Jonny cofnął się o kilka kroków. Uniósł lekko płytę, poczuł, jak jej ciężar zmienia równowagę jego ciała, a potem przygotował się do startu.

— No, to jazda — odezwał się do Ilony. — Tylko trzymaj się mnie z całej siły...

Kiedy stopy zaczęły wybijać miarowy rytm kroków, wraz ze zwiększaniem tempa biegu coraz bardziej grzęznąć w miękkim gruncie, skowyt serwomotorów zabrzmiał

mu w uszach głośniejsze niż dudnienie pulsu. Osiem kroków, dziewięć — już prawie nabral wystarczającej prędkości — dziesięć...

W ułamek sekundy później wyprostował kolana i poszybował łukiem w górę.

Był to manewr, który przećwiczył wiele razy na Asgar-dzie: skok z rozbiegu, mający przenieść go nad przeszkodą, jaka stanęła mu na drodze. Szybował teraz prawie poziomo, zwrócony twarzą ku ziemi, i zbliżał się do muru i jego śmiercionośnej palisady... Na chwilę przed znalezieniem się nad murem puścił pancerną płytę i ramionami objął mocno Ilonę.

Błysk światła był niesamowicie jasny, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że było to odbicie laserowego ognia od spodu pancерnej płyty. Okolica została oświetlona upiornym światłem. Usłyszeli trzeszczenie rozgrzewającego się metalu, ale po chwili znaleźli się już za murem. W opadającej części trajektorii lotu Jonny zmienił pozycję, by wylądować na nogach.

Niemal mu się to udało, ale jego stopy dotknęły ziemi pod kątem, który komuś nie mającemu wzmocnionych laminatem kości rozerwałby obydwie stawy skokowe. Odzyskał jednak szybko równowagę, wzmocnił uścisk, w jakim trzymał Ilonę, i puścił się szybkim biegiem.

Pokonał w ten sposób połowę odległości dzielącej ich od najbliższego domu. Wtedy dopiero Troftowie otrząsnęli się z zaskoczenia i zaczęli strzelać. Kluczając, biegł po otwartej przestrzeni, a płomienie laserowe ocierały się o jego boki i stopy. Sądzę, że to dostarczy wam dodatkowych informacji — pomyślał pod adresem Troftów. Wykorzystując całą moc serwowmotorów nóg, przebył ostatnie dwadzieścia metrów z największą, na jaką było go stać, prędkością. W następnej sekundzie skręcił za róg domu, znikając w ten sposób z celowników Troftów.

Nie zatrzymał się jednak. Biegł ku następnemu budynkowi — kolejnej opuszczonej fabryce.

— Masz pomysł na jakąś kryjówkę? — zawołał do Ilony, starając się przekrzyczeć świst powietrza. Nie odważyła się nawet oderwać głowy od jego ramienia.

— Nie zatrzymuj się — powiedziała tylko. Nawet rytm wstrząsów, w jaki wprawiały ich jego kroki, nie był w stanie ukryć przesywających ją dreszczy.

Biegł więc dalej, od czasu do czasu skręcając, by dotrzeć do znanej mu części miasta. Po przebiegnięciu mniej więcej kilometra trafił na znajome skrzyżowanie i skręcił na północ, kierując się w stronę jednego z bezpiecznych telefonów, jakimi dysponował ruch oporu. Znajdował się od niego o dwa domy, kiedy usłyszał warkot nadlatującego helikoptera. Oceniał jego prędkość i kierunek lotu, postanowił nie ryzykować i skręcił do najbliższego wejścia. Drzwi były, oczywiście, zamknięte, ale po tym, co przeszli, zamknięte drzwi nie mogły go powstrzymać. Po kilku sekundach znaleźli się w środku jakiegoś sklepu.

— Czy tutaj jest bezpiecznie? — zapytała Ilona, kiedy postawił ją na podłodze.

Rozcierając obolałe boki, wyrzwała przez wystawowe okno osłonięte metalową kratą.

— Niezupełnie, ale na razie musi nam to wystarczyć.

Jonny odszukał krzesło i usiadł, krzywiąc się przy tym z bólu. Nie musiał się na razie obawiać niebezpieczeństw, mógł więc zająć się oględzinami swojego ciała. Natychmiast zrozumiał, że nie udało mu się wyjść z opresji bez szwanku. Ręce i ciało miał poparzone co najmniej w pięciu miejscach, co dowodziło dobrych umiejętności strzeleckich Troftów. Kostka lewej nogi sprawiała wrażenie rozgrzanej do czerwoności wskutek nadmiaru ciepła emitowanego przez jego przeciwpancerne laser — było to bez wątpienia świadectwo jednej z usterek projektowych, przed którymi ostrzegał ich kiedyś Bai. Bóle mięśni i otarcia naskórka dawały o sobie znać niemal zewsząd, a wilgoć, przylepiająca mu w kilku miejscach ubranie do ciała, mogła równie dobrze być skutkiem potu co upływu krwi z odniesionych obrażeń.

— Musimy poczekać, aż helikopter wykona pełne koło. Wtedy się zorientuję, ile czasu upłynie, zanim wróci. Potem pójdę do tamtego bezpiecznego telefonu i skontaktuję się z ruchem oporu. Mam nadzieję, że powiedzą mi, gdzie będę mógł cię ukryć, zanim wrócę do rezydencji.

— Zanim... co takiego?

Odwróciła się raptownie w jego stronę, a w jej oczach odmalowały się groza i niedowierzanie.

— Zanim wrócę — powtórzył. — Być może tego nie wiesz, ale jedynym powodem, dla którego pozwolili nam uciec, było zebranie danych na temat działania wyposażenia Kobry. Muszę więc tam wrócić i zabrać im nagrane taśmy.

— To samobójstwo! — wybuchnęła. — Szuka cię teraz cała chrzaniona zgraja tych pokurczów!

— Ale szuka mnie t u t a j — zwrócił jej uwagę. — Przynajmniej przez jakiś czas rezydencja nie będzie chroniona tak dobrze jak zazwyczaj i jeśli się pospieszę, może uda mi się ich zaskoczyć. Tak czy inaczej, powinienem chociaż spróbować.

Chciała coś odpowiedzieć, ale tylko zacisnęła usta.

— W takim razie — odezwała się po chwili — i tak nie będziesz miał czasu, żeby skontaktować się z podziemiem. Jeżeli zamierzasz wrócić, to radzę ci, żebyś nie zwlekał.

Jonny, zaskoczony tym, uważnie się jej przyjrzał. Żadnego sprzeciwu, żadnego przekonywania... i nagle przyszło mu do głowy, że nic właściwie o niej nie wie.

— Mówiłaś, że gdzie mieszkasz? — zapytał.

— Nic na ten temat nie mówiłam — odparła. — A zresztą, co to ma do rzeczy?

— Właściwie niewiele... tyle tylko, że wiem mniej od ciebie. Ty wiesz, że jestem Kobrą, a zatem czyją stronę trzymam. Nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

Przez długą chwilę tylko na niego patrzyła... a kiedy się odezwała, w jej głosie nie było słyhać tak dobrze znanego mu sarkazmu.

— Czy sądzisz, że jestem najemnikiem Troftów? — zapytała cicho.

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko to, co sama mi powiedziałaś... włącznie z tym, w jaki sposób wrzucono cię do mojej celi. Jasne, Troftowie mogli porwać z ulicy pierwszą lepszą osobę. Postąpiliby jednak mądrzej, gdyby posłużyli się kimś zaufanym, kto nakłoniłby mnie do zrobienia czegoś, czego nie chciałem dla nich zrobić.

— A czy ja ciebie nakłaniałam?

— Nie, ale to i tak okazało się zbyt cenne. Za to teraz ponaglasz mnie, żebym wrócił tam sam jak palec, nie wzywając nawet na pomoc sił podziemia.

— Gdybym była ich szpiegiem, czy nie chciałabym, byś mnie skontaktował z ruchem oporu? Sądzę, że Troftom by zależało, żeby się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Jeśli zaś chodzi o namawianie cię do pośpiechu, cóż, może nie znam się na taktyce, ale czy nie wydaje ci się możliwe, że zanim te twoje siły podziemia zorganizują ci jakieś wsparcie, Troftowie zdążą wrócić do rezydencji i przygotować się na wasz atak?

— Masz na wszystko gotową odpowiedź, prawda? — burknął. — No, dobra. Posłuchajmy zatem, co proponujesz, żebym zrobił z tobą.

Jej oczy zamieniły się w dwie szparki.

— To znaczy...?

— Jeżeli pracujesz dla Troftów, nie zamierzam skontaktować cię z nikim z ruchu oporu. Nie mogę ci też pozwolić powiadomić Troftów, że wracam.

— No, ja na pewno nie zamierzam wrócić tam razem z tobą — oznajmiła stanowczo.

— Wcale ci tego nie proponuję. Myślę, że będę cię musiał zwięzać i zostawić do czasu, kiedy wrócę. W kąciku jej ust drgnął jakiś mięsień.

— A jeśli nie wrócisz?

— Rano znajdzie cię właściciel sklepu.

— Albo wcześniej Troftowie — rzekła cicho. — Te patrole, które za nami wysłano, pamiętasz?

A może nie była szpiegiem... w takim razie raczej by ją zabili, niż pozwoliliby jej przekazać informację o ich kwaterze głównej znajdującej się w rezydencji.

— Czy możesz mi udowodnić, że nie jesteś ich szpiegiem? — zapytał, czując występujące mu na czoło krople potu, kiedy zrozumiał, że nie wie, co robić.

— W ciągu najbliższych trzydziestu sekund? Nie bądź śmieszny. — Głęboko odetchnęła. — Nie, Jonny. Jeżeli j chcesz mieć jakąkolwiek szansę dostania się do rezydencji jeszcze dzisiejszej nocy, musisz albo uwierzyć, że mówię prawdę, albo założyć, że kłamię. Jeśli twoje podejrzenia są tak silne, by usprawiedliwić moją śmierć... wówczas i tak nie mogę zrobić nic, żeby cię powstrzymać. Sądzę, że wszystko sprowadza się do pytania, czy dla ciebie moje życie jest warte tego, abyś ryzykował swoje.

Przy takim postawieniu sprawy właściwie nie musiał się dłużej zastanawiać. Już raz ryzykował dla niej życie... i czy była na usługach wroga, czy nie, Troftowie nie zamierzali jej oszczędzić, bo mogła zginąć razem z nim podczas przelatywania nad murem.

— Myślę, że powinnaś znaleźć sobie jakąś kryjówkę, zanim dotrą tu ich patrole — burknął tylko, kierując się do wyjścia. — I uważaj na ten helikopter.

Znalazłszy się na ulicy, ocenił, że warkot silników śmigłowca dobiega z dostatecznie dużej odległości. Nie oglądając się za siebie, wtopił się w mroki nocy i ruszył z powrotem ku rezydencji Tylera, zastanawiając się po drodze, czy aby nie popełnia ostatniej, najgłupszej pomyłki w swoim życiu.

Powrót trwał znacznie dłużej niż ucieczka, gdyż krążący helikopter i zmotoryzowane patrole zmuszały go do ukrywania się tym częściej, im bardziej zbliżał się do celu. Zniechęciło go to tak, że kiedy ujrzał mur otaczający rezydencję, całe rozumowanie uzasadniające jego indywidualny wypadek zaczęło wydawać mu się wątpliwe. Od chwili ich ucieczki minęły ponad trzy kwadransy — wystarczająco dużo czasu, aby Troftowie zaczęli obawiać się ataku i ściągać swoje oddziały z powrotem do rezydencji. Dzięki wzmacniaczom słuchu wychwytywał wszystkie szmery poruszających się istot i ich sprzętu. Słyszał też klekot szczęk i piski porozumiewających się Troftów — zaczęli właśnie barykadować wszystkie ulice, prowadzące do rezydencji. Zmuszony w końcu do ucieczki, Jonny schował się w jednym z sąsiednich opuszczonych domów, dotarł na najwyższe piętro i ostrożnie wyjrzał przez wychodzące na ulice okno.

Natychmiast zorientował się, że przegrał.

Troftowie byli dosłownie wszędzie: blokowali ulice, patrolowali dachy i pilnowali okien opuszczonych domów, a nawet ustawiali na stanowiskach ogniowych dodatkowe lasery. Nieco dalej Jonny zobaczył helikopter przelatujący nad tylną częścią muru i lądujący obok kilku innych, rozstawionych wokół głównego budynku rezydencji. Tak gorączkowa aktywność Troftów wskazywała, że nie zależało im już na ukrywaniu swojej obecności w bazie, a zaparkowane helikoptery dowodziły, że zamierzali ją opuścić. W ciągu kilku godzin — najwyżej w ciągu dnia albo dwóch — uczynią to, zabierając ze sobą wszystkie zarejestrowane taśmy z informacjami na temat jego ucieczki. Zanim jednak to zrobią...

Zanim to zrobią, będą musieli od czasu do czasu wyłączać laserową palisadę po to, aby umożliwić startującym i lądującym maszynom przelatywanie ponad murem.

A w tym czasie większość uzbrojonych po zęby żołnierzy Troftów będzie znajdowała się poza rezydencją.

Był to interesujący pomysł... ale na poczekaniu Jonny nie mógł wymyślić sposobu szybkiego wprowadzenia go w życie. Zważywszy, że kordon Troftów z każdą chwilą otaczał rezydencję coraz szczelniej, przedostanie się w pobliże muru zaczynało okazywać się niemożliwością. Prawdę mówiąc, nie było wcale pewne, że uda mu się

wydostać stąd, gdzie się kryje, tak aby go nie zauważyli i nie trafili. Nie powinienem był wracać — pomyślał ponuro Jonny. — Teraz jestem tu uziemiony, dopóki cały ten rozgardiasz się nie skończy.

Miał właśnie się odwrócić i odejść, kiedy jego uwagę przykuł dym wydobywający się z piwnic budynku znajdującego się po jego lewej stronie. W chwilę potem budynek zaczął się rozpadać w gruzy. Zaledwie do uszu Jonny'ego dotarł ogłuszający huk eksplozji, a już ulica przed domem rozjarzyła się nitkami wystrzałów z miotaczy laserowych.

Wszystko to stało się tak nagle, że dosłownie zamarł w swoim oknie... w tej chwili jednak nie miał czasu na zastanawianie się, co się dzieje. Znajdował się w zbyt odsłoniętym miejscu, aby mógł zrobić użytek ze swych laserów, ale istniało kilka innych sposobów włączenia się do tej potyczki.

Przyglądał się jeszcze przez kilka sekund, starając się zapamiętać szczegóły terenu i rozmieszczenie stanowisk ogniowych Troftów. Później odszedł od okna i zajął się zbieraniem kawałków muru, które odpadły ze ścian wskutek poprzednich walk toczonych w tej okolicy. Wiedział, że w rękach kogoś potrafiącego rzucać tak celnie jak Kobra mogą być bronią równie śmiertcioną jak granaty.

Był zajęty eliminowaniem z walki kolejnych Troftów, kiedy ciemności nocy rozjaśnił jeszcze jeden wybuch. Jonny zdążył unieść głowę w porę, by dojrzeć czerwoną poświatę, gasnącą w oknie na piętrze rezydencji Tylera.

W godzinę później było już po bitwie.

Owinięty w bandażę, między którymi tkwiły rurki zaopatrujące jego organizm w podawane dożylnie leki, Hal-loran bardziej przypominał wykopalisko archeologiczne niż żywego człowieka. Ale minę miał pogodniejszą niż kiedykolwiek w okresie ostatnich kilku miesięcy. Bez wątpienia dlatego, że mimo znikomych szans, jakie mieli, wszystkim trzem Kobrom udało się jednak przeżyć.

— Kiedy już stąd wyjdziecie — odezwał się do kolegów Jonny — przypomnijcie mi, żebym wysłał was na dokładne badania psychiatryczne. Obydwaj musicie mieć nie po kolei w głowach.

— Dlaczego? — zapytał niewinnie Halloran. — Bo udała się nam ta sama głupia sztuczka, którą ty miałeś zamiar zrobić?

— Ładna mi głupia sztuczka — odciął się Deutsch ze swojego łóżka ustawionego tuż obok łóżka Hallorana.

Jego ciało pokryte było znacznie mniejszą ilością opatrunków, co mogło pośrednio dowodzić większego szczęścia lub większej umiejętności walki.

— Dotarliśmy na dach rezydencji w chwili, w której ty z Iloną zaczęłeś biec w stronę muru. Byliśmy na tyle blisko was, że prawdę mówiąc zamknęli nas w kordonie,

kiedy wszyscy puścili się za wami w pogoń. Taktycznie było to bardzo proste... no może tylko niezbyt dokładnie wykonane.

— Niezbyt dokładnie, dobre sobie. Niektórzy z nas omal nie stracili życia. Halloran skłonił głowę w stronę Deutscha.

— A zresztą to jemu zawdzięczasz, że w ogóle się tam zjawiliśmy. Powinieneś zobaczyć, jak bardzo ryzykował. Nie mówiąc już o tym, jak naskoczył na Borga i sprawił, że szukało cię niemal pół podziemia.

To zresztą, przy niewielkiej choć nieświadomej pomocy ze strony Troftów, uratowało Jonny'emu życie. Zastanawiał się, czy Troftowie wiedzieli, co właściwie robiła Ilona, kiedy ją pochwycili.

— Obydwu wam zawdzięczam bardzo dużo — powiedział, zdając sobie sprawę, jak niewiele mógł wyrazić słowami. — Jeszcze raz dziękuję.

Deutsch machnął lekceważąco ręką.

— Daj spokój, to samo zrobiłbyś dla nas. Poza tym to była grupowa akcja, w której brała udział i ryzykowała życie prawie połowa ludzi podziemia.

— Włączając w to przekazanie nam informacji o tym ukrytym wejściu do podziemnego tunelu zaraz po tym, jak Ilona zadzwoniła do nich i opisała szczegółowo, gdzie ono się znajduje — dodał Halloran. — Nie powiedzieli ci tego wcześniej? Tak myślałem. To zresztą było strasznie głupie. Mieli cholerne szczęście, że Troftowie byli zbyt zajęci, żeby namierzyć miejsce, z którego nadawano, bo z pewnością odpowiedniej aparatury im nie brakuje. Uważam, że jak — tylko się to wszystko skończy, cała ta planeta powinna zostać poddana badaniom psychiatrycznym.

Jonny uśmiechał się razem z nimi, starając się w ten sposób pokryć zażenowanie, jakie wciąż odczuwał, dowiedziawszy się o roli, jaką odegrała Ilona podczas kontrataku sił południowego sektora podziemia na rezydencję Tylera.

— Jeżeli chodzi o Ilonę, to obiecała odwieźć mnie do tego nowego mieszkania, do którego przenosi mnie Ama — odezwał się do kolegów. — Ale możecie się nie martwić: wrócę na czas i pomogę wam, kiedy tylko będziecie się stąd mogli ruszyć.

— Nie ma pośpiechu — odparł beztrósco Halloran. — I tak gospodarze domu traktują mnie ze znacznie większym szacunkiem niż wy dwoje.

— Zdecydowanie stan jego zdrowia zaczyna się poprawiać — parsknął Deutsch. — Zabieraj się stąd, Jonny. Nie ma powodu, żeby Ilona tak długo musiała na ciebie czekać.

Siedziała cierpliwie w przestronnym korytarzu.

— Wszystko uzgodnione? — zapytała z ożywieniem. — A zatem możemy ruszać. Oczekują cię tam za kilka minut, a wiesz, jacy stajemy się nerwowi, kiedy coś zaczyna iść niezgodnie z planem.

Wyprowadziła go z budynku do samochodu, który czekał przy krawężniku o kilka domów dalej. Wsiadł do niego, a Ilona skierowała się na północ... i po raz pierwszy od dwóch dni, od czasu ich ucieczki, mogli porozmawiać ze sobą w cztery oczy.

Jonny chrząknął.

— No, więc... jak wam idzie przeszukiwanie rezydencji? — zapytał.

Spojrzała przelotnie w jego stronę.

— Całkiem nieźle. Cally, Imel i ludzie z sektora wschodniego dokonali tam strasznych zniszczeń, ale udało się nam znaleźć mnóstwo ciekawych rzeczy, których Troftowie nie mieli czasu zlikwidować. Powiedziałabym nawet, że uzyskaliśmy na ich temat o wiele więcej danych niż oni z tych taśm z nagraniami Jonny'ego Moreau w akcji.

— A samych taśm nie znaleźliście?

— Nie, ale to i tak nie ma znaczenia. Prawie na pewno zdążyli przekazać te dane drogą radiową gdzieś indziej, gdy tylko się okazało, że uciekliśmy.

— No cóż, mówi się trudno. Miałem tylko nadzieję, że dysponując oryginalnymi taśmami, moglibyśmy się zorientować, czego właściwie dowiedzieli się o nas i naszym spręcie. Można byłoby wówczas ocenić, jakie niebezpieczeństwo może nam grozić podczas następnych akcji.

— Aha. Tak, myślę, że masz rację. Z drugiej strony nie sądzę, żebyś się musiał tym martwić. Jonny parsknął.

— Nie doceniasz pomysłowości Troftów. Tak samo jak nie doceniałaś mojego miękkiego serca. Wiesz, właściwie powinnaś powiedzieć mi wcześniej, że pracujesz dla podziemia.

Oczekiwał, że odpowie mu, cytując jakąś drętwą i całkowicie nieuzasadnioną regułę przestrzegania środków bezpieczeństwa przez miejscowy ruch oporu, ale kiedy w końcu się odezwała, jej słowa trochę go zaskoczyły.

— Mogłam — przyznała. — I z pewnością bym to zrobiła, gdyby zanosilo się na to, że chcesz palnąć jakieś głupstwo. Ale... ty doszedłeś do raczej paranoidalnych wniosków, nie mając po temu żadnych podstaw, więc... no, chciałam się przekonać, jak daleko się zapędzisz, wnioskując dalej w taki sposób. — Westchnęła głęboko. — Widzisz, Jonny, nie wiem, czy wiesz o tym, czy nie, ale wszyscy nasi ludzie, którzy działają i walczą razem z wami, w mniejszym lub większym stopniu się was boją. Od chwili, w której wyładowali tu pierwsi z was, pojawiają się ciągle plotki, że Asgard dał wam wolną rękę w robieniu wszystkiego, co uznacie za konieczne, aby przepędzić stąd Troftów... nie Wyłączając doraźnych egzekucji za wszystko, co uznacie za wykroczenie. Jonny popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Ależ to absurd! — wybuchnął.

— Czyżby? Dominium nie może z odległości setek lat świetlnych sprawować nad wami władzy, a my z całą pewnością nie potrafilibyśmy tego robić. Jeśli więc tak czy inaczej dysponujecie taką władzą, to dlaczego nie mielibyście tego zalegalizować?

— Ponieważ... — zająknął się Jonny. — Ponieważ to nie jest sposób na wyzwolenie Adirondack spod okupacji obcych.

— To zależy od tego, czy właśnie to postawili sobie za cel ci z Asgardu, prawda? Jeśli bardziej zależy im na złamaniu potęgi militarnej Troftów, to poświęcenie takiego małego świata może być dla nich niezbyt wygórowaną ceną.

Jonny potrząsnął głową.

— Nie masz racji. Wiem, że trudno mi to udowodnić, będąc tutaj, ale faktem jest, że Kobrom na Adirondack nie wolno działać kosztem miejscowej ludności. Gdybyś wiedziała, jak dokładnie nas testowali... i jak wielu nadających się do służby ludzi odrzucono już po odbyciu szkolenia...

— Jasne, ja to wszystko rozumiem — rzekła. — Ale często jest tak, że wojsko stawia sobie coraz to inne cele. — Wzruszyła ramionami. — Może już wkrótce cała ta dyskusja okaże się jałowa — dodała.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

— Otrzymaliśmy dziś rano komunikat międzyplanetarny. Wszystkie oddziały podziemia i Kobry mają niezwłocznie przystąpić do akcji dywersyjnych, poprzedzających inwazję.

Jonny się zorientował, że ma ze zdumienia otwarte usta.

— Poprzedzających inwazję?

— To właśnie było w komunikacie. A jeśli inwazja zakończy się sukcesem... zawdzięczamy Kobrom bardzo dużo, Jonny, i z pewnością nigdy nie zapomnimy tego, co dla nas zrobiliście. Ale nie sądzę, by było nam przykro dlatego, że nas opuścicie.

Na to Jonny nie umiał znaleźć odpowiedzi i resztę drogi przebyli w milczeniu. Ilona minęła dom, w którym mieszkał dotychczas, i przejechała jeszcze kilka przecznic. Zatrzymała się w końcu przed budynkiem jeszcze mniej różniącym się od innych. Na ich powitanie wyszła kobieta o zmęczonych oczach. Zaprowadziła Jonny'ego do pokoju na najwyższym piętrze, gdzie już znajdowały się wszystkie jego rzeczy. Na samym wierzchu worka leżała niewielka koperta.

Jonny ją rozerwał, unosząc ze zdumienia brwi. W środku znajdowała się kartka papieru z napisaną odręcznie niewprawnym pismem wiadomością:

Drogi Jonny.

Mama powiedziała mi, że przeprowadzasz się gdzieś indziej i że już nie będziesz u nas mieszkał. Bardzo proszę, uważaj na siebie i nie daj się już nigdy złapać, i wróć kiedyś zobaczyć się ze mną. Kocham cię.

Donice

Jonny uśmiechnął się, wkładając kartkę z powrotem do koperty. Ty też uważaj na siebie, Danice — pomyślał. — Może przynajmniej ty będziesz wspominała nas trochę ciepłej.

Interludium

Negocjacje dobiegły końca, traktat podpisano, ratyfikowano i zaczęto wprowadzać w życie, a euforia, jaka w ciągu ostatnich dwóch miesięcy cechowała prawie każde posiedzenie Najwyższego Komitetu, zaczęła powoli ustępować. Vanis D'arl był niemal pewien, że przewodniczący H'orme czekał tylko na tę chwilę, aby sprowadzić dyskusję na temat Kobr. Już wkrótce się okazało, że miał rację.

— Nie chodzi o to, że jesteśmy niewdzięczni czy traktujemy ich niesprawiedliwie — oznajmił uczestnikom posiedzenia przewodniczący tylko nieznacznie drżącym głosem.

Siedzący za nim D'arl wpatrywał się w jego plecy i uświadamiał sobie, jak bardzo ten stary człowiek musi być zmęczony. Był ciekaw, czy inni zebrani wiedzieli, ile nerwów i sił kosztowała go ta cała wojna... był też ciekaw, czy w związku z tym kiedykolwiek zrozumieją, jak ważna musiała to być sprawa, skoro zdecydował się przedstawić ją osobiście.

Spoglądając po ich twarzach, był pewien, że większość zgromadzonych nie miała o tym pojęcia. To przeświadczenie potwierdził już pierwszy mówca, jaki wstał, aby zabrać głos po zakończeniu przemówienia H'orme'a.

— Zechce pan wybaczyć to, co powiem, panie H'orme — zaczął, niedbałym gestem starając się okazać szacunek. — Myślę jednak, że członkowie komitetu mieli wiele okazji usłyszeć od pana, jak bardzo się pan troszczy o to, co stanie się teraz z Kobrami. Zapewne pamięta pan, że to pan nalegał, żebyśmy wymogli na wojsku wyjątkowo liberalne warunki werbunkowe. Gdybym był na pana miejscu, uznałbym za sukces fakt, że ponad siedemdziesiąt procent rekrutów zdecydowało się zostać Kobrami. Od komendanta Mendra i jego ludzi wiemy, ile posiadanego wyposażenia zabierze do cywila pozostałych dwadzieścia kilka procent, i doszliśmy do przekonania, że możemy zaakceptować plany wojska. Sugerowanie więc teraz, że powinniśmy nalegać, aby ci ludzie zostali jednak w wojsku, uważam za lekko... przesadzone.

Albo paranoidalne, bo z pewnością tak wszyscy zinterpretują to słowo — pomyślał D'arl. H'orme trzymał jednak w zanadru jeszcze jeden atut, i kiedy sięgnął po kartę magnetyczną z ułożonego obok niego stosu, D'arl mógł być pewien, że za chwilę go wykorzysta.

— Bardzo dobrze pamiętam wizyty komendanta Mendra, ale dziękuję za przypomnienie — odezwał się H'orme do swojego przedmówcy i skinął głową w jego stronę. — Postarałem się sprawdzić fakty i dane, które nam przedstawił.

Wsunąwszy kartę do czytnika, wystukał na klawiaturze pierwszą z wybranych sekwencji rozkazów i wyświetlił holograficzny obraz w taki sposób, aby mogli zobaczyć go wszyscy siedzący wokół stołu.

— Na wykresie widzicie państwo zmiany odsetka rekrutów, którzy ukończyli przeszkolenie Kobry, zostali wcieleni do wojska i wzięli udział w wojnie. Zmiany te przedstawiono w funkcji czasu. Różnymi kolorami zaznaczono wciąż ulepszane testy wstępne, jakim wojsko poddawało kandydatów.

Kilku ludzi zaczęło unosić brwi ze zdziwieniem.

— Chce nam pan powiedzieć, że nigdy nie wcielono do wojska więcej niż osiemdziesiąt pięć procent tych, którzy ukończyli szkolenie? — zapytała kobieta siedząca po drugiej stronie stołu. — Pamiętam, że kiedyś ta liczba wynosiła dziewięćdziesiąt siedem procent.

— To był odsetek tych, którzy okazywali się fizycznie i zdolni do pełnienia służby — odparł H'orme. — Pozostałych odrzucano ze względów psychologicznych. — No to co z tego? — odezwał się ktoś inny, wzruszając ramionami. — Nie istnieją metody absolutnie niezawodne. Najważniejsze, że wojskowym udało się wychwycić wszystkich tych, którzy ich zdaniem nie byli zdolni do pełnienia służby.

— Myślę, że przewodniczącemu chodzi o to, czy naprawdę udało się wychwycić wszystkich — odezwał się jeszcze inny członek komitetu.

— Wystarczy zapytać o to naocznych świadków z Silvern i Adirondack, co powinno...

— ...zająć wiele miesięcy — wpadł mu w słowo H'orme. — Tu chodzi jednak o coś więcej. Jeżeli państwo chcecie, możecie lekceważyć możliwość antyspołecznych ciągotek, jakim mogą ulegać przynajmniej niektóre Kobry. Czy jednak jesteście świadomi faktu, że zabierają do cywila swoje nanokomputery i to w dodatku z całym wojskowym oprogramowaniem?

Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w jego stronę.

— O czym pan mówi? Mendro przecież powiedział... — zaczął ktoś z zebranych.

— Mendro bardzo zręcznie uchylił się od odpowiedzi — odparł ponuro H'orme. — Jest jednak niezaprzeczalnym faktem, że nanokomputery nie mogą być przeprogramowane, a pozostawione nawet przez krótki czas w tym miejscu, w którym je implantowano, nie mogą potem zostać usunięte bez wywoływania rozległych urazów tkanki mózgowej, jaka później wokół nich narosła.

— Dlaczego nie powiedziano nam o tym wcześniej?

— Zapewne dlatego, że na początku wojsko bardzo potrzebowało Kobr i obawiało się, iż moglibyśmy sprzeciwić się lub chcieć zmodyfikować proponowane rozwiązanie. Potem zaś nie poruszano tego tematu, ponieważ i tak nikt nie mógł w tej sprawie niczego zrobić.

D'arl wiedział, że to wszystko było tylko częściowo zgodne z prawdą. Wszelkie dane na temat nanokomputerów znajdowały się we wstępnych propozycjach

dotyczących Kobr, ale oprócz H'orme'a nie znalazł się nikt, kto zechciałby się przekopywać przez dokumentację, by je znaleźć. Zapewne H'orme wolał nie ujawniać teraz tego faktu, aby móc w dogodnej dla siebie chwili zarzucić to zebrany.

Dyskusja wokół tego tematu toczyła się jeszcze przez jakiś czas, ale na długo przedtem, zanim się zakończyła, z początkowej euforii nie pozostało ani śladu. A jednak, o ile nowe poczucie rzeczywistości wzbudziło nadzieje D'arla, końcowy rezultat ponownie je pogrzebał. Wynikiem głosów dziewiętnaście do jedenastu członkowie komitetu postanowili nie wtrącać się do procesu demobilizacji Kobr.

— Powinieneś wiedzieć, że bezapelacyjne zwycięstwa są tak rzadkie jak światy z tlenem w atmosferze — strofował później D'arla H'orme w swoim biurze. — Zmusiliśmy ich do myślenia, do prawdziwego myślenia, a na tym etapie to wszystko, co się dało zrobić. Członkowie komitetu będą teraz bardzo uważnie obserwowali Kobry, a jeśli okaże się konieczne podjęcie jakichkolwiek działań, będzie to wymagało tylko nieznaczących nacisków z naszej strony.

— Całego tego zamieszania dałoby się uniknąć, gdyby na samym początku zapoznali się z programem szkolenia Kobr — mruknął D'arl.

— Nikt nie potrafi zwracać uwagi na wszystko — rzekł H'orme, wzruszając ramionami. — Poza tym działa tu ważny czynnik psychologiczny. Większość światów należących do Dominium Ludzi w zasadzie postrzega wojsko i rząd jako dwa elementy całości. Bez względu na to, czy komitet przyznaje się do tego, czy nie, jego zbiorowa podświadomość zawiera także małą częśćkę tego założenia. Ty i ja, którzy dorastaliśmy na Asgardzie, mamy coś, co określiłbym mianem większego poczucia rzeczywistości w kwestii tego, w jakich miejscach i w jakim stopniu cele stawiane sobie przez wojsko różnią się od naszych. Wojsko opracowało program szkolenia Kobr wyłącznie z myślą o wygraniu wojny. Każdy szczegół wyposażenia i treningu, włączając w to konstrukcję i oprogramowanie nanokomputerów, miał służyć tylko temu wąsko zdefiniowanemu celowi. Komitet powinien był pamiętać, że wszystkie wojny się kiedyś kończą, ale wtedy jakoś nikt się tym nie przejmował. Zamiast tego uznaliśmy za pewne, że wojsko o wszystkim pomyślało za nas. D'arl zabębnił dwoma palcami po oparciu krzesła.

— Może następnym razem rozważą wszystkie aspekty sprawy dokładniej — powiedział.

— Być może. Ale ja w to wątpię — odparł H'orme. Wyprostował się na krześle i głęboko westchnął. — No cóż, tak wygląda sytuacja i musimy się z tym pogodzić. Masz jakieś propozycje dotyczące naszego następnego kroku?

D'arl zacisnął usta. H'orme radził się go ostatnio coraz częściej i czy było to skutkiem zwykłego przemęczenia, czy też świadomej chęci wyrobienia u młodszego kolegi bystrości umysłu, tak potrzebnej u przywódcy, nie wróżyło niczego pomyślnego. D'arl wiedział, że już wkrótce ta odpowiedzialna funkcja, jaką pełnił H'orme, przejdzie w jego ręce.

— Powinniśmy zażądać od wojska listy z nazwiskami wszystkich demobilizowanych Kobr i miejscami, do których udają się po wojnie — odparł. — Później powinniśmy zorganizować lokalne punkty zbierania o nich danych i nakazać, żeby wszystkie istotne informacje trafiały bezpośrednio do pana. Zwłaszcza te, które będą dotyczyły popełnianych przez nich przestępstw i czynów nie mieszczących się w ogólnie akceptowanych normach. H'orme kiwnął głową.

— Zgadzam się. Proszę wyznaczyć kogoś, może Joromo, żeby od razu tym się zajął.

— Dobrze, proszę pana. D'arl wstał z krzesła.

— Myślę, że tym powinienem się sam zająć. Będę wtedy pewniejszy, że wszystko jest zrobione, jak trzeba. Na ustach H'orme'a zagościł cień uśmiechu.

— Starasz się brać pod uwagę obsesje, trapiące starego człowieka, D'arl — powiedział. — Doceniam to, ale sądzę, że wkrótce się przekonasz, a wraz z tobą i reszta komitetu, iż Kobry wywrą na Dominium o wiele większy wpływ, niż się obawiam.

Odwrócił się i popatrzył przez okno na rozciągającą się w dole panoramę miasta.

— Chciałbym tylko wiedzieć — dodał łagodnym głosem — jaki będzie ten wpływ.

Weteran: 2407

Popołudniowe słońce oświetlało ośnieżone szczyty odległych gór, kiedy wahadłowiec z lekkim tylko szarpnięciem zatrzymał się na betonowym pasie. Jonny wyłonił się z kabiny promu z wojskowym workiem zawieszonym na ramieniu i ciekawie się rozejrzał. Nigdy wcześniej nie miał okazji, aby dobrze zapoznać się z Horizon City, ale mimo to widział, jak bardzo miasto się zmieniło. Zauważył kilka nowych domów, a jeden czy dwa stare zniknęły. Także budynki samego portu lotniczego zostały zmodernizowane zgodnie z modą panującą obecnie na większych światach. Sprawiało to takie wrażenie, jak gdyby całe miasto usilnie się starało pozbyć piętna małego miasteczka z pogranicza. Od strony lasów i równin nie tkniętych jeszcze ręką ludzką wiał jednak pomocny wiatr, niosąc ze sobą słodko-kwaśne wonie, których żadne starania nie byłyby w stanie zmienić. Przed trzema laty Jonny prawie nie zwróciłby na nie uwagi; teraz jednak czuł się tak, jak gdyby cała planeta robiła wszystko, aby powitać go znowu w domu.

Zaciągnąwszy się głęboko aromatycznym powietrzem, zszedł na pas startowy i skierował się ku oddalonemu o sto metrów długiemu parterowemu pawilonowi z napisem "Urząd Celny Horizon City — Wejście". Otworzył drzwi i znalazł się w środku. Za niewysokim, sięgającym mu zaledwie do pasa kontuarem zobaczył uśmiechniętego mężczyznę.

— Dzień dobry, panie Moreau — odezwał się tamten na jego widok. — Witamy na Horizonie. Och, przepraszam, czy nie powinienem był raczej powiedzieć: panie ce-trzy Moreau?

— Nie, "pan" wystarczy — z uśmiechem odparł Jonny. — Jestem teraz cywilem, nie wojskowym.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął szybko tamten. Nie przestawał się uśmiechać, ale za jego oficjalną zyczliwością dało się zauważyć usilnie skrywane napięcie.

— Sądzę, że i pan się z tego cieszy — ciągnął. — Nazywam się Harti Bell i jestem tutaj nowym naczelnikiem straży celnej. Za chwilę powinni dostarczyć tu resztę pana rzeczy. Czy w tym czasie pozwoli mi pan rzucić okiem na to, co zawiera pana podręczny bagaż? To tylko formalność.

— Jasne.

Jonny zsunął pas z ramienia i położył worek na kontuarze. Lekki szmer serwowatorów, jaki podczas tego ruchu został zarejestrowany przez wewnętrzne części uszu, nałożył się nieprzyjemnym zgrzytem na mgielkę chłopięcych wspomnień.

Bell sięgnął po worek i szarpnął, chcąc pociągnąć go w swoją stronę. Worek przesunął się najwyżej o centymetr, za to Bell omal nie stracił równowagi. Spojrzawszy dziwnie na Jonny'ego, zrezygnował i otworzył bagaż w tym miejscu, w którym leżał.

Zanim miał czas skończyć inspekcję, w pomieszczeniu pojawiły się dwie należące do Jonny'ego torby. Bell przeszukał je także z zawodową wprawą, zapisał kilka informacji na komputerowym pulpicie i w końcu uniósł głowę, ponownie obdarzając Jonny'ego uśmiechem.

— Wszystko w porządku, panie Moreau — powiedział, — Formalnościom stało się zadość.

— Dzięki.

Jonny przewiesił ponownie worek przez ramię, a torby zestawił z kontuaru na podłogę.

— Czy Wypożyczalnia Transcape nadal funkcjonuje? Będzie potrzebny mi jakiś wóz, żeby dostać się do Cedar Lake.

— Oczywiście, ale przeniosła się o kilka domów dalej w kierunku wchodnim — powiedział urzędnik. — Czy życzy pan sobie, żebym zadzwonił po taksówkę?

— Nie, dziękuję. Przejdę się piechotą — rzekł Jonny i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Na bardzo krótką chwilę Bell zapomniał, iż ma się uśmiechać, potem jednak, niemalże z lękiem, ujął podawaną mu dłoń i uściśnął. Puścił ją tak szybko, jak uznał, że może to zrobić, nie okazując się nieuprzejmym.

Podniósłszy torby z podłogi, Jonny skinął Bellowi głową i wyszedł z pawilonu.

Burmistrz Teague Stillman pokręcił z wysiłkiem głową. Wyłączył komputerowy pulpit i patrzył, jak z ekranu znika strona dwusetna najnowszej oferty zagospodarowania dotychczas leżących odłogiem gruntów. Pomyślał, że nigdy nie przestanie zdumiewać go to, ile formularzy potrafi zapisywać rada miejska Cedar Lake — mniej więcej stronicę rocznie, licząc, rzecz jasna, na głowę każdego z szesnastu tysięcy obywateli tego miasta. Albo magnetyczne formularze znalazły jakiś sposób rozmnażania — pomyślał, przecierając energicznie zmęczone oczy — albo ktoś musi je importować. Tak czy inaczej za tym wszystkim muszą się kryć Troftowie.

Usłyszał pukanie do nie zamkniętych drzwi swego biura, uniósł głowę i zobaczył stojącego na progu radnego Sut-ona Frasera.

— Proszę, wejść — zaprosił go do środka. Fraser zrobił to, zamykając drzwi za sobą.

— Przeciągi? — zapytał domyślnie Stillman, kiedy tamten usiadł na jednym z przeznaczonych dla gości krzeseł.

— Przed kilkoma minutami dzwonił do mnie Harti Bell z urzędu celnego na lotnisku Horizon City — odezwał się Fraser bez jakiegokolwiek wstępu. — Jonny Moreau powrócił z wojny.

Stillman przez chwilę patrzył na Frasera, a potem wzruszył ramionami.

— Wcześniej czy później musiał to zrobić. Wojna przecież się skończyła. Większość żołnierzy wróciła do domów dawno temu.

— Ta-a, ale Jonny nie jest zwykłym żołnierzem. Harti twierdzi, że jedną ręką podniósł worek ważący co najmniej trzydzieści kilogramów. I to bez najmniejszego wysiłku. Ten dzieciak, gdyby go coś rozwścieczyło, mógłby z łatwością rozerwać dom na strzępy.

— Nie denerwuj się, Sut. Znam rodzinę Moreau. Jonny jest porządnym, spokojnym chłopcem.

— Był, chciałeś chyba powiedzieć — odparł ponuro Fraser. — Przez ostatnie trzy lata jest Kobrą. Mordował Troftów i patrzył, jak oni mordują jego przyjaciół. Któż może wiedzieć, w jaki sposób to się na nim odbiło?

— O ile nie różni się od innych żołnierzy, zapewne przepełniło go głęboką niechęcią do wojny. Nie sądzę jednak, aby oprócz tego wojna wywarła na nim jakieś inne piętno.

— Daj spokój, nie mówisz tego chyba serio, Teague. Ten chłopak jest niebezpieczny i to niezaprzeczalna prawda. Ignorowanie tego nie przyda ci się na nic.

— A przyda się nazywanie go niebezpiecznym? Co ty właściwie chcesz zrobić, wywołać panikę w mieście?

— Nie wierzę, żebym musiał ją wywoływać. Zapewne wszyscy obywatele czytali te idiotyczne doniesienia na temat Naszych Bohaterskich Oddziałów... Wszyscy wiedzą, jak bezwzględnie Kobry rozprawiły się z Troftami na Silvern i Adirondack.

Stillman westchnął.

— Posłuchaj — powiedział. — Przyznaję, że mogą być jakieś problemy z przystosowaniem się Jonny'ego do cywilnego życia. Prawdę mówiąc, czułbym się znacznie lepiej, gdyby postanowił zostać w wojsku. Ale tego nie zrobił. Czy ci się to podoba, czy nie, Jonny wrócił do domu, a my możemy albo uznać ten fakt, albo biegać po mieście i głosić koniec świata. Nie zapominaj, że on tam ryzykował życie, więc przynajmniej powinniśmy dać mu szansę zapomnieć o wojnie i stać się jednym ze zwykłych, przeciętnych obywateli.

— Ta-a. Może i masz rację — rzekł Fraser i pokręcił z powątpiewaniem głową. — To wcale nie będzie łatwe. Posłuchaj, skoro już u ciebie jestem, może byśmy tak napisali coś w rodzaju oświadczenia dla prasy na ten temat? Chociażby tylko po to, aby zapobiec szerzeniu się plotek.

— Dobry pomysł. No, rozchmurz się, Sut. Żołnierze wracali do domów od czasu, kiedy ludzkość wymyśliła wojny. Powinniśmy już dawno do tego się przyzwyczaić.

— Ta-a — burknął Fraser. — Tylko że pierwszy raz od czasów, kiedy miecze i szpady wyszły z mody, żołnierze zabierają do domów swoje uzbrojenie.

— Nic nie możemy na to poradzić. No, chodź, bierzmy się do pisania tego oświadczenia.

Jonny zatrzymał samochód przed domem, wyłączył silnik i westchnął z nie ukrywaną ulgą. Drogi łączące Horizon City z Cedar Lake znajdowały się w gorszym stanie niż kiedykolwiek. Nieraz w czasie jazdy Jonny żałował, że nie wydał trochę więcej pieniędzy na wynajęcie poduszkowca, chociaż tygodniowa opłata za jego użytkowanie była dwukrotnie wyższa od kosztów wynajmu pojazdu kołowego.

Na szczęście udało mu się dojechać z niewielkim tylko uszczerbkiem dla nerek, a przecież to liczyło się najbardziej.

Wysiadł z wozu i właśnie wyciągał z bagażnika rzeczy, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Odwrócił się i ujrzał uśmiechniętą twarz ojca.

— Witaj w domu, synu — powiedział Pearce Moreau.

— Cześć, tatku — odrzekł Jonny, uśmiechając się szeroko i ujmując wyciągniętą do niego rękę. — Co słychać?

Odpowiedź Pearce'a zagłuszył nagły trzask i pisk, dochodzący od strony frontowych drzwi. Jonny odwrócił głowę i ujrzał biegnącą w jego stronę przez środek trawnika dziesięcioletnią Gwen krzyczącą z radości, jakby wygrała główną nagrodę na loterii. Przykucnął, zwrócony twarzą ku niej, i szeroko rozłożył ramiona, a kiedy rzuciła się mu w objęcia, złapał ją w pasie i podrzucił w powietrze pół metra nad głowę. Jej radosny pisk zagłuszył westchnienie, z jakim Pearce nabrał gwałtownie powietrza w płuca. Jonny chwycił siostrę bez najmniejszego trudu i ostrożnie postawił ją na ziemi.

— Ależ ty wyrosłaś — odezwał się do niej. — Wkrótce będziesz za duża, żebym mógł cię tak podrzucać.

— To dobrze — odparła rezolutnie, z trudem łapiąc oddech. — Będiesz mógł mnie wtedy nauczyć siłowania się na rękę. A teraz chodź i obejrzyj mój pokój, co, Jonny?

— Za chwilę tam przyjdę — obiecał. — Muszę najpierw przywitać się z mamą. Jest w kuchni?

— Tak — odparł Pearce. — Gwen, idź teraz do siebie, dobrze? Chciałbym trochę pogadać z Jonnym.

— Dobrze, tatku — zaszczebotała.

Ścisnąwszy Jonny'ego za rękę, pognęła w stronę domu.

— Wytapetowała sobie ściany zdjęciami i wycinkami z gazet z ostatnich trzech lat — wyjaśnił Pearce, pomagając Jonny'emu wyjmować torby. — Wieszala tam wszystko, co tylko wpadło jej w ręce, a co miało cokolwiek wspólnego z Kobrami.

— A ty tego nie pochwalasz? — spytał Jonny.

— Czego? Że traktuje cię jak półboga? Wielkie nieba, ależ skądże! Dlaczego miałbym nie pochwalać?

— Bo wyglądasz na trochę zdenerwowanego.

— Ach, o to ci chodzi. Wiesz, myślę, że trochę się przestraszyłem, kiedy przed chwilą podrzuciłeś Gwen tak wysoko.

— Od jakiegoś czasu pomagam sobie serwomotorami — wyjaśnił cierpliwie Jonny, kiedy szli w stronę domu. — Naprawdę umiem korzystać ze swojej siły w bezpieczny sposób.

— Wiem, wiem. Do diabła, ja sam korzystałem z wyposażenia egzozkieletowego podczas wojny z Minthistami, kiedy miałem tyle lat, co ty teraz. Było jednak dość nieporęczne i nigdy nie dało się zapomnieć, że się je nosiło. Sądzę... no cóż, chyba się obawiałem, że możesz na chwilę przestać panować nad swoją siłą.

Jonny wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc, umiem ją kontrolować lepiej, niż ty kiedykolwiek umiałeś kontrolować swoją. Nie muszę mieć dwóch zestawów odruchów, ze wzmacniaczami siły i bez nich. Serwomotory i laminowane kości zostaną mi na całe życie. A zresztą, już dawno się do nich przyzwyczaiłem.

Pearce skinął głową.

— Jasne. — Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: — Posłuchaj, Jonny, jeżeli już o tym mówimy... Wojskowi przysłali nam list, w którym piszą, że "większość" waszego wyposażenia zostanie usunięta, zanim pozwolą wam wrócić do domów. O czym oni... to znaczy, co ci zostawili?

Jonny westchnął.

— Sam chciałbym, żeby wyliczyli to szczegółowo, zamiast bawić się w ciuciubabkę. Prawdę mówiąc, oprócz laminowanego szkieletu i serwomotorów zostawili mi nanokomputer, który teraz nie ma nic do roboty poza sterowaniem pracą serwomechanizmów, a także dwa lasery w czubkach małych palców dłoni. Nie mogli ich wymontować, nie amputując przy tej okazji samych palców. No i, rzecz jasna, pozostawili zasilacze serwomotorów. Wszystko inne: kondensatory miotacza energii elektrycznej, przeciwpancerny laser, broń soniczną usunięto.

Tak samo jak i system autodestrukcji, ale tego tematu najlepiej było nie poruszać.

— No, dobrze — odezwał się po chwili Pearce. — Przepraszam, że zacząłem rozmowę na ten temat, ale ja i matka byliśmy trochę niespokojni.

— Wszystko w porządku.

Dotarli w tym czasie do domu. Weszli do środka i udali się do sypialni, którą w ciągu ostatnich trzech lat miał do swojej wyłącznej dyspozycji Jame.

— A tak, przy okazji, gdzie jest Jame? — zapytał Jonny, stawiając bagaże obok swojego dawnego łóżka.

— Pojechał do New Persius po nową rurę do lasera od spawarki w warsztacie. Pozostała już tylko jedna i nie mogliśmy ryzykować, że i ona się zepsuje. Ostatnio bardzo trudno jest zdobyć zapasowe części, wiesz, to trochę wina wojny. — Strzelił palcami. — Słuchaj, a te małe lasery, które pozostawiono ci w palcach rąk, czy mógłbyś za pomocą nich spawać?

— Owszem, mogę spawać punktowo. Prawdę mówiąc, zaprojektowano je z myślą o obróbce metali.

— To świetnie. Może mógłbyś nam pomóc, zanim załatwimy te części zamienne? Co o tym sądzisz? Jonny przez chwilę się wahał.

— Hm... jeżeli mam być szczery, tatku, wolałbym tego nie robić. Nie mógłbym... no, lasery za bardzo przypominałyby mi o... innych rzeczach.

— Nie rozumiem — odezwał się Pearce, a na czole ze zdziwienia zaczęły mu się pojawiać zmarszczki. — Czyżbyś wstydził się tego, co zrobiłeś?

— Nie, jasne, że nie. Kiedy zaciągałem się do Kobr, bardzo dobrze wiedziałem, co mnie czeka, i patrząc teraz na to z perspektywy czasu, sądzę, że dałem z siebie wszystko, na co było mnie stać. Tylko że... ta moja wojna była inna od twojej, tatku. Zupełnie inna. Przez cały czas pobytu na Adirondack groziły mi niebezpieczeństwa, a także sam narażałem na niebezpieczeństwa innych ludzi. Gdybyś kiedyś musiał stawać oko w oko z Minthistami albo pomagać grzebać ciała niewinnych przechodniów, których jedynym grzechem było to, że przypadkiem znaleźli się na linii strzału... — rozluźnił napięte mięśnie krtani — zrozumiałbyś, dlaczego staram się zapomnieć o tym wszystkim. Przynajmniej na początku.

Pearce milczał przez chwilę. Później położył rękę na ramieniu syna.

— Masz rację, Jonny. Prowadzenie wojny z pokładu kosmicznego statku musiało bardzo się różnić od tego, co przeżyłeś. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zrozumieć, przez co przeszedłeś, ale przynajmniej będę się starał, jak mogę. Zgoda?

— Tak, tatku. Dziękuję.

— Nie ma za co. Teraz chodź, przywitasz się z matką. Później możesz pójść do Gwen i obejrzeć jej pokój.

Kolacja tego wieczoru była szczególnie uroczysta. Irena Moreau przygotowała ulubioną potrawę syna — nadziewane dzikie balis — a przy stole toczono beztróską rozmowę, bardzo często przetykaną wybuchami śmiechu. Jonny czuł, że pokój jest wprost przepelniony rodzinnym ciepłem i miłością, które otaczały całą ich piątkę niedostrzegalnym, ale chroniącym wszystkich kręgiem. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia Asgardu czuł się naprawdę bezpieczny. Nawet napięcie w mięśniach, o którym zdołał zapomnieć, zaczęło ustępować.

Większość czasu spędzonego przy kolacji zajęło pozostałym informowanie Jonny'ego, jak powodzi się innym ludziom w Cedar Lake, tak więc dopiero z chwilą, w której Irena podała kahve, rozmowa zaczęła kierować się na jego plany.

— Właściwie nie jestem jeszcze pewien — wyznał Jonny, ujmując w dłoń filiżankę z kahve i pozwalając, aby jej ciepło zaczęło przenikać palce. — Zastanawiałem się, czy mógłbym wrócić na uczelnię i w końcu uzyskać ten dyplom inżyniera technik komputerowych. To jednak zajęłoby mi cały rok, a ja wcale nie palę się do tego, żeby znów studiować. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Po drugiej stronie stołu, siedzący naprzeciwko Jonny'ego Jamę powoli sęczył swoją kahve.

— A gdybyś się zdecydował pójść do pracy, to co chciałbyś robić? — zapytał.

— No cóż, myślałem o tym, żeby wrócić do pracy w warsztacie taty, ale widzę, że ty już zdążyłeś zadomowić się na moim miejscu.

Jamę spojrzał przelotnie na ojca.

— Do licha, Jonny, w warsztacie wystarczy pracy dla nas obu. Prawda, tatku?

— Jasne — odparł Pearce z niemal niedostrzegalnym wahaniem w głosie.

— Dziękuję wam — odezwał się Jonny, który to zauważył — ale wygląda na to, że nie macie za dużo sprzętu i nie potrafiłbym wam wiele pomóc. Myślałem, że może mógłbym popracować przez kilka miesięcy gdzieś indziej na własną rękę, dopóki nie znajdziemy środków na zakup wyposażenia, które by starczyło dla trzech. Dopiero jeśli się okaże, że i zamówień jest dostatecznie dużo, mógłbym przyjść i pracować razem z wami. Pearce kiwnął głową.

— Myślę, że utrafiłeś w sedno, Jonny. Sądzę, że to właśnie powinieneś zrobić.

— A więc powróćmy do pierwszego pytania — przypomniał Jamę. — Co właściwie teraz zamierzasz?

Jonny przez chwilę trzymał przy ustach filiżankę, rozkoszując się głębokim, miętowym aromatem napoju. Kahve podawana w wojsku miała nawet odpowiedni smak i zawierała właściwą porcję środków pobudzających, ale nie czuło się w niej ani odrobiny aromatu, który stanowił rozkosz dla zmysłów.

— W ciągu ostatnich trzech lat dowiedziałem się sporo na temat inżynierii budowlanej — powiedział po namyśle. — Znam się szczególnie dobrze na materiałach wybuchowych i niektórych maszynach wykorzystujących obróbkę dźwiękową. Myślę więc, że się zgłoszę do jakiejś ekipy zajmującej się budową dróg czy eksploatacją kopalń. Mówiliście, że mają swoje siedziby na południe od miasta.

— Nic nie szkodzi spróbować — rzekł Pearce i wzruszył ramionami. — Czy przedtem nie chciałbyś jednak chociaż przez kilka dni odpocząć?

— Nie — odparł Jonny. — Pojadę tam jutro rano. Dziś wieczorem natomiast chciałbym pojeździć trochę po mieście i przyjrzeć się wszystkim zmianom. Czy zanim wyjadę, mogę pomóc wam przy zmywaniu naczyń?

— Nie bądź śmieszny — uśmiechnęła się do niego Irena. — Odpręż się i ciesz się życiem.

— To znaczy tylko dzisiaj — poprawił ją Jame. — Bo jutro z rana zapędzą cię do wydobywania soli i każą ci harować razem z innymi nowymi niewolnikami.

Jonny wycelował w niego palec.

— Strzeż się ciemności nocy — powiedział z udawaną powagą. — Może się w nich kryć jakaś poduszka z wypisanym na niej twoim imieniem. — Odwrócił się w stronę rodziców. — A zatem mogę jechać? Załatwić wam coś w mieście?

— Właśnie dzisiaj robiłam zakupy — odpowiedziała mu Irena.

— Jedź i niczym się nie martw — dodał Pearce.

— Wróć wcześniej — obiecał Jonny, dopił ostatni łyk kahve i wstał od stołu. — Świetna kolacja, mamó. Bardzo dziękuję.

Opuścił pokój i skierował się do drzwi wyjściowych. Ku swojemu zdziwieniu jednak stwierdził, że idzie obok niego Jame.

— Wybierasz się ze mną? — zapytał go Jonny.

— Tylko do samochodu — odparł Jame. Szedł jednak w milczeniu, dopóki nie znaleźli się za drzwiami.

— Zanim odjedziesz, chciałem ci zwrócić uwagę na dwie sprawy — powiedział, kiedy szli przez trawnik.

— Dobra, wal.

— Sprawa pierwsza. Myślę, że powinieneś bardziej uważać z tym wskazywaniem palcem innych ludzi w taki sposób, w jaki wycelowałeś go we mnie przed kilkoma minutami. Zwłaszcza wtedy, kiedy jesteś rozżłoszczony albo kiedy mówisz poważnie.

Jonny zamrugnął oczami.

— Hej, nie miałem na myśli niczego złego. Przecież tylko żartowałem.

— Ja to wiem i nic sobie z tego nie robię. Inni jednak, którzy nie będą cię znali tak dobrze, mogą dać na ten? widok nurka pod stół.

— Nie rozumiem. Dlaczego? Jamę wzruszył ramionami, ale nie przestał patrzeć bratu, w oczy.

— Bo trochę się ciebie boją — wypalił prosto z mostu. — Każdy obywatel czytał dość dokładnie gazety, a w nich szczegółowe doniesienia z frontu walki. Wszyscy więc dobrze wiedzą, do czego może być zdolny Kobra.

Jonny skrzywił się z niesmakiem. Nie podobało mu się, że cała ta pogawędka zaczynała coraz bardziej wyglądać na powtórzenie jego ostatniej, dziwacznej rozmowy z Iloną Linder.

— A do czego możemy być zdolni? — odezwał się nieco ostrzejszym tonem, niż to było konieczne. — Pozbawiono nas prawie całego uzbrojenia, a gdyby nawet nie, to i tak z pewnością nie użyłbym go przeciwko ludziom. A zresztą ogarniają mnie mdłości na samą myśl o walce.

— Wiem. Ale inni o tym nie wiedzą, a przynajmniej nie będą wiedzieli na początku. Nie sądzę, że martwię się na zapas. Ja wiem, o czym mówię, Jonny. Od czasu zakończenia wojny rozmawiałem z wieloma chłopakami i mówię ci, że kilku z nich bardzo się boi spotkania z tobą. Byłbyś zdziwiony, ilu jest wręcz przerażonych, że możesz chować w sercu szkolne urazy i teraz będziesz zamierzał wyrównać porachunki.

— Daj spokój, Jame. To wszystko, co mówisz, jest po prostu śmieszne!

— To samo powtarzałem tym, którzy wypytywali mnie o ciebie, ale nie sądzę, żebym potrafił ich przekonać. Co gorsza, wygląda mi na to, że i niektórzy rodzice zaczęli podzielać ich obawy i... do licha, sam wiesz, jak szybko rozchodzą się u nas wieści! Myślę, że przynajmniej przez jakiś czas powinienes być uprzedzająco miły i greczny... nieszkodliwy jak gołąbek o spiłowanych pazurkach. Udowodnij im, że z twojej strony nie mają się czego obawiać.

Jonny parsknął.

— To wszystko jest po prostu śmieszne, ale zgoda. Jeśli chcesz, mogę być takim grzecznym chłopcem.

— Świetnie. — Jame zawahał się przez chwilę. — A teraz druga sprawa. Czy przypadkiem nie chciałeś jeszcze dziś wieczorem zatrzymać się na chwilę i wpaść do Alyse Carne?

— Przyznaję, że taka myśl przyszła mi do głowy — odparł ze zdziwieniem Jonny, starając się zorientować, o co bratu chodzi. — Dlaczego pytasz? Czy się przeprowadziła?

— Nie, wciąż mieszka w tym samym domu przy ulicy Blakeleya. Myślę jednak, że byłoby dobrze, gdybyś uprzedził ją o swojej wizycie. Choćby po to, by się upewnić, że... nie jest zajęta.

Jonny poczuł, jak oczy zwęziły mu się w szparki.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał. — Czy to znaczy, że wyszła za mąż?

— Och, nie, jeszcze do tego nie doszło — odparł szybko Jame. — Ale ostatnio często widuje się z Doanem Etherege, a on... no, cóż, nazywa ją swoją dziewczyną.

Jonny zacisnął usta i ponad ramieniem Jame'a popatrzył na dobrze znany krajobraz wokół domu. Właściwie nie miał prawa mieć żalu do Alyse za to, że w czasie jego nieobecności znalazła sobie kogoś innego. Przed jego wyjazdem z Cedar Lake nie doszło między nimi do niczego zobowiązującego. Poza tym trzy lata to bardzo długi okres, gdyby wtedy obydwójce traktowali swój związek poważniej. A jednak, kiedy sprawy na Adirondack zaczynały przybierać szczególnie niekorzystny obrót, wracał myślami do Alyse niemalże tak często jak do swojej rodziny. Wspominał ją zwłaszcza wtedy, kiedy chciał uwolnić umysł od obrazów pełnych krwi i śmierci. Liczył na to, że mając ją u swego boku, o wiele łatwiej będzie mógł przystosować się znów do cywilnego życia. Oprócz tego, czymś nie do pomyślenia byłoby ustępowanie przed takim mydłkiem jak Doane Etherege.

— Myślę, że będę musiał z tym coś zrobić — odezwał się z namysłem. Widząc zaś wyraz twarzy Jame'a, uśmiechnął się z przymusem i dodał: — Nie martw się, zrobię to w cywilizowany sposób.

— No cóż, w takim razie życzę powodzenia. Muszę jednak cię ostrzec, że Doane nie jest już takim mięczakiem jak przed wojną.

— Będę o tym pamiętał.

Jonny przesunął dłonią po gładkiej powierzchni dachu samochodu. Wszystko wokół niego wydawało się znajome, a jednak, w jakiś dziwny sposób, było całkiem obce. Wojskowy instynkt szepnął mu, że może lepiej byłoby zostać w domu i dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co w czasie ostatnich trzech lat się zmieniło.

Jame zdawał się wyczuwać dręczącą go niepewność.

— Nie zmieniłeś zamiaru? — zapytał. — Wciąż uważasz, że powinienesz jechać? Jonny przygryzł wargę.

— Tak... myślę, że warto się trochę rozejrzeć. Otworzył drzwi samochodu, wślizgnął się do środka i zapuścił silnik.

— Nie czekajcie na mnie — dodał, kiedy już miał odjechać.

Nie po to walczyłem przez trzy lata z Troftami — powiedział sobie stanowczo — żebym teraz miał się ukrywać przed znajomymi.

A jednak jego wyprawa do Cedar Lake przypominała bardziej rekonesans po terytorium zajęтым przez wroga niż triumfalne powitanie, jakie sobie wyobrażał. Objechał całe miasto, ale ani razu nie wysiadł z wozu i nawet nie machał ręką na powitanie ludzi, których znał. Zrezygnował z przejechania ulicą, przy której mieszkała Alyse Carne. Zanim upłynęła godzina, wrócił do domu.

Od wielu lat jedynym szlakiem lądowym łączącym Cedar Lake z położoną na południe od miasta niewielką rolniczą wspólnotą zwaną Boyar była wyboista, polna droga, biegnąca wzdłuż widniejącego na zachód od niej łańcucha Shard Mountains, tak wąska, że z trudem mogły wyminąć się na niej dwa pojazdy. Przez dłuższy czas nikogo to nie raziło, gdyż po prostu w samym Boyar i w jego okolicach nie było niczego, czego potrzebowaliby obywatele Cedar Lake. Produkowane przez mieszkańców Boyar płody rolne transportowano do Horizon City inną drogą, przechodzącą przez New Persius. Tą samą drogą, tylko w odwrotnym kierunku, dostarczano do Boyar towary potrzebne do życia tamtejszym ludziom.

Teraz jednak to wszystko się zmieniało. Na północ od Boyar odkryto duże złoża pollucytu bogatego w rudy cezu i razem z przedsiębiorstwami zajmującymi się wydobywaniem rudy pojawiły się w okolicy firmy trudniące się budowaniem autostrad. Z rozmaitych technicznych względów zakłady wytwórcze cezu ulokowano w pobliżu Cedar Lake i właśnie budowano do nich szeroką, wielopasmową autostradę niezbędną do transportu rudy z kopalń.

Jonny odszukał brygadzystę odpowiedzialnego za budowę odcinka autostrady. Znalazł go obok wielkich granitowych skał piętrzących się w poprzek planowanej drogi.

— Pan nazywa się Sampson Grange? — zapytał.

— Tak. A ty, chłopcze?

— Jonny Moreau. Pan Oberland przysłał mnie do pana w sprawie pracy. Mam doświadczenie w posługiwaniu się laserami, materiałami wybuchowymi i infradźwiękowymi urządzeniami burzącymi.

— No, cóż, przykro mi, chłopcze, ale... zaczekaj no chwilkę. Jonny Moreau, powiedziałaś, ten Kobra?

— B y ł y Kobra, ten sam.

Grange przesunął w drugi kąt ust trzymaną w nich wykałaczkę, a jego oczy zamieniły się w szparki.

— Tak, myślę, że możesz mi się przydać. Płaca według szczebla ósmego naszego taryfikatora.

— Świetnie. Serdeczne dzięki — rzekł Jonny i kiwnął głową w kierunku granitowych skał. — Chce pan, żebym usunął to z drogi?

— Tak, ale jeszcze nie w tej chwili. Na razie chodź ze mną.

Poprowadził Jonny'ego do miejsca, w którym grupa ośmiu mężczyzn trudziła się przy zdejmowaniu z ciężarówki wielkich bel papy i układaniu ich na poboczu drogi. Każdą belę dźwigało trzech albo czterech ludzi, sapiąc i pocąc się z wielkiego wysiłku.

— Chłopcy, to jest Jonny Moreau — odezwał się do nich Grange. — Jonny, ten ładunek musi zostać zdjęty jak najszybciej, żeby ciężarówka mogła pojechać po następny. Pomóż im trochę, zgoda?

Nie czekając na odpowiedź, udał się w inne miejsce.

Jonny z ociąganiem wszedł na samochód. To nie była praca, o jakiej marzył. Mężczyźni przyglądali mu się niechętnie, a w pewnej chwili usłyszał słowo "Kobra" szepnięte przez jednego z nich kilku innym, którzy w pierwszej chwili go nie poznali. Zdecydowany nie zwracać uwagi na takie głupstwa, Jonny nachylił się nad najbliższą belą.

— Czy ktoś z was mógłby pomóc mi ją podnieść? — spytał. Nikt nawet się nie poruszył.

— Z pewnością byśmy tylko przeszkadzali — burknął jeden, rosty i krzepki, który wyraźnie szukał pretekstu do awantury.

Jonny starał się nie podnieść głosu.

— Słuchajcie, ja tylko chcę zrobić to, po co mnie tu przysłano.

— To całkiem uczciwe — odezwał się inny sarkastycznym tonem. — Przede wszystkim to za nasze pieniądze zrobiono z ciebie supermana. Myślę też, że Grange płaci ci tyle, co czterem zwykłym pracownikom. No i dobrze. My zdjęliśmy sami te

pierwsze osiem bel, to i ty możesz teraz zdjąć sam te pięć ostatnich. Tak będzie sprawiedliwie, nie, chłopaki?

Pomruk oznaczał zgodę pozostałych.

Jonny przez kilka chwil tylko spoglądał na ich twarze. Starał się dostrzec objawy współczucia lub poparcia, ale ujrzał jedynie podejrzliwość i nie skrywaną wrogość.

— Niech wam będzie, jak chcecie — odezwał się cichym głosem.

Ugiąwszy lekko nogi w kolanach, schylił się, sięgnął po belę papy i podniósł ją na wysokość piersi. Ze skowytem serwomotorów słyszczanym tylko przez niego wyprostował się i ostrożnie przeniósł belę na tył ciężarówki. Położył ją tam, zeskoczył na ziemię, ujął belę ponownie i ułożył na poboczu drogi obok pozostałych. Potem wskoczył znów na ciężarówkę i zabrał się do następnej.

Żaden z mężczyzn się nie poruszył, ale wyraz ich twarzy się zmienił. Teraz malowało się na nich przerażenie. Jonny z goryczą uświadomił sobie, że dla tych ludzi czymś zwykłym musiało być oglądanie filmów o Kobrach rozprawiających się z Troftami, a czymś całkiem innym spotkanie się z jednym z nich oko w oko i patrzenie, jak bez widocznego wysiłku podnosi dwustukilogramowy ciężar. Przeklinając w duchu, skończył przenosić bele tak szybko, jak potrafił, i udał się na poszukiwanie Sampsona Grange'a.

Znalazł go zajętego inwentaryzacją worków z mieszaniną utwardzacza i natychmiast otrzymał od niego polecenie przenoszenia ich w te miejsca, w których były potrzebne. To zadanie i kilka jemu podobnych zajęły Jonny'emu i następne godziny. Pracował, starając się nie rzucać ludziom w oczy, ale wieść o jego zatrudnieniu obiegła wszystkich lotem błyskawicy. Większość pracowników nie odnosiła się do niego równie wrogo jak ci z pierwszej grupy, ale wciąż czuł się tak, jak gdyby występował na estradzie. Miał przecucie, że te ukradkowe spojrzenia i zdawkowa uprzejmość już wkrótce doprowadzą go do szewskiej pasji.

W końcu, niemal w samo południe, nie wytrzymał i ponownie odszukał brygadziestę.

— Panie Grange, nie lubię, jak traktuje się mnie jak popychadło — odezwał się gniewnie. — Zgodziłem się pracować przy kruszeniu skał za pomocą materiałów wybuchowych. Zamiast tego każe mi pan nosić ciężary jak jucznemu mułowi.

Grange przesunął wykałaczkę do kącika ust i zmierzył Jonny'ego chłodnym wzrokiem.

— Przyjąłem cię do pracy za wynagrodzeniem według ósmego szczebla — powiedział. — Nic nie mówiłem o tym, co będziesz miał do roboty.

— To granda. Wiedział pan, jakiej pracy szukam.

— No i co z tego? Co, do diabła — chciałbyś może mieć jakieś przywileje? Są tu ludzie z uprawnieniami do pracy przy kruszeniu skały. Czy mam kazać im robić coś innego, a zamiast nich wziąć do pracy żółtodzioba, który nigdy tego nie robił?

Jonny otworzył usta, ale słowa, jakie zamierzał powiedzieć, nie chciały mu przejść przez gardło.

Grange tylko wzruszył ramionami.

— Posłuchaj, chłopcze — powiedział bez urazy w głosie. — Naprawdę nie mam nic przeciwko tobie. Do diabła, sam jestem weteranem. Ale ty nie masz ani uprawnień do tej pracy, ani żadnego doświadczenia przy budowie autostrad. Jasne, przyda się nam każdy niewykwalifikowany pracownik, a ty ze swoimi wzmacnianymi kośćmi i serwomotorami zwiększającymi siłę jesteś dla nas wart tyle, co dwóch innych. Dlatego płacę ci zgodnie ze szczeblem ósmym.

Więcej nie mogę, bo prawdę mówiąc, nie jesteś dla nas wart więcej. Twoja sprawa, czy zgadzasz się na to, czy nie.

— Dziękuję, ale nie — rzekł Jonny, zgrzytnąwszy zębami.

— Twoja sprawa.

Grange wyjął z kieszeni kartkę i coś na niej napisał.

— Zgłoś się z tym do naszego biura w Cedar Lake, a tam wypłacą ci należność za dzisiejszą pracę. I wróc do nas, jeżeli zmienisz zdanie.

Jonny wziął kartkę i odszedł, starając się nie zwracać uwagi na setki par oczu, wpatrujących się z napięciem w jego plecy.

Kiedy wrócił, dom był pusty, a Jonny bardzo się z tego powodu ucieszył. W czasie drogi powrotnej miał czas ochłonąć, a w tej chwili chciał zostać sam na sam ze swoimi myślami. Będąc Kobrą, nie przywykł do ponoszenia porażek. Jeśli Troftowie odparli jego atak, wycofywał się, ale zaraz starał się zaatakować ich w inny sposób. Tu jednak panowały inne reguły, a on nie potrafił dostosować się do nich tak szybko, jak oczekiwał.

Niemniej daleki był od przyznania się do porażki.

Sięgnął po wczorajszą kartę informacyjną i wystukał na niej kod rubryki działu ogłoszeń biura zatrudnienia. Większość oferowanych zajęć miała charakter najniżej płatny, manualny, ale znalazł wśród nich dość dużo takich, jakich szukał, wymagających od kandydata większych umiejętności. Usadowiwszy się wygodnie przed kartą z ogłoszeniami, sięgnął po notes i pisak, umieszczone poręcznie obok telefonu, i zaczął robić notatki.

Końcowa lista możliwych do zaakceptowania zajęć ciągnęła się prawie przez dwie strony. Większość popołudnia Jonny spędził na telefonowaniu. Była to czynność tyleż frustrująca, co pozbawiająca go wszelkich złudzeń, gdyż po jej zakończeniu okazało się, że tylko dwie firmy zechciały zaprosić go na rozmowę; obydwie zresztą na następny dzień rano.

Tymczasem zbliżyła się pora kolacji. Jonny wepchnął zapisane kartki do kieszeni i poszedł do kuchni, aby pomóc matce w przygotowaniach do posiłku.

Irena uśmiechnęła się na jego widok.

— Powiodło ci się w szukaniu nowej pracy? — zapytała.

— Trochę — odparł Jonny.

Matka przyjechała do domu kilka godzin wcześniej i mniej więcej wiedziała, jak radził sobie przy budowie autostrady.

— Na jutro rano mam wyznaczone dwie rozmowy wstępne: w Svetlanov Electronics i Outworld Mining. Miałem szczęście, że chociaż te dwie firmy zechciały mnie zaprosić.

Poklepała go po ramieniu.

— Nie martw się. Na pewno coś znajdziesz. Jakiś hałas dobiegający z za okna sprawił, że odwróciła się i wyrzała.

— Wrócili twój ojciec i Jame — powiedziała. — O, i jeszcze ktoś przyjechał razem z nimi.

Jonny także wyrzał. Tuż za samochodem Pearce'a i Jame zatrzymał się jakiś drugi. Jonny ujrzał wysiadającego z niego wysokiego, nieco otyłego mężczyznę, który wraz z pozostałymi skierował się do drzwi domu.

— Twarz wydaje mi się znajoma, ale nie wiem kto to — wyznał matce.

— To Teague Stillman, burmistrz — odparła, nie kryjąc zdziwienia. — Ciekawa jestem, co go tutaj sprowadza.

Zdjęła fartuch, wytarła ręce i pospieszyła do salonu. Jonny udał się tam także, chociaż znacznie wolniej, i zajął miejsce pod ścianą naprzeciwko drzwi wejściowych.

Te zaś otworzyły się w chwili, gdy Irena do nich doszła.

— Cześć, kochanie — powitał żonę Pearce, wpuszczając pozostałe dwie osoby do środka. — Teague wpadł do naszego warsztatu tuż przed zamknięciem, więc poprosiłem go, żeby wstąpił do nas choć na kilka minut.

— Jak to miło z twojej strony — powiedziała Irena uprzejmie, jak każda dobra gospodyni. — Nie byłeś u nas od tak dawna. Jak się miewa Sharene?

— Dziękuję, bardzo dobrze — odparł Stillman — chociaż i ona twierdzi, że nie widuje mnie ostatnio w domu zbyt często. Wpadłem, bo prawdę mówiąc, chciałem zobaczyć, czy Jonny już wrócił z pracy.

— Tak, już jestem — odezwał się Jonny, wychodząc ze swojego miejsca. — Gratuluję panu zwycięstwa w ostatnich wyborach, panie Stillman. Żałuję, że nie zdążyłem na czas, żeby wziąć w nich udział.

Stillman roześmiał się, wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Jonny'ego. Wyglądał na odprężonego i zadowolonego z życia... a jednak w kącikach jego oczu Jonny ujrzał tę samą podejrzliwość, którą widział u robotników pracujących przy budowie drogi.

— Wysłałbym ci kartę do głosowania, gdybym wiedział, gdzie przebywasz — zażartował burmistrz. — Witaj w domu, Jonny.

— Dziękuję.

— Może usiądziemy? — zaproponowała Irena.

Przeszli do salonu i zaczęli zajmować miejsca, nie przestając rozmawiać o mało ważnych sprawach. Jonny stwierdził, że Jame nie odezwał się dotychczas ani słowem, lecz usiadł w kącie z dala od pozostałych.

— Chciałem z tobą pogadać, Jonny — zaczął Stillman, kiedy wszyscy usiedli. — Rada miejska i ja chcielibyśmy urządzić na twoją cześć coś w rodzaju ceremonii powitalnej. Odbyłaby się w przyszłym tygodniu w parku miejskim. Nie byłoby to nic spektakularnego, ot, zwyczajna defilada aulicami miasta, kilka przemówień, przy czym ty nie musiałbyś niczego mówić, gdybyś nie chciał, a później jakiś pokaz ogni sztucznych i wieczorna parada z pochodniami. Co sądzisz na ten temat?

Jonny zawahał się, ale doszedł do wniosku, że nie było sposobu oznajmienia w bardziej dyplomatyczny sposób swojej woli.

— Bardzo dziękuję, ale prawdę mówiąc, wolałbym, aby pan tego nie robił. Uśmiech Pearce'a zniknął.

— Co to znaczy, Jonny? — zapytał. — Dlaczego?

— Ponieważ nie chciałbym defilować przed tłumem wiwatujących ludzi i patrzeć, jak mnie pozdrawiają. Czułbym się strasznie głupio i... no, czułbym się głupio. Nie chcę, żeby z mego powodu ktokolwiek zawracał sobie głowę.

— Jonny, miasto chciałoby tylko uhonorować cię za to, co zrobiłeś — odezwał się łagodnie Stillman, jakby w obawie, że Jonny mógłby się rozżłościć.

Na samą myśl o tym Jonny poczuł, że zaczyna się irytować.

— Największy honor, jaki może wyświadczyć mi miasto, to przestać traktować mnie jak potwora — wypalił bez owijania w bawełnę.

— Synu — odezwał się ostrzegawczo Pearce.

— Tatku, jeżeli Jonny nie chce żadnych oficjalnych szopek, to sądzę, że nie ma o czym dyskutować — wtrącił się Jame ze swojego kąta. — Chyba że zamierzacie przywiązać go do mównicy.

Na kilka chwil w pokoju zapadła niezręczna cisza. Później Stillman poruszył się niespokojnie na krześle.

— No cóż, jeżeli Jonny tego nie chce, nie ma o czym mówić — powiedział. Wstał, a wraz z nim wstali wszyscy inni. — Myślę, że na mnie już czas — dodał.

— Pozdrów od nas Sharene — odezwała się Irena.

— Dziękuję — rzekł Stillman i kiwnął głową. — Będziemy musieli kiedyś się umówić i pogadać trochę dłużej. Do widzenia i jeszcze raz, Jonny: witaj w domu.

— Odprowadzę cię do samochodu — powiedział Pearce, wyraźnie rozgniewany, choć robił wszystko, co mógł, by tego nie okazywać.

Obydwaj mężczyźni wyszli. Irena spojrzała pytająco na Jonny'ego, ale zanim wyszła do kuchni, powiedziała tylko:

— Chłopcy, umyć ręce i zawołajcie Gwen. Kolacja będzie gotowa lada chwila.

— Jak się czujesz? — zapytał cicho Jame, kiedy matka wróciła do kuchni.

— W porządku. Dziękuję, że mnie poparłeś — odparł Jonny i pokręcił głową. — Oni naprawdę niczego nie rozumieją.

— Ja też nie za bardzo. Czy to ma jakiś związek z tym, co powiedziałem ci wczoraj, że ludzie się ciebie boją?

— To nie ma z tym nic wspólnego, Jame. Ludzie z Adirondack także się nas bali... no, przynajmniej niektórzy. Ale pomimo to... — Westchnął. — Posłuchaj, Horizon znajduje się na drugim końcu Dominium w stosunku do miejsc, w których toczyła się wojna. Troftowie nawet w najbardziej zaawansowanym stadium podbojów nie zbliżyli się tutaj bardziej niż na pięćdziesiąt lat świetlnych. Jak mógłbym przyjmować hołd od ludzi, którzy nawet nie wiedzą, dlaczego wiwatują? Uważam, że gdybym się na to zgodził, postąpiłbym nieuczciwie. — Odwrócił głowę i zaczął wyglądać przez okno. — Kiedy Troftowie w końcu się wynieśli, na Adirondack z tej okazji urządzono uroczystą defiladę. Nie było w niej niczego sztucznego, niczego przymusowego... Widziało się, że kiedy ludzie wiwatowali, doskonale wiedzieli, dlaczego. Wiedzieli też, kogo w ten sposób chcieli uczcić. Nie my byliśmy tam najważniejsi, ale ci, których tam nie było. Zamiast triumfalnego marszu z pochodniami śpiewali requiem. — Odwrócił się i spojrzał bratu w oczy. — Jak mógłbym po tym wszystkim patrzeć na pokaz ogni sztucznych w Cedar Lake?

Jame położył rękę na ramieniu Jonny'ego i lekko skinął głową.

— Pójdę zawołam Gwen — powiedział po chwili.

Do domu wrócił Pearce. Nie odezwał się ani słowem, tylko z dezaprobatą spojrzał na syna, a potem udał się do kuchni. Westchnąwszy głęboko, Jonny poszedł umyć ręce. Kolację zjedli niemal w całkowitej ciszy.

Obie rozmowy wstępne następnego ranka okazały się kompletnym fiaskiem. Od pierwszych słów było pewne, że obydwaj pracodawcy zgodzili się na jego wizytę, aby nie sprawiać mu przykrości. Zgrzytając zębami, Jonny wrócił do domu i jeszcze raz zabrał się do studiowania karty informacyjnej z ogłoszeniami działu zatrudnienia. Tym razem nie mierzył tak wysoko i nowa lista, którą sporządził, zajęła mu prawie trzy i pół strony. Z uporem zabrał się do telefonowania.

Zanim Jame wszedł do pokoju, aby zawołać go na obiad, udało mu się zadzwonić do wszystkich pracodawców których sobie wynotował.

— Tym razem nikt nawet nie chciał zaprosić mnie na spotkanie wstępne — oświadczył bratu z niesmakiem, kiedy obaj szli do salonu, w którym siedzieli już pozostali. — W tym mieście nowiny rozchodzą się lotem błyskawicy.

— Daj spokój, Jonny, w mieście musi być przecież ktoś, kto się nie będzie przejmował tym, że jesteś Kobrą — odparł Jame.

— Może powinieneś spróbować zadowolić się czymś skromniejszym — stwierdził Pearce. — Praca niewykwalifikowanego robotnika nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

— A może mógłbyś być policjantem i patrolować ulice? — odezwała się Gwen. — To byłoby bardzo fajne. Jonny potrząsnął głową.

— Pamiętacie, na początku chciałem zostać zwykłym robotnikiem. Pracujący przy budowie autostrady ludzie albo się mnie bali, albo sadzili, że chcę im zaimponować.

— Ale gdyby poznali cię trochę lepiej, sprawy mogłyby przybrać inny obrót — powiedziała Irena.

— Albo gdyby lepiej wiedzieli, co zrobiłeś dla Dominium, szanowaliby cię trochę bardziej — dodał Pearce.

— Nie, tatku, to by nic nie dało.

Jonny powiedział ojcu wcześniej, dlaczego nie chciał, aby mieszkańcy Cedar Lake publicznie oddali mu hołd. Jego ojciec wysłuchał go i powiedział, że zrozumiał. Jonny jednakże wątpił, by tak było naprawdę, gdyż Pearce w dalszym ciągu starał się nakłonić syna do zmiany zdania.

— Zapewne byłbym dobrym policjantem, Gwen — zwrócił się do siostry — ale sądzę, że to przypominałoby mi za bardzo niektóre z tych rzeczy, jakie musiałem robić w wojsku.

— No to może wróciłbyś na uczelnię — zasugerowała Irena.

— Nie! — rzucił oschle Jonny, czując, jak znów ogarnia go irytacja.

W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Jonny odetchnął głęboko, starając się zmusić do zachowania spokoju.

— Słuchajcie, wszyscy staracie się mi pomóc, a ja naprawdę to doceniam. Ale skończyłem już dwadzieścia cztery lata i sam potrafię troszczyć się o swoje sprawy.

Gwałtownym ruchem położył widelec i wstał od stołu.

— Nie jestem głodny — powiedział. — Myślę, że dobrze mi zrobi świeże powietrze.

Kilka minut później jechał ulicą i zastanawiał się, co ma zrobić. Wiedział, że w śródmieściu otwarto niedawno nowe centrum rozrywki, ale nie miał nastroju na zabawę w towarzystwie dużej grupy zupełnie mu obcych ludzi. Przebiegł w myślach listę starych przyjaciół, ale zrobił to raczej z przyzwyczajenia, gdyż właściwie wiedział, dokąd naprawdę chce pojechać. Jamę co prawda mówił, że powinien zadzwonić do Alyse Carne, zanim do niej wpadnie, ale Jonny w tej chwili był w przekornym nastroju. Skręciwszy w najbliższą przecznicę, skierował pojazd ku ulicy Blakeleya.

Kiedy oznajmił swoje przybycie przez zainstalowany przy furtce domofon, usłyszał zdziwienie w głosie Alyse, ale gdy otwierała mu drzwi wejściowe, na jej twarzy nie dojrzał niczego prócz uśmiechu.

— Jonny, tak się cieszę, że cię widzę — odezwała się, wyciągając do niego rękę.

— Cześć, Alyse — powiedział, uściśnął jej dłoń, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. — Obawiałem się, że mogłaś o mnie zapomnieć przez te wszystkie lata, kiedy mnie nie było.

Jej oczy iskrzyły się z radości.

— To mało prawdopodobne — szepnęła... i nagle znalazła się w jego ramionach. Po dłuższej chwili delikatnie uwolniła się z jego objęć.

— Dlaczego nie mielibyśmy usiąść? — zapytała. — Musimy przecież nadrobić trzyletnie zaległości.

— Czy coś nie w porządku?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Wyglądasz na zdenerwowaną. Sądziłem, że może umówiłaś się z kimś na randkę. Na jej policzkach pojawił się rumieniec.

— Nie na dzisiaj wieczorem. Jak sądzę, wiesz już o tym, że spotykam się z Doanem?

— Wiem. Jak bardzo to jest poważne, Alyse? Uważam, że mam prawo wiedzieć.

— Lubię go — powiedziała, starając się wzruszeniem ramion pokryć ogarniającą ją zakłopotanie. — Myślę, że

w pewnym sensie starałam się w ten sposób pogodzić z możliwością, iż mógłbyś... nie wrócić. Jonny kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Spotkałem się z tym nieraz na Adirondack — przyznał. — Zwłaszcza u osób cywilnych, u których wypadło mi wówczas mieszkać.

Po twarzy Alyse przemknął ledwo zauważalny grymas.

— Przykro mi. W każdym razie... ta znajomość zaszła dalej, niż mogłam się spodziewać, a teraz, kiedy wróciłeś... — nie dokończyła zdania.

— Dzisiaj nie musisz podejmować żadnych decyzji — odezwał się po chwili ciszy. — Z wyjątkiem tej, czy chciałabyś spędzić ten wieczór ze mną.

Jej twarz wyraźnie się odprężyła.

— To nie będzie trudna decyzja. Czy mam zrobić ci coś do jedzenia, czy wystarczy, że przyrządzę ci kahve?

Rozmawiali prawie do północy, a kiedy Jonny odjeżdżał, czuł, że udało mu się odzyskać chociaż część tego zadowolenia, jakie odczuwał w chwili, kiedy po raz pierwszy znalazł się znów w Cedar Lake. Był całkiem pewien tego, że już wkrótce Doane Etherage usunie się posłusznie w cień. Wówczas, mając oparcie w Alyse i swojej rodzinie, będzie mógł znów się obracać w dobrze mu znanym świecie. Z głową zaprzątą planami na przyszłość, dojechał do rodzinnego domu i na palcach udał się do sypialni.

— Jonny? — dobiegł go w ciemnościach cichy szept brata. — Wszystko w porządku?

— W porządku, Jame — odparł również szeptem.

— Co słyhać u Alyse? Jonny zachichotał.

— Idź spać, Jame — powiedział.

— To świetnie. Dobranoc, Jonny.

Wszystkie jego wielkie plany waliły się w gruzy, jeden po drugim.

Z dręczącą regularnością kolejni pracodawcy oświadczały, że nie mają dla niego żadnego zajęcia. W końcu został zmuszony do podejmowania się fizycznych, najgorzej płatnych prac, których na początku tak bardzo starał się unikać. Nigdzie nie wytrwał jednak długo: nieufność i strach okazywane mu na każdym kroku przez ludzi, z którymi pracował, wytwarzały niezmiennie atmosferę posępnej wrogości, której Jonny nie umiał znieść dłużej niż przez kilka dni.

W miarę jak tracił nadzieję na znalezienie stałej pracy, jego sprawy z Alyse także zaczynały wyglądać coraz gorzej. Dziewczyna co prawda nadal spotykała się z nim dosyć chętnie, ale Jonny czuł, że dzieli ich teraz coś, czego przed jego wyjazdem nie było. Co gorsza, Doane odmówił wycofania się z pola walki i coraz agresywniej próbował konkurować z nim o jej czas i względy.

Z punktu widzenia Jonny'ego najgorsze jednak były niespodziewane kłopoty, jakie z jego powodu spadły na pozostałych członków rodziny. Wiedział, że jego rodzice i Jame nie przejmowali się ukradkowymi spojrzeniami czy szeptem wygłaszanych uwagami. Nic sobie nie robili z tego, iż zostali napiętnowani przez sam fakt, że byli spokrewnieni z Kobrą. Bardzo jednak bolało go serce na widok Gwen zamykającej się w sobie pod wpływem częściowo tylko nieświadomych okrutnych uwag jej rówieśników. Co najmniej kilka razy Jonny rozmyślał, czy nie powinien opuścić Horizonu i wrócić do czynnej służby, by uwolnić w ten sposób rodzinę od lawiny uwag, których mimowolnie stał się przyczyną. Taki czyn oznaczałby jednak przyznanie się do porażki, a to było coś, na co Jonny nie potrafił się zdecydować.

Mniej więcej w taki sposób przedstawiały się sprawy przez trzy miesiące aż do nocy, w której doszło do wypadku. Albo morderstwa, jak określali to inni.

Jonny siedział w zaparkowanym samochodzie i obserwował ostatnie promienie zachodzącego właśnie słońca. Czekał, aby opuściła go nagromadzona frustracja i złość i zastanawiał się, co powinien zrobić. Właśnie, trzasnąwszy drzwiami, wybiegł z domu Alyse po kolejnej kłótni, dziewiątej czy dziesiątej od chwili powrotu do Cedar Lake. Podobnie jak z jego pracą, sprawy z Alyse układały się coraz gorzej zamiast coraz lepiej. Inaczej jednak niż w przypadku pracy, za swoje sercowe kłopoty nie mógł winić nikogo oprócz siebie.

Słońce zdążyło zająć całkowicie, zanim Jonny poczuł, że może bezpiecznie prowadzić samochód. Najrozsądniejszym wyjściem byłoby, rzecz jasna, powrót do domu, ale reszta rodziny Moreau została na ten wieczór zaproszona na przyjęcie, a

Jonny z pewnych, trudnych do określenia przyczyn wzdragał się na myśl, że miałby być sam. Po namyśle doszedł do wniosku, że najbardziej potrzeba mu w tej chwili oderwania się od codziennych zmartwień. Uruchomiwszy silnik wozu, pojechał do śródmieścia, gdzie znajdowała się Raptopia, nowo uruchomione centrum rozrywkowe.

Jonny odwiedził kilka takich ośrodków na Asgardzie, zarówno przed odlotem na Adirondack, jak po powrocie. Sądząc po standardach tamtych miejsc, Raptopia z pewnością nie zaliczała się do najbardziej okazałych. Dysponowała zaledwie kilkunastoma salami i galeriami, z których każda oferowała klientom do wyboru różne rodzaje zmysłowych podniet. Wybór jednak ograniczał się do kombinacji rozrywek raczej tradycyjnych: muzyka, jedło i napitki, środki psychotropowe, narkotyki, gry, orgie świateł i termiczne kabiny. Ekstremalnych form uciech fizycznych i umysłowych, uosabianych przez prostytutki i zawodowych dyskutantów, Jonny z pewnym zdziwieniem nie zauważył.

Przez kilka minut zwiedzał kolejne sale, a potem zatrzymał się na dłużej w tej z bardzo głośną muzyką i jaskrawo migoczącymi światłami. W tych warunkach widzialność była bardzo słaba, a Jonny liczył na to, że dopóki nie będzie się rzucał ludziom w oczy, nie zostanie przez nikogo rozpoznany. Znalazłszy sobie miejsce na wielopoziomowej, pokrytej miękką wykładziną podłodze, usiadł i rozejrzał się po sali.

Muzyka była dobra, chociaż trochę przestarzała — te same utwory słyszał trzy lata wcześniej na Asgardzie. W miarę jednak jak światła i dźwięki zmywały mu umysł dobroczynną falą, Jonny czuł, że zaczyna powoli się odprężyć. Był tak zaabsorbowany tym uczuciem, że nie zwrócił uwagi na grupę hałaśliwych nastolatków, dopóki jeden z nich nie trącił go w plecy czubkiem buta.

— Siemasz, Kobra — odezwał się, gdy Jonny się odwrócił. — Co nowego?

— Mm... właściwie nic specjalnego — odparł przezornie Jonny.

Stwierdził, że grupa liczyła siedem osób: trzy dziewczyny i czterech chłopaków, odzianych w krzykliwe, modne ostatnio stroje, jakie spotkałyby się z dezaprobatą co bardziej konserwatywnych dorosłych mieszkańców Cedar Lake.

— Czy my się skądś już znamy? — zapytał. Dziewczyny zaczęły chichotać.

— Nie-e-e — przeciągając to słowo, odparł jeden z wyrostków. — Tak sobie tylko myśleliśmy, że wszyscy wokół powinni się dowiedzieć, jaki ważniak zaszczycił swą obecnością nowy lokal. Powiedzmy im to, co, chłopaki?

Jonny wstał powoli i odwrócił się do nich twarzą. Teraz dopiero mógł się zorientować, że cała siódemka miała szkliste oczy i przyspieszony oddech tak charakterystyczny dla nałogowych narkomanów.

— Nie sądzę, żeby to było konieczne — odparł.

— Chcesz się o to bić? — zapytał ten sam chłopak, stając w karykaturalnej pozie, mającej świadczyć o jego gotowości do walki. — No, dalej, Kobra. Pokaż nam, co potrafisz.

Jonny bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia z sali. Cała siódemka nastolatków, chichocząc, podążyła za nim. Tuż przed drzwiami dwóch najbardziej wygadanych wyrostków precyzyjnie się obok Jonny'ego i stanęło w drzwiach, uniemożliwiając mu przejście.

— Nie puścimy cię, dopóki nie pokażesz nam jakiejś sztuczki — oświadczył jeden.

Jonny spojrzał mu prosto w oczy, walcząc z chęcią rozbicia mu głowy o przeciwną ścianę. Zamiast tego tylko złapał obu wygadanych wyrostków za pasy od spodni, uniósł ich, a po chwili obrócił się i odstawił ich na bok. Lekkie pchnięcie sprawiło, że obydwaj przewrócili się na miękką wykładzinę.

— Radziłbym, żebyście tu zostali i bawili się dobrze przy muzyce — powiedział reszcie grupy, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Skok indyka — mruknął jeden z leżących chłopaków.

Jonny zlekceważył te słowa, które miały widocznie oznaczać jakąś zniewagę, i wyszedł z sali. Był przekonany, że tym razem już za nim nie pójdą. Nie poszli.

Cały nastrój tego wieczoru przepadł. Jonny spędził po kilka minut w innych salach, starając się odzyskać uczucie odprężenia, jakie ogarnęło go przed tym incydentem. Nie udało się, więc po mniej więcej kwadransie opuścił Raptopię na dobre i udał się w mroki nocy ku swojemu samochodowi zaparkowanemu nieco dalej po drugiej stronie ulicy.

Znalazł się naprzeciw wozu i właśnie wchodził na jezdnię, zamierzając ją przejść, kiedy nagle usłyszał cichy pomruk silnika jakiegoś samochodu. Odwrócił głowę i w tej samej chwili zobaczył, że kierowca pojazdu, dotychczas powoli jadącego za Jonnym przy krawężniku, włącza nagle oślepiające światła i z piskiem opon przyspiesza, kierując się wprost na niego.

Nie było czasu na myślenie czy na jakikolwiek ludzki odruch, ale Jonny żadnej z tych rzeczy nie potrzebował. Po raz pierwszy od chwili odlotu z Adirondack kontrolę nad jego ciałem przejął nanokomputer, nakazując wykonanie poziomego, sześciometrowego skoku, który przeniósł go na chodnik po drugiej stronie jezdni. Jonny wylądował na prawym barku i przetoczył się, zmniejszając w ten sposób siłę uderzenia. Nie ustrzegł się jednak od bolesnego rozbicia o ścianę domu. Atakujący go samochód przejechał tymczasem ulicą, ale kiedy mijał leżącego, z małych palców Jonny'ego wystrzeliły dwie nitki jaskrawego światła, trafiając w tylną i przednią oponę po prawej stronie wozu. Odgłos pękających dętek zagłuszył nawet warkot silnika, a pojazd, skręciwszy raptownie w bok, odbił się od dwóch innych samochodów i z głośnym hukiem roztrzaskał się o róg domu.

Czuąc ból w kilku miejscach, Jonny wstał i podbiegł do wraka. Nie zwracając uwagi na gromadzących się ludzi, starał się rozerwać zakleszczone drzwi pojazdu. Udało mu się dokonać tego w chwili, w której głośne wycie syreny oznajmiło przyjazd ambulansu. Okazało się jednak, że trzymał się daremnie. Kierowca samochodu już nie żył, kiedy go wyciągnięto, a pasażer zmarł z odniesionych ran w drodze do szpitala.

Byli to ci sami dwaj nastoletni chłopcy, którzy wcześniej w Raptopii szukali z Jonnym zwady.

Odgłos otwierających się drzwi zakłócił tok myśli burmistrza Teague'a Stillmana. Odwrócił się, rezygnując z podziwiania widoku porannego nieba, i ujrzał wchodzącego Suttona Frasera.

— Czy ty nigdy nie nauczysz się pukać? — zapytał z irytacją swego doradcę.

— Będiesz mógł popatrzeć sobie na niebo trochę później — odrzekł Fraser, przysuwając sobie krzesło do biurka i siadając. — Teraz musimy porozmawiać.

— Jonny Moreau?

— Zgadłeś. To już tydzień, Teague, jak doszło do tego wypadku, a wywołane nim napięcie wcale nie ustępuje. Mieszkańcy mojej dzielnicy wciąż pytają, dlaczego Moreau nie siedzi jeszcze za kratkami.

— Mówiliśmy już na ten temat, pamiętasz? Ci z Wydziału Porządku Publicznego w Horizon City dostali raport policjanta, patrolującego wówczas ulice miasta, i dopóki nie dojdą do wniosku, że było inaczej, musimy to traktować jako działanie w obronie własnej.

— Och, daj spokój. To właśnie w taki sposób dzieciaki bawią się w ten idiotyczny skok indyka. Dobrze, dobrze, zdaję sobie sprawę, że Jonny nie mógł tego wiedzieć. Ale czy ty wiesz, że strzelił do tego samochodu po tym, jak pojazd już go minął? Mam co najmniej trzech świadków, którzy widzieli to na własne oczy.

— Tak samo zresztą jak policjanci. Przyznaję, że tego nie rozumiem. Być może to ma coś wspólnego z jego wojskowymi odruchami...

— A to dobre — mruknął Fraser.

Na biurku Stillmana odezwał się brzęczyk interkomu.

— Panie burmistrzu, przyszedł jakiś pan Vanis D'arl i chce z panem porozmawiać — oznajmiła sekretarka.

Stillman popatrzył pytająco na Frasera, ale tamten tylko wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Możesz go do mnie przysłać — polecił w końcu Stillman.

Po chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł szczupły, ciemnowłosy mężczyzna. Zatrzymał się dopiero obok biurka. Jego wygląd i strój, a także sposób chodzenia świadczyły dobitnie, że jest obywatelem innego świata.

— Panie D'arl — odezwał się Stillman, kiedy on i Fraser wstali na powitanie gościa. — Jestem burmistrz Teague Stillman, a to jest mój doradca, Sutton Fraser. W czym moglibyśmy panu pomóc?

Stillman wyciągnął złotą szpilkę stanowiącą jego dowód tożsamości.

— Vanis D'arl, pełnomocnik przewodniczącego Najwyższego Komitetu Dominium Ludzi, Sarkiisa H'orme'a — powiedział, a w jego mowie można było usłyszeć obcy akcent.

Kątem oka Stillman zauważył, jak Fraser wyprężył się na baczność. On sam zaś poczuł, jak kolana zaczyna ogarniać mu jakieś dziwne drżenie.

— Jesteśmy zaszczytzeni, że mamy okazję pana poznać — odezwał się po chwili Stillman. — Czy zechciałby pan usiąść?

— Dziękuję.

D'arl usiadł na tym samym krześle, na którym przed chwilą siedział Fraser. Doradca przeniósł się na inne, ustawione nieco dalej od biurka, zapewne mając nadzieję, że nie będzie tak bardzo rzucać się w oczy.

— Moja wizyta ma w zasadzie charakter nieoficjalny, panie burmistrzu — zaczął D'arl. — Niemniej jednak wszystko, co powiem, powinien pan traktować jako poufne sprawy dotyczące Dominium. — Zaczekał, aż obydwaj mężczyźni kiwną głowami na znak zgody, a potem zaczął mówić dalej: — Przyjeżdżam tu prosto z Horizon City, gdzie oświadczone mi, że wszelkie zarzuty stawiane ce-trzy Jonny'emu Moreau mają zostać niezwłocznie wycofane

— Rozumiem — odparł Stillman. — Czy mogę zapytać, dlaczego jego sprawą interesuje się sam Najwyższy Komitet?

— Ce-trzy Moreau nadal podlega jurysdykcji wojska, ponieważ w każdej chwili może ponownie zostać wcielony do czynnej służby. Poza tym przewodniczący H'orme od samego początku interesuje się bardzo żywo wszystkim, co związane jest z projektem Kobra.

— Czy zna pan szczegóły tego wypadku, w który był zamieszany pan... mm, ce-trzy Moreau?

— Tak, i doskonale rozumiem wszystkie wątpliwości, jakie w tych okolicznościach możecie mieć, panowie, i mogą je mieć władze tej planety. Jednakże Moreau nie może być obarczany winą za to, że w tej konkretnej sytuacji zareagował tak, a nie inaczej. Oceniał, że został zaatakowany, i zrobił wszystko, co mógł, żeby odeprzeć atak.

— Jego odruch walki jest tak silny?

— Niezupełnie o to chodzi — rzekł D'arl i zawahał się przez chwile. — Niechętnie panom o tym wspominam, bo do niedawna stanowiło to jedną z wielu tajemnic wojska. Pragnę jednak, żeby panowie dobrze to zrozumieli. Czy nie zastanawiali się panowie kiedyś nad tym, co może oznaczać nazwa "Kobra"?

— Ależ... — zająknął się Stillman, zdziwiony nieoczekiwaną zmianą tematu rozmowy. — Zawsze sądziłem, że ma coś wspólnego z ziemskim jadowitym wężem.

— To też, ale właściwie jest to skrót oznaczający "Komputerowe Odruchy Bitewne Reaktywowane Automatycznie". Jestem pewien, że wiecie, panowie, o laminowanych kościach, sieci serwomotorów i innych urządzeniach. Być może także

słyszeliście coś o nanokomputerach implantowanych Kobrom tuż pod ich mózgami. Tu właśnie... zaczyna się... cały problem.

Musicie zrozumieć, że żołnierz, a zwłaszcza komandos działający na terytorium opanowanym przez wroga, potrzebuje zestawu odruchów bitewnych, jeżeli pragnie przeżyć. Treningi i ćwiczenia mogą zapewnić mu to, co potrzebne, ale po pierwsze, zazwyczaj trwają długo, a po drugie, mają swoje ograniczenia. Tak więc, ponieważ komputer miał być i tak niezbędny do sterowania pracą urządzeń i celowania, wyposażyliśmy go na stałe w program, zawierający zbiór odruchów.

U podstawy problemu leży fakt, że Moreau będzie reagował w sposób odruchowy, bez posługiwania się świadomością, na każdy wymierzony przeciwko niemu atak, który komputer uzna za groźbę dla życia. W tym przypadku, o którym mowa, wszystko świadczy o tym, że to właśnie się wydarzyło. Moreau uniknął początkowego zagrożenia, ale znalazł się w sytuacji nie gwarantującej mu przeżycia, w pozycji leżącej i pozbawiony osłony, został zatem zmuszony do użycia broni. Jednym z zadań, jakie ma do wykonania komputer, jest sterowanie pracą urządzeń strzelających. Musiał więc wiedzieć, że lasery w małych palcach rąk są jedyną bronią, jaką rozporządza. Skorzystał z niej, gdyż po prostu uznał to za jedyne wyjście.

W pokoju zapadła śmiertelna cisza.

— Proszę mnie poprawić, jeżeli jestem w błędzie — przerwał ją w końcu Stillman.
— Czy to znaczy, że wojsko uczyniło z Jonny'ego Moreau automat do zabijania, który będzie szerzył śmierć w każdej sytuacji, jaka będzie tylko wyglądała na atak? A potem pozwoliło mu iść do cywila, nie starając się nawet niczego w tym wszystkim zmienić?

— System został zaprojektowany w taki sposób, żeby zapewnić żołnierzowi ochronę na terenie zajęтым przez nieprzyjaciela — odparł D'arl. — To nie działa w sposób tak przypadkowy, jak pan zapewne sądzi. Jeżeli zaś chodzi o "pozwolenie" mu na powrót w tym stanie do cywila, to nie mieliśmy innego wyjścia. Komputer nie może być przeprogramowany ani też usunięty bez ryzyka uszkodzenia tkanki mózgowej.

— Niech mnie diabli! — wybuchnął Fraser, który w sposób oczywisty zapomniał, że w stosunku do władz Dominium powinien zachowywać się szacunkiem. — Co za cholerny idiota mógł wpaść na tak głupi pomysł?

D'arl odwrócił się w jego stronę.

— Najwyższy Komitet jest otwarty na każdą krytykę, panie Fraser — powiedział głosem, w którym dało się słyszeć cień urazy — ale pan wyraża swoją stanowczo zbyt emocjonalnie.

Fraser nie dał się jednak zbić z pantałyku.

— Mniejsza o to. Jak teraz, pana zdaniem, powinniśmy go traktować, jeżeli reaguje na atak w taki sposób? — Prychnął. — Też mi atak! Dwoje dzieciaków chcących tylko zabawić się jego kosztem!

— Niech pan sięgnie po rozum do głowy — odciął się D'arl. — Nie mogliśmy ryzykować, żeby żywy Kobra został pochwycony przez Troftów, a później odesłany

nam z przeprogramowanym komputerem. Kobry są przede wszystkim żołnierzami, a każdy element ich wyposażenia i uzbrojenia jest z wojskowego punktu widzenia absolutnie niezbędny.

— Czy nikomu nie przyszło na myśl, że kiedyś wojna się skończy? I że Kobry zechcą powrócić do domów, aby żyć jak normalni ludzie?

Być może w twarzy D'arla drgnął jakiś mały mięsień, ale jego głos nie stracił niczego ze swojej siły.

— Mniej nowoczesne uzbrojenie zapewne kosztowałoby Dominium przegranie wojny, a nawet jeśli nie, z całą pewnością więcej Kobr straciłoby życie. Tak czy inaczej, nie da się już tego zmienić, i jedyne, co panowie mogą zrobić, to nauczyć się z tym żyć. I wszyscy inni również.

Stillman uniósł brwi.

— Wszyscy inni? Jaki zasięg wobec tego ma ten problem?

D'arl zwrócił się ponownie w stronę burmistrza, jakby trochę zdziwiony faktem, że pozwolił sobie na taką niedyskrecję.

— Sprawa nie wygląda dobrze — przyznał w końcu. — Mieliliśmy nadzieję, że uda się nam zatrzymać w wojsku jak najwięcej Kobr, ale, rzecz jasna, żadnemu nie mogliśmy rozkazać, by został. W konsekwencji tego ponad dwustu zdecydowało się na pójście do cywila. Wielu z nich przeżywa teraz takie czy inne trudności z przystosowaniem się do normalnego życia. Staramy się im pomóc, ale to wcale nie jest takie proste. Ludzie się ich po prostu boją, a to zmniejsza skuteczność naszych starań.

— Czy można zrobić coś, by pomóc Jonny'emu?

D'arl wzruszył lekko ramionami.

— Tego nie wiem. Jego przypadek różni się od innych dlatego, że wrócił do małego miasteczka, w którym wszyscy wiedzą, kim był i co robił w wojsku. Być może pomogłoby mu przeniesienie go na inną planetę i danie mu nowego nazwiska. Chociaż i wtedy nie można wykluczyć, że ludzie kiedyś się dowiedzą. Siły, jaką dysponuje Kobra, nie da się nigdy na długo ukryć.

— Tak samo jak odruchów Kobry — rzekł Stillman i ponuro kiwnął głową. — Poza tym Jonny ma tu swoją rodzinę. Nie sądzę, żeby chciał się z nią rozstać.

— Właśnie z tego powodu nie nalegam, by go przeniesiono, chociaż w takich przypadkach jest to zazwyczaj proponowane rozwiązanie — stwierdził D'arl. — Większość Kobr pozbawiona jest takiego oparcia w rodzinie, jakie ma Moreau. Nie ukrywam, że ten fakt bardzo przemawia na jego korzyść. — Wstał od biurka. — Odlatuję jutro rano, ale w ciągu najbliższego miesiąca będę przebywał w zasięgu kilku dni lotu od Horizonu. Gdyby się coś wydarzyło, można się skontaktować ze mną za pośrednictwem biura gubernatora generalnego Dominium w Horizon City.

Stilbnan także podniósł się ze swojego krzesła.

— Ufam, że Najwyższy Komitet będzie się starał znaleźć jakieś rozwiązanie — oznajmił.

— Panie Stilhnan, pan przewodniczący H'orme jest bardziej zaniepokojony tą sytuacją od pana — odparł. — Pan widzi problem tylko przez pryzmat małego miasteczka, a my postrzegamy go z perspektywy siedemdziesięciu planet. Jeśli istnieje jakieś rozwiązanie, może pan być pewien, że je znajdziemy.

— A co mamy robić, dopóki go nie znajdziecie? — zapytał ponuro Fraser.

— Starać się, jak umiecie, rzecz jasna. Do widzenia panom.

Jame zatrzymał się przed drzwiami, nabrał powietrza w płuca i delikatnie zapukał. Nikt się nie odezwał. Uniósł więc dłoń, aby zapukać ponownie, ale się rozmyślił. Ostatecznie przecież to była także jego sypialnia. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Jonny siedział przy jego biurku z zaciśniętymi pięściami i wyglądał przez okno. Jame chrząknął.

— Cześć, Jame — powiedział Jonny, nie oglądając się za siebie.

— Czołem — odezwał się Jame, rozglądając się po sypialni.

Na biurku zauważył kilka kart magnetycznych wyglądających na formularze.

— Wpadłem powiedzieć, że obiad będzie gotowy za parę minut — oznajmił. Kiwnął głową w stronę blatu biurka. — Co robisz?

— Wypełniam formularze o przyjęcie mnie na studia.

— Tak? Zamierzasz znów studiować? — Jonny wzruszył ramionami.

— Równie dobrze mogę robić to, jak co innego — odparł.

Podszedłszy do biurka, Jame stanął u boku brata i przyjrzał się leżącym kartom. Uniwersytet Rajput, Wyższa Szkoła Techniczna Zimbwe, Uniwersytet Aerie... wszystkie z odległych światów.

— Na Święta Bożego Narodzenia będziesz miał bardzo daleko do domu — stwierdził.

Po chwili zwrócił uwagę na inny fakt: wszystkie formularze były wypełnione tylko do rubryki z napisem Służba w wojsku.

— Nie sądzę, bym zbyt często wracał do domu — odparł cicho Jonny.

— A zatem masz zamiar się poddać? — zapytał Jame, starając się włożyć w te słowa tyle szyderstwa, na ile go było stać w tej chwili.

Nie odniosło to jednak żadnego skutku.

— Wycofuję się tylko z terytorium zajętego przez wroga — poprawił go łagodnie Jonny.

— Posłuchaj, tamci chłopcy nie żyją — zaczął Jame. — Nie da się nic na to poradzić. Ludzie w mieście cię nie obwiniają. Nie wysunięto przeciwko tobie żadnych zarzutów, prawda? Nie musisz więc teraz winić sam siebie. Pogódź się z tym, co się stało, i przestań się zadręczać.

— Mylisz dwie rzeczy: winę formalną i winę moralną — odrzekł gorzko Jonny. — W świetle prawa jestem niewinny. W moim własnym sumieniu? Wręcz przeciwnie. A ludzie w mieście zrobią wszystko, by nie dać mi o tym zapomnieć. Już teraz wszędzie, gdzie jestem, dostrzegam w ich oczach strach i potępienie. Przestali już nawet mi docinać.

— No cóż... — stwierdził Jame. — To lepiej, niż gdyby mieli w ogóle cię nie szanować. Jonny skrzywił się.

— Dziękuję bardzo — mruknął z goryczą. — Mimo wszystko wolałem już taki stan jak przedtem.

A więc jeszcze mu na czymś zależało. Jame starał się uchwycić tej myśli w obawie, aby Jonny znów nie pogrążył się w odrętwieniu.

— Wiesz, rozmawiałem dziś z tatkiem na temat jego warsztatu. Pamiętasz, jak kiedyś mówiliśmy, że brakuje nam sprzętu dla trzech osób?

— Tak... i nic się nie zmieniło.

— Zgadza się. Ale mógłbyś tam pracować ty zamiast mnie, a ja przez kilka najbliższych miesięcy popracowałbym gdzie indziej. Co ty na to?

Jonny przez chwilę nic nie mówił, a potem potrząsnął głową.

— Dzięki, ale nic z tego. To byłoby nieuczciwe.

— Dlaczego? Przecież kiedyś to ty pomagałeś ojcu w pracy. Nie traktuj więc teraz tego w ten sposób, jakbyś mnie wypędzał. Prawdę mówiąc, uważam, że dobrze mi robi, kiedy popracuję przez jakiś czas w innym miejscu.

— Jeżeli zajmę twoje stanowisko, prawdopodobnie odstraszę tatkowi wszystkich klientów. Jame wyduł usta.

— Nic takiego się nie stanie, a ty wiesz o tym bardzo dobrze. Ma swoich klientów, którzy lubią go za sposób, w jaki ich obsługuje. Nie obchodzi ich wcale, kto odwala czarną robotę, dopóki tatko ją nadzoruje. Szukasz tylko wymówki, żeby wykręcić się od pracy.

Jonny na krótką chwilę zamknął oczy.

— A nawet jeśli masz rację, to co z tego? — zapytał. Jame zgrzytnął zębami.

— Być może nie obchodzi cię w tej chwili fakt, że masz zamiar zmarnować życie — odrzekł. — Mógłbyś jednak pomyśleć przez chwilę choćby o tym, jakie to będzie miało znaczenie dla Gwen.

— Ta-a. Przyjaciółki sprawiają jej mnóstwo przykrości, prawda?

— Nie chodzi mi teraz o nie, Jonny. Jasne, straciła większość koleżanek, ale wciąż jeszcze ma kilka które jej nie opuściły. Sądzę jednak, że widok brata, który ma zamiar poddać się bez walki, sprawi jej dużą przykrość.

Jonny po raz pierwszy uniósł głowę i spojrzał na Jame'a.

— O co ci chodzi? — zapytał.

— Właśnie staram się ci to wyjaśnić. Gwen robi, co może, by przedstawiać cię w jak najlepszym świetle, ale my wszyscy dobrze wiemy, jak boli ją widok uwielbianego

brata, który siedzi w pokoju i tylko... — zaciął się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego wyrażenia.

— Użala się nad sobą? — odpowiedział Jonny.

— Właśnie. Powinieneś się wziąć w garść choćby tylko ze względu na nią. Straciła już większość przyjaciółek i zasługuje na to, żeby nie tracić brata.

Jonny przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w okno, a potem jeszcze raz spojrzął na leżące przed nim magnetyczne formularze.

— Masz rację — powiedział w końcu. Nabrał głęboko powietrza, a potem powoli je wypuścił. — No dobrze. Możesz powiedzieć tatkowi, że ma nowego pomocnika.

Zebrał formularze z biurka i złożył je w jedno miejsce.

— Zacznę pracę u niego, kiedy tylko będzie chciał — dodał.

Jame uśmiechnął się szeroko i uścisnął ramię brata.

— Dzięki — powiedział cicho. — Czy mogę powiedzieć o tym także Gwen i mamie?

— Jasne. Albo nie, powiedz tylko mamie. Wstał i przesłał Jame'owi grymas, który w tej sytuacji mógł uchodzić za uśmiech.

— Sam pójde do Gwen i jej powiem — dodał.

Mikroskopijny punkcik błękitnego światła, oślepiający nawet mimo ochronnych, przyciemniających okularów, znalazł się na krawędzi metalu, a później zniknął. Przesunąwszy okulary na czoło, Jonny wyłączył laser i krytycznym wzrokiem przyjrzał się spoinie. Poprawił niewielką usterkę, a potem zaczął zdejmować spawany zderzak z uchwytów, w których był zamocowany. Nie zdążył ukończyć tej pracy, kiedy usłyszał cichy warkot silnika samochodu zatrzymanego się na parkingu. Krzywiąc się niemiłosiernie, zdjął ochronne okulary i skierował się ku drzwiom.

Wyłonił się z warsztatu, zaledwie burmistrz Stillman zdążył wysiąść ze swojego wozu i szedł w stronę wejścia.

— Cześć, Jonny — powiedział, szeroko się uśmiechając i bez najmniejszego wahania wyciągając do niego rękę. — Jak sobie radzisz w nowej pracy?

— Świetnie, panie burmistrzu — odparł Jonny z zażenowaniem, ściskając dłoń Stillmana.

Pracował w warsztacie ojca od trzech tygodni, ale wciąż czuł się niepewnie, gdy przychodziło mu rozmawiać z klientami.

— Tatki w tej chwili nie ma, ale może ja mógłbym panu pomóc? Stillman skinął głową.

— To z tobą chciałem porozmawiać — oświadczył. — Mam dla ciebie informację. Dziś rano się dowiedziałem, że Wyatt Brothers Contracting chcą zatrudnić grupę ludzi do pracy przy rozbiórce starego hotelu Lamplightera. Gdyby cię to interesowało, mógłbyś złożyć podanie o przyjęcie do pracy.

— Nie, nie sędzę, żeby to było coś dla mnie — odrzekł Jonny. — Poza tym dobrze mi jest tu, gdzie jestem. Niemniej dziękuję bardzo za...

Przerwał mu odległy, stłumiony huk grzmotu.

— Co to było? — zapytał Stillman, spoglądając na bezchmurne niebo.

— Coś wybuchło — stwierdził rzeczowo Jonny, omiatając spojrzeniem niebo w południowo-zachodniej części miasta i starając się dostrzec unoszący się dym. Przez chwilę wydawało mu się, że jest znowu na Adirondack. — I to coś dużego na południowy zachód od nas. O, tam! — dodał, pokazując obłok dymu, który nagle pojawił się na niebie.

— Założę się, że to w zakładach oczyszczania rudy cezu — mruknął Stillman. — Do diabła! Pospiesz się, musimy tam pojechać.

Uczucie deja vu zniknęło.

— Nie mogę tam pojechać z panem — stwierdził Jonny.

— Nie przejmuj się warsztatem. Nikt tutaj niczego nie ukradnie — rzekł Stillman, wsiadając do wozu.

— Ale... — zaczął Jonny.

Tam będą na pewno tłumy ludzi!

— Ale ja nie mogę!

— Nie czas teraz na udawanie nieśmiałego — burknął Stillman. — Jeżeli ten wybuch było słychać aż z zakładów przeróbki rudy cezu, to najpewniej panuje tam teraz istne piekło. Mogą potrzebować naszej pomocy. No, prędej!

Jonny usłuchał. Rzuciwszy okiem na obłok dymu, stwierdził, że z sekundy na sekundę przemienia się w wielką, ciemną chmurę.

Okazało się, że Stillman miał rację. Główny, trzypiętrowy budynek zakładów oczyszczania rudy płonął teraz niczym pochodnia. Z piskiem hamulców zatrzymali się na skraju gromadzącego się tłumu gapiów przyglądających się pożarowi. Na miejscu byli już policjanci i strażacy. Ci drudzy starali się ugasić ogień, wstrzeliwując przez drzwi i okna strumienie białej piany. Kiedy Jonny i burmistrz precyzyjnie przeszli przez tłum, stwierdzili, że pożar ograniczał się głównie do parteru. Niemniej palił się cały parter, a płomienie sięgały z okien nawet na metr czy dwa na zewnątrz domu. Było jasne, że ogień musiał być podsycany przez rozmaite chemikalia zmagazynowane w środku. Jonny i Stillman znaleźli się przy jednym z policjantów.

— Trzymajcie się od tego z daleka, ludzie... — zaczął mówić funkcjonariusz.

— Jestem burmistrzem — przedstawił się Stillman. — Co mogę zrobić, by wam pomóc?

— Tylko niech pan się nie zbliża, panie... nie, chwileczkę, niech nam pan pomoże otoczyć miejsce wypadku ostrzegawczą liną. Lada chwila może dojść do kolejnego wybuchu, a sami nie mamy sobie rady z takim tłumem. Wszystkie potrzebne rzeczy znajdzie pan w tamtym miejscu.

"Rzeczy" okazały się cienkimi słupkami umieszczonymi w obciążonych podstawach i połączonymi jaskrawoczerwoną liną. Stillman i Jonny dołączyli do policjantów zajętych jej rozciąganiem.

— Jak do tego doszło? — zapytał podczas pracy Stillman. Musiał krzyczeć, żeby dosłyszano jego słowa przez huk pożaru.

— Świadkowie twierdzą, że uszkodzeniu uległ zbiornik z jafaniną, która później się zapaliła — krzyknął w odpowiedzi jeden z policjantów. — Zanim zdążyli go ugasić, od gorąca wybuchły następne. Sądzę, że trzymali tam co najmniej kilka tysięcy hektolitrow tego cholernego rozpuszczalnika. Używali go do oczyszczania rudy cezu, a całe to draństwo jest niesamowicie łatwopalne. To prawdziwy cud, że budynek nie rozleciał się na kawałki.

— Został ktoś w środku?

— Tak. Pięciu czy sześciu ludzi. Na drugim piętrze.

Jonny odwrócił się w stronę budynku i zmrużył oczy z powodu bijącego od pożaru blasku. Rzeczywiście, po chwili w jednym z uchylonych okien drugiego piętra dojrzał zaniepokojone twarze dwóch czy trzech mężczyzn. Pod oknem stał jedyny wóz strażacki z Cedar Lake wyposażony w długą, wysuwaną drabinę. Wóz zaparkowano przezornie w odległości dziesięciu metrów od budynku, a strażacy właśnie wysuwali drabinę. Jonny odwrócił się i chwycił za ostrzegawczą linę...

Huk eksplozji był tak głośny, że nanokomputer Jonny'ego zareagował, rzucając go plackiem na ziemię. Obróciwszy się na plecy, Jonny zdołał dostrzec, że o kilkanaście zaledwie metrów od strażaków ogromny kawał muru rozerwał się na mniejsze części. W miejscu, w którym przed chwilą znajdowała się ściana, widać było teraz jedynie morze błękitnożółtego ognia. Na szczęście wyglądało na to, że żaden z ratowników nie został nawet ranny.

— Och, do diabła — odezwał się jakiś policjant, kiedy Jonny podnosił się z ziemi. — Popatrzcie, co się stało.

Jeden z lecących kawałów muru trafił w drabinę i zamienił ją w pogięte szczątki. Zniszczeniu uległa cała jej górna część, która teraz zwisała smętnie ku ziemi. Strażacy starali się ją wciągnąć, ale nagle rozległ się głośny trzask i uszkodzony kawałek zważył się na ziemię.

— Do diabła! — zaklął Stillman. — Czy mają jeszcze jedną dostatecznie długą?

— Ale nie taką, którą można by dosięgnąć do okna, kiedy samochód stoi tak daleko — odparł policjant. — Służby miejskie chyba nie mają tak dużych ciężarówek, żeby z nich się dostać do tamtych ludzi.

— Może udałoby się ściągnąć helikopter ratowniczy z Horizon City? — odezwał się Stillman głosem, w którym dało się zauważyć oznaki paniki.

— Obawiam się, że na to jest za późno — odrzekł Jonny, wskazując na budynek. — Ogień zaczyna przedostawać się na pierwsze piętro. Musimy znaleźć jakieś inne, o wiele szybsze rozwiązanie.

Zapewne strażacy doszli do tego samego wniosku, gdyż zdejmowali właśnie jedną z krótszych drabin z zaczepów na boku wozu.

— Wygląda mi na to, że zamierzają wejść po drabinie na pierwsze piętro, a potem kłatką schodową przedostać się na drugie — mruknął jeden z policjantów.

— To szaleństwo! — Stillman pokręcił z niedowierzaniem głową. — Czy nie ma żadnego miejsca, w którym mogliby rozłożyć pneumatyczny materac dostatecznie blisko budynku, żeby ci ludzie mogli skoczyć?

Odpowiedź na to pytanie była oczywista i nikt z tych, którzy je usłyszeli, nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, że gdyby strażacy mogli to zrobić, już dawno by to uczynili. Uniemożliwiały im to płomienie strzelające teraz na zbyt dużą odległość od ściany domu.

— Czy nie znalazłby się jakiś mocny sznur? — zapytał nagle Jonny. — Jestem pewien, że udałoby mi się dorzucić do nich jeden koniec.

— Ale spuszczać się po linie, znaleźliby się w zasięgu ognia — zauważył Stillman.

— Nie, jeśli drugi koniec zostałby o coś zaczepiony piętnaście lub dwadzieścia metrów od budynku. Na przykład przywiązany do strażackiego wozu. Chodźmy porozmawiać o tym ze strażakami.

Dowódcę brygady ratunkowej znaleźli pośród grupy strażaków zajętych ustawianiem nowej drabiny.

— To dobry pomysł, ale chyba nie wszyscy potrafią się spuścić stamtąd o własnych siłach — stwierdził, marszcząc brwi, kiedy Jonny skończył wyłuszczać mu swój pomysł. — Od kwadransa przebywają w dymie i niesamowitym żarze. Możliwe, że kilku w tej chwili straciło przytomność.

— Czy dysponuje pan czymś w rodzaju koła ratunkowego z bryczesami? — zapytał Jonny. — To taki krążek linowy zaopatrzony w pętlę, który może się toczyć po sznurze.

Dowódca strażaków potrząsnął z ubolewaniem głową.

— Przykro mi, ale nie mogę tracić czasu na rozmowy — powiedział. — Muszę jak najszybciej dopilnować, żeby moi ludzie znaleźli się w środku.

— Nie może pan posyłać ich do takiego piekła — sprzeciwił się Stillman. — W tej chwili musi palić się już całe drugie piętro.

— Do diabła, właśnie dlatego musimy bardzo się spieszyć!

Jonny stoczył z samym sobą krótką walkę. Uznał jednak, że burmistrz miał rację, kiedy mówił, iż to nie pora na nieśmiałość.

— Istnieje inny sposób — odezwał się w końcu. — Potrafię dostarczyć im sznur, nie wchodząc do domu.

— Co takiego? W jaki sposób?

— Przekona się pan. Potrzebny mi kawał sznura o długości co najmniej trzydziestu metrów, para odpornych na żar rękawic i z dziesięć kawałków bardzo mocnej tkaniny. Natychmiast!

Nawyk rozkazywania, który sobie kiedyś przyswoił, było mu teraz trudno wykorzenić. Z takim samym trudem przychodziło innym opieranie się temu nawykowi i zanim upłynęła minuta, Jonny stał pod oknem drugiego piętra tak blisko, jak tylko pozwalała na to ogień. Sznur, którym był przewiązany w pasie, ciągnął się za nim, naprężony tylko na tyle, aby się nie poplątał lub nie spalił. Jonny głęboko nabrał powietrza w płuca, a potem ugiął nogi w kolanach i skoczył.

Trzy lata praktyki sprawiły, że skok okazał się perfekcyjnie dokładny. Jonny dotarł do okna w chwili, w której osiągnął największą wysokość trajektorii lotu. Uchwycił się występu muru i podkurczył nogi, amortyzując w ten sposób siłę uderzenia o rozgrzane niemal do czerwoności cegły. Jednym płynnym ruchem wciągnął się przez uchylone okno i wylądował na podłodze.

Obawy dowódcy oddziału strażaków na temat działania dymu i żaru okazały się uzasadnione. Siedmiu mężczyzn leżących lub siedzących na podłodze niewielkiego pokoju było tak otępiałych, że niespodziewane pojawienie się Jonny'ego specjalnie ich nie zaskoczyło. Niektórzy stracili przytomność, chociaż wciąż jeszcze żyli.

Pierwszym jego zadaniem musiało być zatem otworzenie okna. Jonny stwierdził, że zaprojektowano je w taki sposób, aby mogło otwierać się tylko do połowy, gdyż metalowa rama jego górnej części została na stałe przymocowana do sufitu. Kilka starannie wymierzonych strzałów z lasera nadwątlilo jednak miękkie od żaru metal, a dzięki silnemu kopniakowi cała rama okienna oderwała się od muru i z trzaskiem runęła na ziemię.

Nie tracąc ani chwili, odwiązał sznur, którym był przepasany, i przymocował go do najbliższej kolumny, a potem trzykrotnie pociągnął, chcąc w ten sposób nakazać czekającym na dole strażakom, aby naprężyli linę. Ujął pod pachy najbliżej leżącego nieprzytomnego, posadził go, opierając plecami o ścianę, a później przywiązał jeden koniec tkaniny do lewego nadgarstka, a drugi, po owinięciu go wokół sznura, przytwierdził do prawego. Wyjrząwszy szybko przez okno, upewnił się, że ratownicy są gotowi, a później uniósł poszkodowanego, wystawił go przez okno i pozwolił mu zjechać po naprężonym sznurze prosto w objęcia czekających strażaków. Nie czekając, aż go uwolnią, zajął się następną nieprzytomną ofiarą.

Kiedy ostatni mężczyzna zniknął za oknem, Jonny poczuł, że podłoga zaczyna tlić mu się pod stopami. Owinąwszy kolejny kawałek tkaniny wokół sznura, uchwycił obydwie wolne końce prawą dłońią i wyskoczył. Pęd powietrza ochłodził pokrytą kroplami potu skórę niczym arktyczny wicher i zanim Jonny dotarł do ziemi, poczuł, że drży z zimna. Puściwszy tkaninę, przekoziółkował o kilka kroków dalej — i nagle usłyszał coś dziwnego. Tłum zgromadzonych gapiów wiwatował. Jonny odwrócił się w ich stronę, zdziwiony, i dopiero po dłuższym czasie uświadomił sobie, że ludzie

wiwatują na jego cześć. Na twarzy pojawił mu się niespodziewany, jeszcze cokolwiek niepewny uśmiech. Dopiero po chwili Jonny uniósł rękę w nieśmiałym podziękowaniu.

A potem stanął przy nim burmistrz Stillman. Uśmiechając się szeroko, potrząsnął jego ręką.

— Udało ci się, Jonny! Naprawdę ci się udało! — wołał, starając się przekrzyczeć panujący hałas.

Jonny wyszczerzył zęby, odwzajemniając uśmiech. Co najmniej połowa mieszkańców Cedar Lake na własne oczy oglądała, jak ocalił od śmierci siedmiu ludzi, ryzykując przy tym własne życie. Wszyscy się przekonali, że nie jest potworem i że jego umiejętności mogą być wykorzystane w sposób konstruktywny. I, co najważniejsze, że sam starał się, jak umiał, aby ludziom pomóc. Gdzieś w głębi serca był przekonany, że ta chwila okaże się punktem zwrotnym całego jego życia. Możliwe — całkiem możliwe — że od tej chwili jego sprawy zaczną przyjmować lepszy obrót.

Stillman pokręcił ze smutkiem głową.

— Naprawdę przypuszczałem, że od czasu tamtego pożaru jego sprawy zaczną przyjmować lepszy obrót — powiedział.

Fraser wzruszył ramionami.

— Tak, ja też miałem taką nadzieję. Obawiam się jednak, że za bardzo na to nie liczyłem. Nawet wówczas, kiedy ludzie wiwatowali na jego cześć, było widać kryjące się w ich oczach przerażenie. Strach przed Jonnym nigdy nie ustąpi, został tylko chwilowo zapomniany. Teraz, kiedy czas euforii minął, strach powrócił.

— No tak.

Stillman uniósł wzrok znad biurka, za którym siedział, i zaczął się wpatrywać w okno.

— Traktują go jak nieuleczalnego psychopatę. Albo jak dzikie zwierzę.

— Naprawdę nie można mieć o to do nich żalu. Obawiają się, co mogłaby zrobić jego wielka siła albo lasery, gdyby stracił nad sobą panowanie.

— Ale jeszcze nie stracił, do diabła! — wybuchnął Stillman, uderzając pięścią w blat biurka.

— Wiem dobrze, że nie! — odciął się doradca. — Świetnie! Czy naprawdę chcesz wyjawić wszystkim całą prawdę? Nawet jeśli założymy, że Vanis D'arl nie będzie chciał za to dobrać się nam do skóry, czy naprawdę zamierzasz powiedzieć ludziom o tym, iż Jonny nie potrafi kontrolować swoich odruchów bitewnych? Czy myślisz, że to w czymś pomoże?

Wybuch złości Stillmana minął tak szybko, jak się pojawił.

— Nie — odparł cicho. — Sądzę, że to tylko pogorszyłoby całą sprawę. Wstał od biurka i podszedł do okna.

— Przepraszam cię, Sut, że tak się uniosłem. Wiem, że to nie twoja wina. Po prostu tylko... — Westchnął. — Myślę, że nigdy nie uda się nam sprawić, by Jonny był traktowany w tym mieście jak każdy inny obywatel. Jeśli nie dokonał tej sztuki nawet taki prawdziwie bohaterski wyczyn, to nie wiem, co innego mogłoby zadziałać.

— W każdym razie to nie twoja wina, Teague. Nie możesz traktować tego w taki sposób, jak gdybyś to ty był za to odpowiedzialny — odezwał się cicho Fraser. — Wojsko nie miało prawa czynić z Jonny'ego tego, kogo zrobiło, a potem go nam odsyłać, jakby nigdy się nic nie stało. A zresztą, oni też nie będą mogli udawać, że problem nie istnieje. Pamiętasz, o czym mówił nam D'arl... że Kobry mają kłopoty na wszystkich planetach Dominium Ludzi? Wcześniej czy później władze będą zmuszone zrobić coś w tej sprawie. My już zrobiliśmy, co mogliśmy, a reszta należy teraz do nich.

Odezwał się brzęczyk interkomu. Burmistrz podszedł do biurka i wcisnął jakiś klawisz.

— Słucham?

— Dzwoni pan Dosin z biura prasowego. Mówi, że w rubryce wiadomości lokalnych jest coś, z czym powinien się pan zapoznać.

— Dzięki.

Usiadłszy za biurkiem, Stillman włączył pulpit informacyjny i wystukał na nim kod właściwego działu. Ostatnie trzy wiadomości były nadal widoczne, przy czym obok umieszczonej na pierwszym miejscu widniała gwiazdka oznaczająca sprawę wielkiej wagi. Obydwaj mężczyźni pochylili się nad pulpitem i zaczęli czytać.

Kwatera Główna Połączonego Dowództwa Wojska, Asgard.

Rzecznik prasowy wojska oznajmił, że w końcu przyszłego miesiąca wszyscy rezerwiści oddziałów Kobra zostaną ponownie wcieleni do czynnej służby. Krok ten jest odpowiedzią na zwiększoną liczebność sił zbrojnych Minthistów na granicy Dominium w pobliżu Andromedy. Na razie nie przewiduje się powoływania do czynnej służby innych oddziałów wojsk ani Oddziałów Gwiezdnych, ale decyzja ta może w każdej chwili ulec zmianie.

— Nie do wiary — Fraser pokręcił głową. — Czy ci głupi Minthiści zamierzają znowu wywołać konflikt zbrojny? Myślałem, że dostali dobrą naukę ostatnim razem, kiedy ich pokonaliśmy.

Stillman nie odezwał się ani słowem.

Vanis D'arl wkroczył do biura burmistrza Stillmana, sprawiając wrażenie człowieka bardzo zajętego innymi, o wiele ważniejszymi sprawami. Skinął tylko przelotnie głową w stronę czekających na niego dwóch mężczyzn, po czym bez zaproszenia usiadł.

— Mam nadzieję, że sprawa jest rzeczywiście tak ważna, jak sugerowała to pana wiadomość — zwrócił się do Stillmana. — Przesunąłem na inny termin bardzo ważne spotkanie, żeby zboczyć z drogi i przylecieć na Horizon. Słucham więc, o co chodzi.

Stillman skinął głową, obiecując sobie, że nie da się zastraszyć, i gestem wskazał na młodzieńca, siedzącego teraz koło jego biurka.

— Pozwoli pan, że przedstawię panu Jame'a Moreau, brata ce-trzy Kobry, Jonny'ego Moreau. Dyskutowaliśmy właśnie na temat powołania w przyszłym miesiącu do wojska rezerwistów z oddziału Kobra w związku z rzekomym zagrożeniem, jakie stwarzają Minthistowie.

— Rzekomym? — zapytał łagonie D'arl, ale w jego głosie dało się wyczuć ukryte ostrzeżenie.

Stillman zawahał się przez chwilę, uświadomiwszy sobie nagle ryzyko związane z groźącą konfrontacją. Wykorzystał tę chwilę Jame i powiedział:

— Tak, rzekomym. Wiemy, że cała ta afera jest tylko wymówką, mającą na celu powołanie wszystkich Kobr do czynnej służby i wysłanie ich w rejony przygraniczne, gdzie nikomu nie będą zawadzały.

D'arl popatrzył na Jame'a nieco łaskawszym wzrokiem, jak gdyby zobaczył go po raz pierwszy.

— To zrozumiałe, że przejmuje się pan losem brata, i przyznaję, iż jestem w stanie to zrozumieć — odezwał się w końcu. — Pańskie zarzuty nie dadzą się jednak udowodnić, a co więcej, mogą zostać uznane za graniczące z buntem. Wie pan przecież, że Dominium prowadzi wojny tylko wtedy, kiedy zostanie napadnięte. A zresztą, gdyby nawet pańskie przypuszczenie miało okazać się prawdziwe, to co, pana zdaniem, zamierzalibyśmy przez to osiągnąć?

— O tym właśnie chcę mówić — odparł Jame, wykazując jak na dziewiętnastolatka niezwykle opanowanie i odwagę. — Rozumiem, że nasze władze starają się w jakiś sposób rozwiązać problem Kobr. To jasne. Ale to, co zamierzają zrobić, nie jest żadnym rozwiązaniem, a jedynie unikiem, mającym na celu zyskanie na czasie.

— Musi pan jednak przyznać, że na ogół Kobry nie czują się dobrze po powrocie do normalnego życia — zauważył D'arl. — Być może więc to, co im proponujemy, będzie dla nich korzystne.

— Nie sądzę. Widzi pan, władze nie mogą trzymać ich tam w nieskończoność. Albo więc trzeba będzie któregoś dnia Kobry zwolnić, a wówczas znajdziemy się dokładnie w miejscu, w którym jesteśmy teraz, albo żywić nadzieję, że wcześniej czy później cały problem rozwiąże się... samoistnie.

Twarz D'arla nie wyrażała żadnych uczuć.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał.

— Myślę, że pan wie.

Przez chwilę wydawało się, że Jame straci panowanie nad sobą, gdyż nurtujące go uczucia zaczęły malować się na jego twarzy. Opanował się jednak i mówił dalej:

— Czy pan tego nie rozumie? To się nie może udać. Nie można zabić wszystkich Kobr bez względu na to, w ilu wojnach każe im się brać udział, gdyż w tym czasie wojsko będzie szkoliło wciąż nowe oddziały, aby zastąpiły tych, którzy polegli. Kobry są dla wojska zbyt przydatne, żeby miało z nich kiedykolwiek zrezygnować. D'arl popatrzył na Stilhnana.

— Jeśli wezwał mnie pan tylko po to, żeby kazać mi wysłuchiwać tych bezpodstawnych zarzutów, to uważam, że naraził mnie pan na stratę czasu. Do widzenia panom.

Wstał i skierował się do wyjścia.

— Nie tylko po to — odezwał się Stillman. — Siedzimy, że udało się nam znaleźć inne wyjście.

D'arl zatrzymał się i odwrócił twarzą do nich. Przez chwilę mierzył ich wzrokiem, a potem wolno wrócił i usiadł na poprzednim miejscu.

— Słucham — powiedział.

Stillman pochylił się na krześle, starając się uporządkować myśli. Wiedział, że od tego, co powie, będzie zależało dalsze życie Jonny'ego.

— Wyposażenie Kobr miało na celu zapewnienie im większej siły, lepszego uzbrojenia i szybszych odruchów — zaczęła. — Zgodnie z tym, co usłyszałem od Jame'a, Jonny powiedział mu, że jego wyposażenie obejmowało także urządzenia do wzmacniania wzroku i słuchu.

D'arl skinął głową, a Stillman mówił dalej:

— Wojna nie jest jedyną dziedziną, w której takie rzeczy mogą być wykorzystane. Mówiąc dokładniej, co sądzi pan na temat kolonizacji nowych planet?

D'arl zmarszczył brwi, ale Stillman nie zamierzał pozwolić mu dojść do słowa.

— W ciągu ostatnich kilku tygodni trochę czytałem na ten temat. Dowiedziałem się więc, że zazwyczaj stosowana procedura składa się z czterech etapów. Najpierw ekipa badaczy udaje się na nową planetę po to, by stwierdzić, czy w ogóle nadaje się do zamieszkania. W drugim etapie ląduje tam większa grupa naukowców w celu przeprowadzenia bardziej szczegółowych badań. Następnie wysyła się pierwszą, niewielką grupę osadników wyposażonych w ciężki sprzęt po to, by przygotowali grunt i domy dla przyszłych kolonistów. Dopiero wówczas może tam wylądować pierwsza, większa liczebnie grupa osadników. Sądzę, że cała ta procedura zajmuje kilka lat i jest bardzo kosztowna głównie z tego powodu, że przez cały czas trzeba utrzymywać niewielką wojskową bazę i chronić kolonistów przed możliwymi zagrożeniami. Wiąże się to z koniecznością dostarczania im broni i amunicji, paliwa oraz innego niezbędnego wyposażenia...

— Wiem, z czym to się wiąże — przerwał D'arl. — Proszę przejść do sedna sprawy.

— Wysyłanie tam Kobr zamiast zwykłych żołnierzy będzie o wiele łatwiejsze, a w dodatku tańsze — ciągnął Stillman. — Swoje wyposażenie mają na stałe ze sobą i to takie, które nie wymaga napraw. Kobry będą mogły tam strzec osadników i pomagać im w niektórych pracach. Prawda, że Kobra kosztuje więcej od zwykłego żołnierza czy robotnika, którego tam zastąpi, ale przecież wy już macie Kobry.

D'arl potrząsnął niecierpliwie głową.

— Słuchałem pana uważnie tak długo, bo miałem nadzieję, że naprawdę wymyślił pan coś nowego. Przewodniczący H'orme rozważał taką możliwość już przed wieloma miesiącami. Rzecz jasna, że wypadłoby to znacznie taniej, ale wówczas, gdybyśmy mieli dokąd ich posyłać. Tymczasem w granicach Dominium znajduje się tylko kilka nadających się do zamieszkania światów, na których prowadzi się już badania wstępne. Ze wszystkich stron otaczają nas imperia zamieszkiwane przez istoty obce, a więc chcąc kolonizować inne światy, musielibyśmy o nie walczyć.

— Niekoniecznie — odezwał się nagle Jame. — Moglibyśmy te imperia ominąć.

— Co, proszę?

— To właśnie chcieliśmy zaproponować — powiedział Stillman. — Troftowie całkiem niedawno przegrali z nami wojnę. Wiedzą, że wciąż dysponujemy wystarczającą siłą, aby opanować dużą część ich imperium, gdybyśmy tylko tego chcieli. Nie powinno być więc trudno przekonać ich, by udostępnił nam w przestrzeni międzygwiazdnej przechodzący przez ich terytorium korytarz, którym moglibyśmy transportować materiały do celów innych niż wojskowe. Wszystkie atlasy gwiazdne wskazują, że po przeciwnej stronie ich imperium znajduje się spory kawał przestrzeni, do której nikt dotąd nie rości sobie żadnego prawa.

D'arl z zadumą zapatrzył się w okno.

— A co będzie, jeśli po tamtej stronie nie ma żadnych nadających się do zamieszkania planet? — zapytał.

— Wówczas będziemy mogli mówić o wielkim pechu — przyznał Stillman. — Jeżeli jednak są, to proszę zwrócić uwagę, ile na tym zyskujemy. Nowe światy, nowe źródła surowców, może nawet nowe kontakty z innymi cywilizacjami, handel... Ze środków zainwestowanych w Kobry będziemy mieli wtedy o wiele więcej korzyści, niż gdybyśmy pozwolili im ginąć w wojnach, które nie mają żadnego sensu.

— To prawda — przyznał D'arl. — Rzecz jasna, musielibyśmy usytuować naszą kolonię na tyle daleko od przeciwległych granic imperium Troftów, żeby nie przysłała im chęć podstępnie na nią napaść i ją zniszczyć. Przy tak dużych odległościach, jakie wchodzi w grę, użycie Kobr zamiast batalionów wojska nabiera nawet większego sensu. — Zaciśnął wargi i przez chwilę milczał. — A kiedy koloniści obrosną w piórka — dodał — łatwiej będzie utrzymać Troftów w ryzach... Z pewnością nie popełnią tego błędu, by prowadzić wojnę na dwóch frontach. Wojsko niewątpliwie bardzo się zainteresuje tym właśnie aspektem całego przedsięwzięcia.

Jame pochylił się w jego stronę.

— A zatem zgadza się pan z nami? Przedstawi pan naszą propozycję przewodniczącemu H'orme'owi? D'arl z namysłem kiwnął głową.

— Przedstawię. To ma sens, a co więcej, może przynieść Dominium dużą korzyść. Uważam, że te dwa aspekty sprawy doskonale się uzupełniają. Jestem pewien, że... kłopoty... z Minhistami uda się nam rozwiązać bez pomocy Kobr.

Wstał niespodziewanie.

— Proszę jednak, żeby zechcieli panowie zachować całą rzecz w tajemnicy — ostrzegł. — Przedwczesne ujawnienie tych planów mogłoby mieć jak najgorsze skutki. Nie mogę niczego obiecać, ale jestem pewien, że komitet bardzo szybko zechce podjąć decyzję w tej sprawie.

Nie mylił się. Decyzja w sprawie Kobr zapadła, nim upłynęły dwa tygodnie.

Ogromny wojskowy wahadłowiec otoczony był przez zadziwiająco dużą grupę ludzi, zważywszy na fakt, że tylko dwadzieścia kilka osób leciało razem z Jonnym w podróż z Horizonu na Asgard do najnowszego ośrodka szkolenia przyszłych kolonistów. Na kosmodromie zgromadziło się tymczasem co najmniej dziesięć razy tylu ludzi. Były to rodziny, przyjaciele lub zwykli znajomi, którzy przybyli tutaj, aby pożegnać przyszłych osadników.

Pomimo tych tłumów cała rodzina Moreau oraz burmistrz Stillman nie mieli żadnych kłopotów z przedostaniem się w pobliże statku. Niektórzy usuwali się przed nimi zapewne ze zwykłego strachu na widok czerwono-czarnego munduru Kobry, ale inni — ci, którzy naprawdę byli tu najważniejsi — schodzili im z drogi z nie skrywanym szacunkiem. Jonny doszedł do wniosku, że osadnicy odnosili się do ludzi obdarzonych siłą lub władzą w inny sposób niż pozostali. Nie było w tym zresztą nic dziwnego: wiedzieli, że już wkrótce od takich jak Jonny będzie zależało ich własne życie.

— No cóż, Jonny, życzę ci powodzenia — odezwał się Stillman, kiedy się zatrzymali na skraju tłumy w pobliżu burty wahadłowca. — Mam nadzieję, że wszystko ułoży ci się jak najlepiej.

— Dziękuję, panie burmistrzu — odparł Jonny, ściskając mocno wyciągniętą dłoń Stillmana. — I dziękuję za... za poparcie, jakiego mi pan udzielał.

— Wyślesz nam taśmę, zanim opuścisz Asgard, prawda? — zapytała Irena, nie kryjąc łez.

— Jasne, mam — rzekł Jonny, a potem objął ją i przytulił. — Może już za kilka lat będziesz mogła przylecieć do mnie w odwiedziny.

— O, tak! — wykrzyknęła entuzjastycznie Gwen.

— Być może — odezwał się Pearce. — Uważaj na siebie, synu.

— Tak, uważaj na siebie — zawtórował Jame.

Po następnej serii uścisków zbliżyła się pora startu. Jonny sięgnął po worek, zarzucił go na ramię i ruszył do służby wahadłowca. Zanim wszedł do wnętrza, przystanął, odwrócił się i pomachał swoim bliskim. W wahadłowcu poza nim nie było jeszcze nikogo, ale gdy tylko zajął miejsce, zaczęli wchodzić inni koloniści. Jonny pomyślał, że jego wejście na pokład musiało być dla nich czymś w rodzaju od dawna oczekiwanego sygnału.

Ta myśl sprawiła, że na jego twarzy zagościł zaprawiony goryczą uśmiech. Na Adirondack Kobry także przewodziły innym... ale na tamtej planecie inni właściwie nigdy ich nie zaakceptowali. Czy na nowym, znalezionym dla nich przez wyprawę badawczą świecie sprawy potoczą się inaczej też sytuacja z Adirondack i Horizonu będzie się powtarzała wszędzie, gdziekolwiek się znajdą?

W pewnym sensie było to bez znaczenia. Jonny miał już po dziurki w nosie traktowania go jak pariasa, a wydawało się mało prawdopodobne, by na nie znanej, dzikiej planecie ludzie odnosili się do niego w ten sposób. Tam alternatywą sukcesu będzie śmierć... a śmierć była czymś, czemu Jonny nauczył się stawiać czoło.

Wciąż uśmiechając się do siebie, wyciągnął się w fotelu i spokojnie czekał na chwilę startu wahadłowca.

Interludium

Ogród haiku, będący częścią apartamentu, jaki przewodniczący H'orme zajmował pod kopułą, był istnym małym cudem ogrodnictwa i prawdziwym świadectwem tego, w jaki sposób można łączyć technikę i przyrodę. D'arl właściwie nigdy przedtem nie zauważał, jak bardzo jedno i drugie składało się na tchnącą spokojem całość. Dopiero teraz zwrócił uwagę na prostotę, z jaką holograficzne ściany i sufit harmonizowały z labiryntem ścieżek, sprawiając wrażenie, że ogród jest większy niż był w rzeczywistości. Podmuchy łagodnego wiatru, szmery i dźwięki sugerujące obecność odległego wodospadu i ptaków, a także promienie autentycznego słońca doprowadzone tu za pomocą systemu specjalnych lusterek... D'arl był tym wszystkim naprawdę oczarowany. Zadawał sobie pytanie, czy H'orme celowo wyłączał większość tych mogących odwracać uwagę atrakcji, kiedy przechadzali się dawniej po ogrodzie, dyskutując o bardzo ważnych sprawach? Możliwe. Teraz jednak nie było żadnych spraw, na których H'orme musiałby się koncentrować. Była tylko zwyczajna rozmowa... i pożegnania.

— Będzie musiał pan zwracać dużą uwagę na Pendrikana — odezwał się H'orme. Przystanął na chwilę i pochylił się, chcąc obejrzeć dokładniej szczególnie pięknie wyrosnięty krzew saggaro. — Nigdy właściwie mnie nie lubił i bardzo możliwe, że teraz będzie chciał tę niechęć przelać na pana. To naprawdę bez sensu, ale wie pan, że ludzie z Zimbwe mają zwyczaj przekazywać urazy z pokolenia na pokolenie.

D'arl kiwnął głową, wiedząc dobrze, jakimi uczuciami darzył go Pendrikan.

— Obserwowałem wiele razy, jak pan sobie z nim radził — powiedział. — Myślę, że będę umiał traktować go w taki sam sposób.

— To dobrze. Ale przy tej okazji proszę nie narobić sobie innych wrogów. Komitet jest organem zdumiewająco konserwatywnym. Musi upłynąć wiele czasu, zanim jego członkowie przyzwyczają się do faktu, że będzie pan teraz siedział w fotelu przewodniczącego, a nie razem z nimi.

— I ja także — mruknął D'arl.

H'orme uśmiechnął się, ale kiedy powiódł wzrokiem po ogrodzie, w jego spojrzeniu krył się smutek zmieszany z zamyśleniem.

— Nie obawiam się o pana, D'arl — powiedział. — Został pan stworzony do tego, aby być przewodniczącym. Posiada pan wrodzony dar szybkiego orientowania się, co należy zrobić i w jaki sposób. Dowodzi tego choćby kompleksowe rozwiązanie problemu Kobr, od pierwszego pomysłu aż do uzyskania ostatecznej zgody całego komitetu.

— Dziękuję. Niemniej chciałbym powtórzyć, że to nie ja pierwszy wpadłem na ten pomysł.

H'orme machnięciem ręki dał znak, że nie uważa tej różnicy za szczególnie ważną.

— Nikt nie oczekuje od pana, że będzie pan wymyślał instalację syntezy jąder atomów od nowa za każdym razem, kiedy zechce pan z niej skorzystać. Od przedstawiania pomysłów będzie pan miał zespół pracowników. Pana zadaniem będzie ich ocena. Niech pan nigdy nie popełni tego błędu i nie stara się robić wszystkiego samemu. D'arl stłumił w sobie chęć, aby się uśmiechnąć.

— Tak jest — powiedział tylko. H'orme spojrział na niego z ukosa.

— A zanim pan zechce potraktować ironicznie moje słowa — dodał — proszę sobie przypomnieć, ile pracy ja sam składałem na pana barki. Niech pan bardzo uważnie dobiera sobie doradców, D'arl. W większości przypadków to oni decydują o tym, czy komitet działa sprawnie, czy nie.

D'arl skinął w milczeniu głową i obaj mężczyźni podjęli wędrówkę. Rozglądając się po ogrodzie, D'arl nie mógł się powstrzymać od rozpamiętywania okresu ostatnich trzynastu lat, jakie spędził u boku H'orme'a, pełniąc funkcję jego doradcy. Wydawało mu się, że nie był to zbyt długi okres, by przygotować go na trudy zadania, którego miał się teraz podjąć.

— No, tak... — odezwał się po chwili H'orme. — Są jakieś nowe wieści z Aventiny?

Zaskoczony D'arl postarał się zmusić umysł do myślenia. Aventina...? Ach, tak, to ten nowy świat, zasiedlany właśnie przez kolonistów.

— Pierwsza grupa osadników radzi sobie całkiem dobrze — odparł. — O ile mi wiadomo, nie mają żadnych problemów z niebezpiecznymi zwierzętami.

— A przynajmniej nie mieli ich przed trzema miesiącami — poprawił go H'orme, kiwnąwszy głową.

— To prawda.

D'arl zdawał sobie sprawę z tego, że tak duże opóźnienie w przekazywaniu informacji będzie stanowiło poważny problem w zarządzaniu tym nowym światem. Pomyślał, iż jednym z pierwszych zadań komitetu musi być bardzo staranny wybór kogoś kompetentnego i odpowiedzialnego na stanowisko generalnego gubernatora Aventiny.

— Czy pan wie, jak przyjmują to wszystko Troftowie? — zapytał go H'orme.

— Na razie nie mamy z nimi żadnych kłopotów. Ani razu nawet nie usiłowali wejść na pokład któregoś z naszych statków i sprawdzić, czy naprawdę nie transportujemy nimi towarów, mogących mieć przeznaczenie militarne.

— Hm. Prawdę mówiąc, spodziewałem się czegoś innego. No cóż, może to dlatego, że razem z kolonistami podróżują naszymi statkami także Kobry. Może nie chcą się im narażać. Nie sądzę jednak, żeby taki stan miał potrwać długo.

H'orme przez chwilę szedł w milczeniu.

— Po pewnym czasie dojdą do wniosku, że Aventura stanowi dla nich zagrożenie. Kiedy zaś to się stanie... nowy świat będzie musiał być na tyle silny, aby mógł się przed nimi obronić.

— Albo skolonizować następne światy, żeby Troftowie nie byli w stanie zagarnąć ich za jednym razem — zaproponował D'arl.

H'orme westchnął.

— Uważam to za mniej korzystne rozwiązanie, chociaż być może bardziej prawdopodobne. Przynajmniej na krótszą metę.

Okrążyli w trakcie tej rozmowy cały ogród, a H'orme zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do jego gabinetu. Po raz ostatni powiódł spojrzeniem po ogrodzie.

— Jeśli wystarczy panu cierpliwości, żeby przyjąć ode mnie jeszcze jedną radę, D'arl — powiedział z namysłem — radziłbym panu, by w grupie pana doradców znalazł się ktoś, kto będzie naprawdę dobrze rozumiał Kobry. I to nie ich wyposażenie czy uzbrojenie, ale ich psychikę.

D'arl lekko się uśmiechnął.

— Myślę, że będę umiał rozwiązać to w jeszcze lepszy sposób — powiedział. — Jestem w stałym kontakcie z młodym człowiekiem, który wpadł na pomysł skolonizowania tamtego świata. Tak się składa, że jego brat jest Kobrą, którego posłaliśmy na Aventure. H'orme odwzajemnił jego uśmiech.

— Widzę, że przygotowałem pana do pracy nawet lepiej, niż sądziłem, D'arl. Jestem dumny, że to pan będzie moim następcą... panie przewodniczący D'arl.

— Dziękuję — zdołał tylko odpowiedzieć młodszy mężczyzna. — Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby mógł pan być ze mnie zawsze dumny.

Otworzywszy drzwi, opuścili ogród, do którego H'orme miał już nigdy nie powrócić.

Koniec tomu 1